PAMIĘTNIK ANTONIEGO JADACKIEGO, ORGANISTY W: ZAMBSKACH, GOWOROWIE, CZARNI, OBRYTEM, LUBIELU, BROKU i BRAŃSZCZYKU

[Antoni Jadacki (sen.), *Pamiętnik z całego mojego życia*, [w:] Jacek Jadacki (przy wsp. z Bożeną Jadacką-Jóźków), *Na Mazowszu, Podlasiu i w Małopolsce*, Kamieniec Podolski 2024, s. 22-135]

Prezentowany pamiętnik to pierwszy rozdział książki *Na Mazowszu, Podlasiu i w Małopolsce*, dzieła Jacka Jadackiego (przy współpracy z Bożeną Jadacką-Jóźków). Za zgodą autora książki, tytuł rozdziału został zmieniony, aby podkreślić związek pamiętnikarza z regionem, którego historii poświęcona jest niniejsza strona internetowa. Jeden z pisarzy francuskich napisał, iż: „Powieść to jest zwierciadło przechadzające się po gościńcu. To odbija lazur nieba, to błoto przydrożnej kałuży". Pamiętnik Antoniego Jadackiego (seniora), jest niczym owo zwierciadło, które począwszy od ostatnich lat XIX stulecia, wędruje przez pół wieku po parafiach północno-wschodniego Mazowsza – najdłużej, bo aż na lat kilkanaście zatrzymując się w Broku. Lazur nieba nie odbija się w nim nazbyt często, a znacznie więcej dostrzeżemy błota, jako że Antoni Jadacki nie należał do osób w czepku urodzonych, a żyć przyszło mu w czasach mało, że biednych, to jeszcze burzliwych. Błoto skrzy się jednak iskierkami, a to dzięki błyskotliwemu, dowcipnemu, pełnemu werwy, niestroniącemu od dosadnych wyrażeń językowi naszego kronikarza-memuarysty. Lektura nasuwa skojarzenia z pamiętnikami Jana Chryzostoma Paska, a niektóre fragmenty przypominają urywki z *Przygód dobrego wojaka Szwejka*, choćby te o wyczynach Feldkurata Ottona Katza. Pamiętnikarz opisuje momentami rzeczy tak skandaliczne, że autorzy książki zastanawiali się nawet, czy nie opuścić tych drastycznych fragmentów, ale uznali, że także te urywki tekstu „są interesującym dokumentem mentalności i kultury tamtej epoki". Chwała im za to, gdyż książka dostarcza nie tylko suchych faktów, ale bywa momentami sensacyjno-plotkarska, dzięki czemu nie sposób oderwać się od lektury.

Mieszkańców Broku i okolicy zainteresuje zapewne fakt, że książka została poświęcona m.in. pamięci Eugeniusza Bali, przyjaciela Antoniego Jadackiego (syna pamiętnikarza Antoniego, a ojca autora książki Jacka). Eugeniusz Bala to pochodzący z Broku lotnik Polskich Sił Powietrznych w Wielkiej Brytanii, który zginął podczas wykonywania zadań bojowych w roku 1942 (jedna z opowieści zamieszczonych na tej stronie internetowej została poświęcona temu dzielnemu człowiekowi).

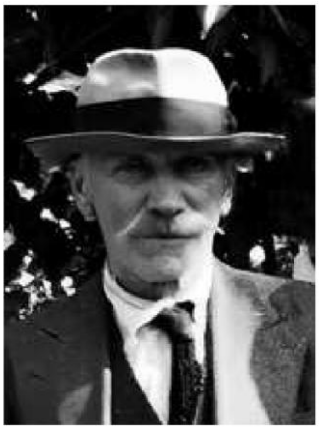

Antoni Jadacki, ilustracje z książki Jacka Jadackiego, *Na Mazowszu, Podlasiu i w Małopolsce*, nr D-01, s. 379.

Antoni Jadacki (senior)

Pamiętnik
z całego mojego życia[1]

Wszystkim moim Dzieciom i Wnukom poświęcam –
na wieczną pamięć.
Kochający Was wszystkich jednakowo ojciec i dziadek –
Antoni Jadacki.
Strzelce Krajeńskie,
dnia 2 lutego 1957 roku.

Dnia 7 maja 1885 roku w miejscowości Zatory – powiatu pułtuskiego, województwa warszawskiego – pierwszy raz ujrzałem światło dzienne. W ciągu mojej opowieści wielokrotnie będę jeszcze wracał do tej miejscowości.

1. Rodzice

Czym się mój Ojciec trudnił, gdy przyszedłem na świat, nie wiem. Wiadomo mi tylko to, że gdy Ojciec się żenił – był zwykłym robotnikiem; a że był bardzo pracowitym człowiekiem – nauczył się prawie sam dwu rzemiosł: mularki i stolarki. W lecie uprawiał rzemiosło mularskie, a w zimie – stolarskie. Gdyby był miał odpowiednią żonę-gospodynię, być może by był zdobył jaką-taką fortunkę. Ale jego Żona – a moja Matka – zbyt lekko podchodziła do życia. Pracował Ojczysko, lecz wszystko to szło na marne. O «zaletach» Mamusi dokładniej napiszę później. Z Zator Ojciec wyjechał do Warszawy i dostał się do pracy w Hucie Szklanej. Jak mi Ojciec opowiadał – zaczęło się Im nieźle powodzić. Ja byłem wówczas jeszcze dzieckiem: Warszawę pamiętam – jak w legendzie. Miałem tam już rodzeństwo. Jedna z sióstr moich, Marysia, zmarła w dzieciństwie w Warszawie; została pochowana na Bródnie. Pamiętam też dobrze, że ilekroć Rodzice byli w Warszawie, tylekroć odwiedzali jej grobek, odświeżając i strojąc mogiłkę.

2. Rodzina ojca[2]

Miał mój Ojciec w Warszawie rodzoną siostrę. Jak jej było na imię, nie pamiętam. Była bardzo przystojną kobietą i wielką damą. Z męża nazywała się Sałyga; za moich czasów była już wdową. Miała troje dzieci: dwie córki i syna. Jednej córce na imię było Julia; imienia drugiej nie pamiętam; syn miał na imię Zygmunt[3]. Kiedy żył jeszcze mąż, siostrze Ojca bardzo dobrze się wiodło. Mieli aż cztery dorożki i własny domek. W owych czasach ktoś, kto miał własną dorożkę, a nie był utracjuszem, mógł z biegiem czasu dojść do pokaźnego majątku. Po śmierci męża cioci się pogorszyło, ale nadal radziła sobie nieźle. Miał Ojciec i drugą siostrę w Warszawie. Ta była niezamężna. Mieszkała bardzo skromnie na jakichś Piaskach: miała tam

[1] Dochowała się tylko część pamiętnika obejmująca lata 1885-1935? oraz ostatnia strona z dedykacją dla dzieci i wnuków.
[2] Według legendy rodzinnej – w relacji Antoniego (sen.) – pierwotne nazwisko Jadackich brzmiało: Piaseccy. Nazwiska „Jadacki" zaczął używać pradziadek Antoniego (sen.) – Stanisław; miało to związek z rzezią Pragi przez wojska rosyjskie w 1794, z której miał się uratować z rodziny jedynie właśnie Stanisław.
[3] Ciotka Dziadka Antoniego, o której mowa, miała prawdopodobnie na imię: Rozalia; dziećmi jej byli: poza Julią i Zygmuntem – Marianna (po mężu: Kuchta). Rozalia miała – zdaje się – dwóch mężów: Jana Trześniewskiego i drugiego, po którym nosiła nazwisko: Sałyga. Wymieniona trójka – to były dzieci Trześniewskiego. Zgodnie z informacjami metrykalnymi Rozalia nie żyła jednak „za czasów" Dziadka.

chałupinę. Również i ona była kobietą przystojną, ale czas upływał i jakoś nie wyszła za mąż. Gdy nadeszły starsze lata – została dewotką-tercjarką[4]. Chodziła po wszystkich odpustach w Polsce i do wszystkich cudownych miejsc, o których zdołała się dowiedzieć. Kiedy byłem w Broku, odwiedziła mnie z matką Piszewskiej – po drodze do Częstochowy. Jeszcze się wtedy dobrze trzymała i widać było, że kiedyś musiała być urodziwa; świadczyły o tym piękne, wielkie oczy. Oprócz tych dwu sióstr Ojciec miał w Warszawie i dalszych kuzynów po [mieczu i kądzieli] – tak że Ojciec nie czuł się w stolicy osamotniony. Za ich protekcją Rodzice moi mogli się czegoś dochrapać w przyszłości. Ale... Właśnie w tym „ale" mieści się cała tragedia życia mojego Ojca i całego rodzeństwa. A było nas całkiem sporo. Dwie moje siostry – starsza Henia i młodsza Fela – zmarły w Wielęcinie na dyfteryt. W owych czasach nie było jeszcze – jak dziś – zastrzyków przeciwko tej chorobie: ot, pędzlowano gardło, a jeśli zrobiono to zbyt późno, dziecko dusiło się żywcem. Jeszcze gorzej było, kiedy pojawiła się gdzieś ospa: wtedy nie było domu, w którym ktoś by na nią zachorował; z tych co zachorowali, mało kto uchodził z życiem; a jak wyzdrowiał, to tracił urodę na zawsze. Kto przechodził ospę lżej, to pół biedy; ale kto miał ostrą ospę, to całe ciało, z twarzą włącznie, stawało się kostropate. Po każdej kroście pozostawał dołek, a zdrowi o takich mówili, że na nich diabeł groch młócił. Ludzie nigdy serdecznie nie współczują!

Ojciec miał jeszcze jedną siostrę rodzoną – także piękną kobietę. Ta wyszła za mąż za ziemianina – Podgórskiego – ze wsi Drwały, parafii Pniewo, gminy Obryte, powiatu pułtuskiego. Dobrze jej się powodziło, bo i ona i jej mąż byli ludźmi pracowitymi. Oprócz gospodarki wujek Podgórski miał sporą pasiekę. Nieraz – bywało – mój Ojciec odwiedzał szwagra i mnie ze sobą zabierał. Kiedy wujek nas oprowadzał po tej pasiece i jakaś pszczoła bzyknęła mi na uchem, zmiatałem – wtedy mały brzdąc – co żyw do cioci, choć wujek uspakajał mnie, że w jego obecności żadna pszczoła nie zrobi mi krzywdy. I rzeczywiście nigdy mnie żadna pszczoła z pasieki wujka nie ugryzła.

Wujek Podgórski miał kilkoro dzieci, więc Ojciec nie mógł liczyć na większą pomoc z jego strony. Zresztą trzeba przyznać, że z okazji każdych odwiedzin u wujka dostawaliśmy zawsze tyle miodu, owoców i tłuszczów, ile zdołaliśmy udźwignąć. No a Ojciec był wtedy młody, silny i mógł sobie sam świetnie radzić, gdyby nie wspomniane „ale".

Dalszych kuzynów – Jadackich – Ojciec miał jeszcze w Gulczewie koło Wyszkowa, ale u nich mało bywał, bo to było wiejskie chamstwo. Jeden z Jadackich był karbowym we dworze w Cieńszy, w powiecie pułtuskim. Było też wielu kuzynów po kądzieli noszących inne nazwiska.

Ojciec mój w piątym roku życia został sierotą: odumarli go oboje rodzice – więc dzieciństwo i młodość spędził na służbie, gdzie przeszedł twardą szkołę życia.

3. Rodzina matki

A teraz kilka słów o moim dziadku macierzystym – Józefie Zielińskim. Dziadek mieszkał wówczas we wsi Wielęcin, gminy Zegrze, powiatu pułtuskiego. Miał tam włókę ziemi, parę eleganckich koni, cztery krowy, a ponadto świnie, owce i drób. Dom dziadka – jak go pamiętam – był bardzo stary: składał się z jednej olbrzymiej izby i maleńkiej izdebki. (Proszę sobie teraz wyobrazić życie rodziny dziadka w tym domu. A jednak moją Matkę zawsze ciągnęło do tej hałastry.) Z domem stykała się stajnia dla koni i obora dla krów. Stajnię zamykano od wewnątrz domu na żelazną sztabę, aby zabezpieczyć konie przed kradzieżą, bo dawniej w każdej wsi był

[4] Ciekawe, że Dziadek nie zapamiętał jej – bądź co bądź rzadkiego – imienia: Scholastyka...

ktoś, kto naprowadzał koniokradów na źle strzeżone stajnie. Wokół domu był piękny, choć niezbyt duży ogród – pełen wyniosłych grusz, śliw, wiśni i agrestu bardzo dobrych gatunków. Nikt tych drzew nie czyścił, nie pielęgnował, nie nawoził – a rodziły: jedna z grusz, jesienna, dawała czasem 12 metrów owoców.

W lecie nieraz wynosiliśmy wszystkie łóżka z pościelą do ogrodu – i tam spaliśmy; w razie deszczu – sadowiliśmy się w stodole na sianie. Pamiętam, jak przyjemnie było spać, gdy nad głową śpiewają słowiki i szczygły, których w dziadkowym ogrodzie gnieździły się całe masy.

Tak się przedstawiał stan gospodarki dziadka w Wielęcinie.

Żona dziadka, a moja babka, była bardzo przystojną, pracowitą kobietą. Ulegała jednak dziadkowi we wszystkim – jak mój Ojciec Matce. Babka dożyła 75 lat, a dziadek – 109. Po śmierci babki ożenił się powtórnie i drugą żonę również przeżył.

Dzieci dziadek miał sześcioro: czterech synów i dwie córki. Starsza córka, Franciszka, wyszła za Balińskiego; młodsza – Katarzyna – za Jadackiego. Synowie mieli kolejno imiona: Jan, Stanisław, Adam i Aleksander. To były imiona nadane na chrzcie św. Ale w domu posługiwano się głównie przezwiskami. Najstarszego, Jana, nazwano „Jankiele", ponieważ był wysokim brunetem. Młodszego, Stanisława, bardzo przystojnego blondyna, przezwano „Psiutą", bo wszystkie dziewki za nim przepadały. Średniego, Adama, największego łobuza i świetnego tancerza, bracia ochrzcili „Abrumu". Najmłodszy, Oleś, ponieważ już od piątego roku życia handlował gołębiami, nazwano „Golapica", bo kiepsko jeszcze władając językiem, tak wymawiał słowo „gołębica". W domu posługiwano się tymi przezwiskami i nikt się nie obrażał ani nie uskarżał na to. Nawet rodzice musieli się z tym pogodzić.

4. W Wielęcinie

W wioskach zresztą w owym czasie większość ludzi miała swoje przezwiska. Jakie – o tym decydował zazwyczaj przypadek. Oto kilka przykładów.

W Wielęcinie była rodzina z trojgiem dzieci: dwiema córkami i synem. Chłopak do dziesiątego roku życia nie był w stanie opanować dobrej wymowy i przekręcał nieraz tak wyrazy, że nie można było zrozumieć, o co mu chodzi. Nie potrafił na przykład wymówić słowa „koniczyna" inaczej niż „kucina" – i został na zawsze Kuciną. To on zniekształcił imię Marysi Turkówny: w domu nazywano ją „Marcychą", a w jego wymowie brzmiało to „Cipa" – i w ten sposób Marysia została Cipą. Inny znów chłopak z Wielęcina – Staś Słabiak – dla swego wzrostu, a był wysoki i do swego wzrostu miał za cienkie nogi, przezwany został „Dydkiem" i tak już pozostało. W czasie jednej z kłótni dwóch sąsiadek jednej wymknęło się zdanie: „Cóż ty myślisz, że ja jestem taka goła pita jak ty?". I została Piciną, jej mąż Pitą, a dzieci – Piciakami. Jeden z naszych sąsiadów, Piotr Aksamitowski, trochę utykał na nogę i był sybiasty, koślawy, dostał więc przezwisko „Gajda", jego żona została Gajdziną, a dzieci – Gajdziakami. Itd. Itd.

Wielęcin składał się z 18 nędznych chałup. Pamiętały chyba potop, a jednak w każdej z nich gniotło się po kilkanaście osób. Całe szczęście, że za moich czasów trafił się tam tylko jeden pożar – u wujka Jankiela. Nie pamiętam też, żeby kiedykolwiek w Wielęcinie uderzył grom. Może dlatego, że woda podskórna była tam bardzo głęboko? Nawiasem mówiąc – cała wioska nie posiadała ani jednej studni. Wodę noszono na tzw. pydach ze dworu, odległego od wsi o 1/6 kilometra. Cztery wiadra wody musiały wystarczyć rodzinie na cały dzień. Dla inwentarza czerpano wodę z sadzawki, umiejscowionej na środku wsi. Dziwne, że nigdy nie wyschła i

nigdy jej nie wybrano do dna. Takich sadzawek było jeszcze za moich czasów pięć: trzy niewyschnięte i dwie zamulone. Te ostatnie zamuliły się pewnie dlatego, że hodowano w nich karasie. Za moich czasów karasie trafiały się już bardzo rzadko.

Trzeba Wielęcinowi oddać sprawiedliwość i przyznać, że wszystkie dziewczęta i chłopcy we wsi stanowili istny kwiat. Kiedy młodzież wyległa na drogę, to było na co popatrzeć. W trzech domach były jedynaczki, ale za to w jednym – było aż dziewięć córek i jeden syn. Dziwne, że nikt z tej gromadki nie chorował na żadną chorobę zakaźną. Ale w innych domach śmierć kosiła strasznie.

5. Okolice

Od Wielęcina do szosy warszawskiej jest kilometr drogi, a stamtąd kilometr do miasteczka Popowo, położonego tuż nad Bugiem. Z drugiej strony było 4 kilometry do Zator – wsi parafialnej, do której wówczas należał Wielęcin; dziś Wielęcin należy do parafii Popowo. Od Wielęcina w stronę Zator jest gościniec, który ciągnie się aż do Pułtuska. Przy tym gościńcu przez pierwsze pół kilometra leżały wielęckie pola uprawne; na tej przestrzeni po obu stronach drogi stały olbrzymie, niebotyczne topole. Co za cudowna to była panorama! Co za śliczny widok! Co za wspaniały cień i chłód w lecie! Nigdy się nie zdarzyło, żeby jakąś topolę zwaliła burza. Zwaliła ją jednak ręka Niemca-szubrawca,

Te topole należały niby do dworu. W owym czasie w Wielęcinie i okolicy istniały jeszcze folwarki. W Popowie miał swoją siedzibę pan dziedzic Stanisław Skarżyński. Lecz pan Skarżyński z żoną i dziećmi nie korzystał z chłodu topól w swych wielęckich dobrach, bo wolał cieszyć się cudami francuskimi. Dobrami rządzili administratorzy-rządcy. Otóż kiedy rządcą został niejaki Tur, wszystkie topole kazał pozrzynać. Nie zostawił ani jednej. Koło samej wsi stała topola z obrazem [świętym] w wyciętej wnęce: nawet tej nie darował – zrąbał ją nad tą wnęką. W ten sposób gościniec stracił swoje wielowiekowe piękno – przez Szwaba-drania.

Od Wielęcina do lasu było mniej niż pół kilometra. Najpierw szedł las chłopski, wielęcki, a potem dworski i rządowy. W czasach, kiedy ja tam się wychowywałem, lasy te były jeszcze ogromne i obfitowały w zwierzynę. Spotykało się sarny, a trafiały się i daniele. Najwięcej było dzików, lis, kun i zajęcy – oraz mnóstwo kuropatw i innego drobnego zwierza i ptactwa. Niestety, administratorzy dóbr dworskich rąbali las – działka za działką. Cóż: panowie–szlachta przebywali za granicą, a to kosztowało. Nie szczędził też lasów i Moskal. Przy wyrębie drzew i ja nieraz – mając zaledwie 12 lat – pracowałem z Ojcem. Wyrąb odbywał się przeważnie zimą. Bywało, że zwaliły śniegi do 3–4 metrów i najpierw trzeba było odwalić ten śnieg, żeby dostać się do sosny i ją zerznąć. Kiedy dana działka była już położona – przyjeżdżała specjalna komisja do sklasyfikowania drzewa. Drzewo pierwszej klasy było wywożone na bindugi – nad rzekę – którymi spławiano je w świat. Resztę piłowano i układano w sążnie, a gałęzie – w kupy.

6. Matka

W tym czasie mieszkaliśmy w domu dziadka.

Matka – jak wspomniałem – zawsze tęskniła do domu rodziców i robiła wszystko, żeby z Ojcem tam wracać. Przed takim powrotem wybierała się najpierw sama do Wielęcina, umawiała się z dziadkiem i ten przyjeżdżał po nas wozem drabiniastym zaprzężonym w parę koni. Wtedy zaczynało się wymarzone życie Matki – usłane rodzinnymi kłótniami, a nawet bijatykami.

Kiedy wyrąb lasu się kończył, biedny Ojczysko szukał nowej pracy, żeby dogodzić swej Kasi, która nic nie robiła, ale lubiła się pięknie ubierać. Suknie musiały być uszyte u pierwszorzędnej krawcowej w Serocku. Modne były wtedy suknie z watowanymi poduszeczkami nad tyłkiem – przyszywanymi na fiszbinach tak, aby uwydatnić figurę; cała taka suknia na fiszbinach rozpościerała się jak parasol. Nosiło się oprócz tego różne bufiaste bluzki, żakieciki i palta. A na lato – gdy się szło do kościoła – trzeba było mieć w ręku elegancką parasolkę i piękny stroik-kapelusik na głowie. Tak ubrana chodziła moja Matka do kościoła do Zator, 4 kilometry, lub do Popowa, 2 kilometry. Ojciec zaś zostawał w domu z dziećmi.

Nie mogę powiedzieć o swojej Matce, że nic nie umiała. Owszem – znała się na robocie domowej, bo przecież była córką gospodarską. Jak to jednak wyglądało w czasach, kiedy była u swoich rodziców, tego oczywiście nie wiem. W moich czasem Matka pracowała tylko dorywczo, sezonowo. Kiedy na przykład we dworze był nawał pracy, a żniwa się opóźniły, to dawano miejscowym chłopom-gospodarzom robotę. Szli do niej i moi Rodzicie – Ojciec z kosą, a Matka z sierpem. Jesienią brali udział – później już i ze mną – w wykopkach kartofli.

Sam dziadek prowadził swoje gospodarkę sumiennie i nigdy nie miał długów. Inna rzecz, że nie wyposażył z niej swoich dwóch córek. Sprawę wiana dla córek pozostawił synom – starszemu Janowi i młodszemu Stanisławowi – którym odpisał po połowie posiadaną ziemię. Spłaty dla córek tak zostały pokręcone, że starsza córka, Franciszka, dostała tylko 50 rubli i się odpisała, a młodsza – czyli moja Matka – niewiele więcej, bo 100 rubli. Nie były to duże pieniądze: za 50 rubli można było kupić dwie kiepskie krowy.

Matka, kiedy dostała te swoje 100 rubli w jednym banknocie, zamiast zacząć do nich dokładać, od razu poszła je rozmienić, żeby kupić buty Ojcu: na te buty wcześniej nie było pieniędzy, choć na poduszeczki nad tyłek – i owszem. Rozmienił im je Bogacki, organista w Popowie, który wziął banknot do ręki, ucałował – i wręczył rodzicom drobniejsze banknoty; inna sprawa, że – jak się okazało – jakoś i ten Bogacki niewiele na tych rublach zbudował. Więc jak się te pieniądze rozmieniło, to pomału poszły – i po posagu. I znowu brzegu z końcem nie można było związać.

7. Dawne zimy

Najgorzej było zimą. A dawniej, za moich młodych lat, zimy były o wiele sroższe niż teraz. Jak śniegi zwaliły, to do samych strzech chat i budynków gospodarskich. Sąsiad – żeby dostać się do sąsiada – musiał przekopywać tunel. A jakie wtedy były mrozy – niech Bóg broni. Płoty pękały, ziemia pękała.

W takie śnieżne i mroźne zimy zwierzyna przychodziła z lasu do samych wiosek. Kłusownictwo było na porządku dziennym; nie upragnęło się dziczyzny – nieraz przynoszono w zimie z nocy pól worka kuropatw. Dziś jak się zobaczy parę kuropatw – to tylko jako świadków. Kiedyś kuropatw było mnóstwo: uszło się parę kroków – i zrywało się ich stado. Pamiętam, jak babcia mówiła: „Jak wyginą kuropatwy, to wyginą i Żydzi”. Słowa te okazały się prorocze: Hitler wymordował Żydów, a i kuropatw zostało na pokazkę.

Zimy w tych czasach zaczynały się z listopadem, a kończyły przed 20 marca. Za to w końcu marca wiosna była już w pełni – a po zimie nie pozostawało ani śladu: jakby jej nie było. W polu zaczynała się praca.

8. Dziadek macierzysty

A teraz opiszę dokładniej osobę dziadka Zielińskiego. Dziadek poza zajęciami gospodarskimi w młodych latach uprawiał zawodowo muzykę: był okrzykniętym grajkiem. Grał na skrzypcach, na których prowadził prym. Dawniej w zespołach były tylko dwa instrumenty: skrzypce i klarnet – no i bas z bębnem do taktu. Dziadek jeździł wszędzie: na chrzciny, wesela, zabawy. Prowadził się przy tym dobrze: nie widziałem nigdy dziadka pijanego, ani nie słyszałem, żeby komuś ubliżył. Był raptus, nerwowiec – ale umiał się powściągnąć. Baby podmacywać lubił – ale nie przekraczał nigdy pewnych granic.

Po tym względem synowie daleko od niego odeszli: babiarze, pijacy i awanturnicy. Szczególnie «wyróżniał się» w tym wszystkim Adam-Abrumu: z każdego jarmarku czy odpustu musiał przynieść guza na głowie – łeb miał spisany samymi szwami. Pozostali bracia wiele z jego powodu ucierpieli, bo i im się nieraz oberwało, gdy stawali w jego obronie. Najspokojniejszy był Stanisław-Psiuta.

W każdą niedzielę u mego dziadka aż gotowało się od muzyki i tańców, a tańce nie mogą się obyć bez picia. Nic więc dziwnego, że moja Mamusia tak tęskniła do tego towarzystwa. Nawiasem mówiąc w czasie odwiedzin u dziadka mieszkaliśmy zwykle w izdebce-ciupce. Ale kiedy bracia wyrośli i najstarszy się ożenił, musieliśmy zatrzymywać się u sąsiadów – w podobnych lub nawet jeszcze gorszych ciupkach. Nie zrażało to Matki: tak była żądna sąsiedzkich plotek. A Ojciec nie umiał się Jej przeciwstawić: za mocno Matkę kochał.

9. Dzieciństwo

Cofnę się teraz do mych lat dziecinnych.

W Warszawie Rodzice wytrzymali zaledwie rok i przenieśliśmy się na Strugę pod Warszawą. Ojciec został tam leśnikiem-gajowym. Mogłem mieć wtedy jakieś 4 lata. Ze Strugi pozostały mi dwa obrazy-wspomnienia. Pamiętam, jak zimą Ojciec znalazł w lesie zmarzniętego Żyda. I pamiętam, jak kiedyś dziadek przyjechał na Strugę wozem drabiniastym, posadził mnie koło siebie, a ja wziąłem lejce w swoje rączyny i cmoknąłem na konie, żeby ruszyły z kopyta. Przyznam się, że dziadek mnie bardzo kochał, bo byłem wtedy jego jedynym wnukiem; jego najstarsza córka Franciszka, za Balińskim, była bezdzietna.

Ze Strugi wróciliśmy ponownie do Wielęcina – tym razem na czas dłuższy. Dziadek osadził nas w izdebce, o której już była mowa. Ojciec po kupnie butów z posażnych rubli Matki zaopatrzył się też w narzędzia stolarskie i zaczął wyrabiać prostsze sprzęty domowe. Nie obyło się bez kłótni z Matką, której się to nie podobało, i która dostała z tego powodu spazmów, aż Ojczysko musiał jej grzać fajerkę i kłaść około serca – bo tylko takie zabiegi wtedy pomagały. Ale tym razem Ojciec okazał się stanowczy. W odległym o dwa kilometry Popowie poznał bezdzietnego stolarza, Alojzego, uczciwości człowieka i mistrza w stolarce. Ów Alojzy pokierował Ojcem, udzielił mu odpowiednich wskazówek i zdradził różne sekrety stolarskie; nieraz też bezinteresownie pożyczał Ojcu – jak było trzeba – różnych statków stolarskich. A kiedy Ojciec zabrał się do robienia rzeczy trudniejszych, pomagał mu w sklejaniu, fornirowaniu i politurowaniu.

Pierwszym sprzętem, jaki Ojciec zrobił, były saneczki dla mnie. Ojciec posadził mnie na nie, w ręce dał bicz, sam chwycił za sznurek i kazał się poganiać jak konia. Ten obraz pozostał mi na zawsze w pamięci: jak okładam Ojca biczem i krzyczę: „Wio!”.

Przeszła zima i nadeszło lato. Na wprost nas mieszkał sąsiad – Józef Żmijewski. Miał córkę-jedynaczkę – Julcię, bardzo urodziwą pannę. Otóż ta Julcia mnie od razu polubiła i zawsze, kiedy szła po trawę dla krowy lub zielsko dla świń, albo pleć len, zawsze mnie ze sobą zabierała. Dostawałem od niej nieraz cukierki albo bułkę własnego wypieku, posmarowaną masłem. Kiedy teraz się zastanawiam, dlaczego mnie ze sobą zabierała i dlaczego zabierała ze sobą właśnie mnie, przychodzą mi do głowy dwa powody. Julcia – jak każda uczciwa dziewczyna – potrzebowała do towarzystwa kogoś, kto byłby stróżem jej cnoty; a ja się do tego szczególnie nadawałem, bo (mogę się tym pochwalić) byłem grzecznym dzieckiem.

10. Pierwsze nauki

Moje dziecinne dni upływają niepostrzeżenie – i oto mam już 7 lat: czas, by pójść do szkoły. Mojej Mamusi to specjalnie nie interesowało, ale Ojczysko znał biedę i wartość wykształcenia. Do szkoły – ale gdzie? Do szkoły w Zatorach były 4 wiorsty drogi i to koło lasu. Jak tu posyłać dziecko samo na taką odległość – zwłaszcza zimą, w śniegi i zadymki? Popowo, gdzie była także szkoła, odległe było o 2 wiorsty, ale to inna gmina, więc nie przyjmą. Co robić?

W Wielęcinie była staruszka – nazywała się Słabiak – która uczyła potajemnie miejscowe dzieci: potajemnie, bo gdyby ją z dziećmi wyśledziła jakaś собачка moskiewska, wsiąkłaby i staruszka, i jej wychowankowie. Niektórzy tyle się nauczyli, że mogli z tego korzystać podczas mszy św. Ale byli i tacy, którzy po trzech zimach nie umieli składać liter. Do jednego takiego nasza nauczycielka mówi: „A więc zaczynaj: A–P–T–E–K–A. Co to będzie?”. A ten odpowiada: „Capka”. Bo tej czapki było mu brak: latem i zimą z gołym łbem latał.

Otóż Ojciec postanowił, że mnie odda właśnie do Słabiak. Zaczęło się nas schodzić na początek pięcioro. Staruszka była dusza-człowiek, ale uczyła nas kiepsko. Była Mazurką i mazurzyła, i dzieci też uczyła po mazursku: nie istniało dla niej „ż”, „cz” i „sz”. Do Wielkanocy nauczyłem się: Be, A, BA, Ca, A, CA itd. Zrobiłem więc ogromny postęp. W czasie drugiej zimy musiałem sobie wszystko przypominać od nowa, ale szło mi już łatwiej. Na trzecią – nauczyłem się już czytać do mszy św.

11. Wiejskie zabobony

Trzeba trafu – a dla nas, uczniów, klęski – że nasza nauczycielka właśnie wtedy umarła. Jakieś dwa-trzy tygodnie po pogrzebie ta uczciwości-dusza poczyna straszyć swoje własne dzieci. A było to tak.

Kiedy się w jej mieszkaniu paliło światło, to nic nie było słychać; ale jak tylko światło zgaszono, zaczynała się robota na górze, na strychu. Rodzina zmarłej tak się tym przejęła, że prosiła do siebie na noc sąsiadów. Byli tacy, co po jednej próbie uciekali; byli tacy, którzy nie wracali, bo im cała sprawa zbrzydła. Biedna rodzina dała na kilka mszy, ale to nie odniosło skutku. W końcu zwieźli proboszcza, by ten wyświęcił przeklęty dom. Ale i to nie pomogło.

Aż jakiś czas później przechodził przez Wielęcin pewien wędrowny mędrek (w owe czasy takich ludzi, gotowych skorzystać z głupoty innych, włóczyło się wielu), który za odpowiednią zapłatę wykrył tajemnicę staruszki, rzekomo straszącej po nocach swych bliskich. Otóż dom był bardzo starą murowanką; kiedyś należał chyba do zabudowań dworskich. Nigdy go nie rozmontowano – nie naprawiano polepy. Na strychu zagnieździła się więc nieprzeliczona moc szczurów, myszy, tchórzy, kun i nietoperzy, a nawet puchaczów. I to ich harcami obarczano duszę biednej staruszki. Co za ciemnota! Dlaczego proboszcz nie zbeształ tych ludzi za potwarz

miotaną na zmarłą? Skąd taka uczciwa – i w dodatku religijna – dusza jak ona mogła po śmierci niepokoić swoich najdroższych krewnych? Ale cóż – księżom było dobrze z tym ciemnym narodem, bo ten naród się ich bał. Co ich mogło więcej obchodzić?

Za radą owego wędrownego mędrka mieszkańcy porobili w polepie otwory, tak by mogły w nie zmieścić się koty a nawet mniejsze psy. I zaczęła się prawdziwa walka. Kilka kotów zdechło z przeżarcia, ale na szczęście o koty na wsi nie trudno. A strachy się skończyły.

Powstaje pytanie, dlaczego tych rzekomych strachów nie zauważono wcześniej? Prawdopodobnie dlatego, że kiedy wszyscy żyli, nikomu nie przychodziło do głowy, żeby się tymi hałasami przejmować: wszyscy zasypiali twardo, jak tylko położyli się do łóżek.

12. Dalsza nauka

Mnie w każdym razie staruszka-nauczycielka dała z siebie tyle, że mogłem już od biedy czytać wszystkie książki. A że mój Ojciec znał wagę umiejętności czytania (którego nauczył się sam), więc pokierował dalej sam moją edukacją. Kupował mi u obraźników na jarmarkach różne książki, a ja je wszystkie czytałem – co prawda po mazursku. Później zacząłem się uczyć pisać – posługując się do tego celu zeszytami wodnymi. Nabrałem stopniowo dużej wprawy w czytaniu, bo zimą – kiedy miałem ze 12 lat – czytałem godzinami różne historie o Magellanach, Eustachiuszach i Zaklętych Królewnach ludziom z całej wsi, który schodzili się po to do nas całymi kupami. Bractwo słuchało i płakało.

W okresie między piątym a dwunastym rokiem życia trzykrotnie robiliśmy „wycieczki" mieszkaniowe. Mówiąc „wycieczki" – mam na myśli przeprowadzki, których inicjatorką była Matka. Ojciec zawsze szukał miejscowości, gdzie się chłopi budowali, bo wtedy stawiał im wszystkie mury wewnętrzne. Zwracał też uwagę na to, czy jest blisko do lasu, żeby łatwiej było o opał. Ale cóż z tego – Matka nigdzie miejsca nie zagrzewała. Zawsze znalazła jakiś pretekst, żeby lecieć do swego Wielęcina: a to potłukła jakąś babę, a to naubliżała jakiemuś chłopu. Wtedy dziadek zaprzęgał parę koni i zabierał do siebie. Kiedy dziadek oddał już gospodarkę synom – przyjeżdżał po nas jeden z wujów: Jankiele lub Psiuta.

13. Dwory

Opiszę teraz w jaki sposób Ojciec nauczył się mularki. Zaczął od kupna dwóch pędzli do bielenia mieszkań.

W owym czasie w okolicy było sporo folwarków: w samym Wielęcinie, w Jankach, Czarnowie, Henrysinowie i Przyługu; centrum – z pałacem i wszystkimi zagranicznymi ulepszeniami – znajdowało się w Popowie, gdzie mieszkał sam dziedzic, pan Stanisław Skarżyński. Dokładniej – państwo Skarżyńscy mieszkali głównie w Paryżu, a do Popowa zjeżdżali czasem na lato; w pałacu stale mieszkał tylko administrator – tj. rządca.

Sąsiedni dwór – to były Zatory, do których należały folwarki w Wólce, Mierzęcinie, Ostrówku, Psarach itd. W samych Zatorach był ogromny pałac, przed którym biła fontanna, olbrzymi sad i ogród. Była tam oranżeria i cieplarnia; kwiaty sprowadzano z zagranicy. Obok ogrodu był zarybiony staw. Całość była ogrodzona wysokim parkanem i pilnie strzeżona.

Podobnie było w Popowie. Właścicielem dóbr w Popowie był pan hrabia Iżycki. Państwo Iżyccy nieraz dłużej gościli w swych dobrach. Pani Iżycka często robiła sama obchód majątku – zawsze uzbrojona w laskę. Kiedy zauważyła coś w nieporządku, grzmociła tą laską tego, kto

się akurat pierwszy nawinął. Obrywał nawet pan administrator i pan ekonom. A bywało, że wlała i własnemu mężowi. Pani Iżycka była kolatorką. Oboje z mężem i całą rodziną mieli w kościele własną lożę – wysoko, koło samego ołtarza. Nieraz kościelny oberwał, gdy kiepsko pogasił świece i się dymiło. To była herod-baba. Córka państwa Iżyckich była kaleką. Kiedy dwóch kolejno sprowadzonych lekarzy nie umiało nic jej pomóc, trzeci wezwany lekarz, który także okazał się bezradny, dostał od pani hrabiny laską i wysłany do diabła.

14. Służba dworska

Każdy dziedzic w tych czasach miał rozbudowaną administrację. Na szczycie stał administrator, ten miał pod sobą ekonoma, a ekonom – karbowego. Oprócz tego byli i przystawcy. Dalej był gorzelany, który wyrabiał okowitę-wódkę; potem młynarz, kowal, ślusarz, rymarz, cieśla, bednarz, szewc i ogrodnicy, a nawet hodowcy ryb w stawach. Resztę stanowili robotnicy: fornale z rodzinami. W poszczególnych folwarkach byli już tylko: ekonom, karbowi, rymarz, stolarz, cieśla, ogrodnik i szewc.

Służba – fornale – mieszkali w murowanych ośmiorakach lub czworakach. Każdy fornal musiał chować tzw. posyłkę: dziewczynę lub chłopca do pomocy. Kiedy podrosły mu dzieci, to one pełniły tę funkcję; opłacało się to, bo jak się dało jeść, to swemu dziecku, a jak się sprawiło łach na grzbiet, to także swemu dziecku. Każdy fornal mógł chować krowę w pańskiej oborze. Żona parobka, jeśli była starowna, mogła świetnie wyżywić tę krowę i mleka im starczyło. Ale bydło parobków chodziło osobno, a pańskie – osobno. W zimie każdy fornal dostawał wywar z gorzelni: po dwa wiadra na krowę; a wywar to pożywna pasza dla krów. Każdy parobek dostawał ponadto 12 korcy zboża – ordynarii w naturze: żyta, pszenicy, jęczmienia itd. Miał też działkę na kartofle i na len. Chociaż więc nie otrzymywali wielkiej opłaty – czasem tylko w lecie dawano mi trochę więcej – żyło im się świetnie. Nigdy nie uwierzę w bzdury, że dworskiej służbie źle się wiodło.

Nawet i mój Ojciec próbował fachu karbowego. Funkcją karbowego jest: stać nad ludźmi i pilnować, żeby nikt nie usnął, tylko żeby wszyscy się ruszali – choćby jak żółwie. Ale czy mój Ojciec mógł gdzieś z Matką dłużej popasać? Nie wiem, czy tę funkcję karbowego pełnił dłużej niż od Wszystkich Świętych do Zadusznego Dnia.

Droga od każdego folwarku była wysadzana gatunkowymi drzewami owocowymi: jak grusze, to grusze; jak jabłonie, to jabłonie; śliwy, czereśnie, szlachetne wiśnie itd. Trzeba przyznać, że zatorskie folwarki miały glebę pierwszej klasy. Urodzaje zbóż i owoców bywały obfite.

15. Gospodarka Rodziców

Wracam teraz do Ojca.

Zaczął więc rzemiosło mularskie od kupna dwóch pędzli i chodził po folwarkach bielić chałupy u parobków na święta. Przy takim bieleniu a to temu poprawił kuchnię, a znów innemu – piec. I stopniowo zapoznawał się z układem przewodów i luftów i zaczął stawiać nowe mury w chałupach. Do takich robót i mnie nieraz zabierał; pamiętam, że od czasu do czasu oberwałem od Ojca kielnią po plecach, jak źle rozrobiłem glinę w korycie. W końcu Ojciec nauczył się stawiać wszystkie wewnętrzne mury w domach, a nawet budować piece kaflane. Gdyby Matka była gospodarna, byłby Ojciec wystawił sobie własny domek. Taki był zresztą – pamiętam – plan Ojca na przyszłość.

W Wielęcinie miał sklepik Żydek Chaim z żoną. W tym sklepiku – jak na owe czasy – mogłeś dostać wszystko: igłę, szwajcę, świeczkę, szkło do lampy i okna, kaszy wszelkiej, cukru, tytoniu różnych gatunków, mąki, a nawet pomarańczy, cytryn, fig, rodzenek, cynamonu, pieprzu, cebuli, goździków, liści bobkowych, nafty, wszelkich lekarstw na rozwolnienie – oraz piwa i wódki oraz wspaniałych śledzi. Nawet i produktów bławatnych najróżniejszego rodzaju też się znalazło. Wszystko to mieściło się w jednej chałupie – leżało jedno na drugim: cukier na nafcie, nafta na mące, cukier na mydle itd. Taki Żydek na wsi – to był istny «ojciec» wszystkich biedaków. Każdemu zborgował, a nieraz i pożyczył, ale odbierał – w stu procentach. Tam i kradzione rzeczy przyjęto – pod hajrem. Stary Chaim miał syna Abramka, który już był żonaty. Abramek trudnił się ubojem. Ale w owe czasy Żydzi świniny nie jadali. Więc Abramek bił tylko cielaki, stare i zdechłe krowy oraz barany. A z wołowiną u Abramka bywało różnie: temu się krowa wzdęła, temu udławiła, innemu padła itd. Abramek wszystko ogarnął i dobrze sprzedał.

Otóż kiedy Ojciec wracał ze świata – bo nieraz zapuszczał się daleko w poszukiwaniu roboty mularskiej – zawsze kilka rubli przynosił. Jak tylko Abramek dowiedział się o powrocie Ojca – już był u nas z mięsem i to z całą ćwiartką. Ojciec mówi: „Odetnij tam, Abramku, ze trzy-cztery funty". Abramek na to: „Uj, panie Jadacki, jak można taki kawałek ładne mięso psuć?". Ojciec: „Ale ja nie mam tyle pieniędzy. A po drugie, przecież i chleba trzeba kupić". Abramek: „A czy ja od pana Jadackiego zaraz chcę zapłata? Na moje sumienie: ani o tym pomyślałem". I już go nie ma: mięso zostawił i uciekł. Matka tej ćwiartki użyła na cztery razy. Jedliśmy wszyscy – ile nas było – przez cały tydzień. Był chleb – to z chlebem, a jak nie było – to samo mięso. Ma się rozumieć, że kochana Mamusia poczęstowała i swoje kumoszki. I tak z tym Abramkiem było zawsze: jak jest – to szelest, a jak nie ma – mrzej d... głód. Zanim Ojciec wrócił z pracy, Mamusia już tyle narobiła długu u Abramka i starego Chaima, że Ojciec po powrocie spłacał dług i wracał w świat, by znowu pracować na darmo.

Był czas żeśmy się dochrapali krowy. Ale żeby krowa dawała mleko, trzeba jej dać jeść. W lecie – to było pół biedy, bom ją pasał po drogach i dróżkach – albo i poszła z trzodą. Gorzej było zimą. Gdyby Matka była pracowita, to byśmy uciułali zielska i trawy, i w lecie dla jednej krowy nasuszyli. Ale nie z moją Matką. Zarobił tylko Abramek na naszej krowie – bo niedługo zdechła. Nawet Matczysko płakało, ryczało. Cóż, jak się nie ma oleju we łbie!

Chowaliśmy czasami i prosiaka.

16. Zarazy

Kiedy miałem siedem lat, Moskale zawlekli do Polski cholerę. Były wypadki śmiertelne. W każdym powiecie i w każdej gminie dano ogłoszenie, żeby wójtowie i sołtysi, jak ktoś zachoruje, natychmiast zawiadamiali władze zwierzchnie.

W Wielęcinie akurat zachorowała pewna kobieta i – ja. Ja po prostu przeziębiłem się i dostałem grypy. Do naszej wsi zjechała komisja z powiatu, bo sołtys zawiadomił władze, że we wsi jest dwoje chorych. Kiedy Matka dowiedziała się, że tę kobietę zabierają na furę, natychmiast ściągnęła mnie z łóżka, ubrała i kazała chodzić po pokoju. Kiedy komisja zjawiła się w naszym mieszkaniu, zaraz od progu zapytano o mnie. Matka na to: „U nas nie ma chorych. Ktoś nagadał głupstw. Proszę patrzeć – mój syn jest zdrów jak ryba". W ten sposób ocalałem, bo nie wiem, czy bym wrócił. O tych, których zabrano, słuch zaginął. Nie ma pewności, co się z nimi stało, ale fama głosiła, że tych biedaków otruto, żeby zapobiec rozprzestrzenianiu się epidemii.

W związku z tą epidemią, kiedy zaczęły się wypadki śmiertelne, nasz ludek polski – mocno wierzący – zaczął się uciekać do Boga i gorliwiej modlić. Zbierali się ludziska tłumnie nocami przy krzyżach i zanosili modły, aby Bóg odsunął tę klęskę od Polski. Czasem do najbliższego krzyża trzeba było iść kilometr i więcej. Zdarzali się wtedy śmiałkowie, którzy przebierali się na biało lub przykrywali białymi płachtami, ukrywali się w przydrożnych krzakach i kiedy ludzie wracali od figur – napadali na nich i straszyli.

17. Czary i wróżby

Za czasów mego dzieciństwa w każdej wiosce były dwie-trzy czarownice, a bywało, że i o niektórych mężczyznach mniemano, że mieli do czynienia z diabłami. Taka czarownica miała ciężkie życie. Każdy ją omijał, nigdy nic od niej nie przyjął. Czarownice nie tylko czarowały, ale też i mleko od krów sąsiadom zabierały. Księża tego nie zwalczali. No cóż, pewnie było im z tym dobrze.

Oprócz czarownic były i miejsca zaczarowane: bagna, trzęsawiska i rokicina. Mówiło się nawet: wygląda jak diabeł z rokiciny. Wierzono, że niejednego – pieszego czy jadącego końmi – takie diabły wodziły w kółko przez całą noc i tak stropiły, że dopiero następnego dnia rano odnajdywał drogę.

Były jeszcze uroki i zażegnywania. Krążyli wszelkiej maści znachorzy, owczarze, którzy leczyli ludzi o oznaczonych porach: zwykle o wschodzie i zachodzie słońca.

Wiele zła wiązało się z krzywoprzysięstwem. Jeśli kogoś do niego nakłoniono, a był człowiekiem mocno wierzącym, często umierał wkrótce ze zgryzoty. Ale adwokaci nie umierali...

Najgorszą plagą byli jednak Cyganie. Mężczyźni kradli, a ich żony – wróżyły. Wiara w ich wróżby była tak wielka, że prowadziło to nieraz do tragedii. Kiedyś Cyganka wstąpiła do chałupy, w której była gospodyni z podrastającą córką. Zaczyna od gosposi: plecie jej różne głupstwa – i dostaje trochę mąki i kaszy, i kawałek słoniny. Potem podchodzi do córki i mówi: „Niech panienka da sobie z ręki powróżyć". Panna trochę zawstydzona, ale ciekawa, co też ją czeka, podaje Cygance rączkę. Ta patrzy i mówi: „Moja panienko – źle! Panienka pożyje jeszcze tylko z rok, bo tak linie na dłoni wskazują". Naplotła jeszcze parę podobnych głupstw, dostała drugi kawałek słoniny i – dalej szukać głupich. Biedna dziewczyna tak się tą wróżbą przejęła, że już nie chciała nic robić i tylko myślała o rychłej śmierci. No i proszę: nie upłynął rąk – i zmarła. To była wiara!

18. Nauka po rosyjsku

Wracam do właściwego tematu.

Jak zaznaczyłem powyżej, w latach 1890–1897 kilkakrotnie zmienialiśmy miejsce pobytu. Ojciec próbował nieustannie odwieść Matkę od powrotów do Wielęcina, a szukał takich miejscowości, gdzie mógłby zarobić jako mularz i stolarz.

Jedną z takich miejscowości była Dąbrówka nad Bugiem, wieś kościelna, w której w tym czasie organistą był Ochrynik. W czasie pobytu w Dąbrówce mój mały brat, Janek, oparzył się gorącą kartoflanką i wiele przecierpiał, zanim się z tego oparzenia wylizał. Będzie o nim jeszcze mowa później. Byliśmy w Dąbrówce raptem pół roku – i znowu wróciliśmy do dziadka. Matka miała swój ukochany Wielęcin; ale Ojciec opuszczał go w poszukiwaniu pracy na całe tygodnie.

Tymczasem ja podrastam, a Ojciec koniecznie chce, żebym poszedł do szkoły. W końcu udało mu się do tego przekonać Matkę i znaleźć mieszkanie dla mnie w Pobyłkowie, parafii Karniwek – tuż nad Narwią za Serockiem – gdzie zacząłem chodzić do prawdziwej szkoły. Nauczycielem w tej szkole był niejaki pan Szabot, podobny – kropla w kroplę – do Sienkiewicza; dostał on od mojej Matki koguta, żeby mnie dobrze uczył. Właśnie w Pobyłkowie przyszedł na świat mój najdroższy braciszek Janek. Nic więcej stamtąd nie pamiętam – poza tym, że w końcu przyjechał brat Matki i nas zabrał: jak zwykle do Wielęcina.

Ojciec nie dał jednak za wygraną – i przenieśliśmy się do Somianki pod Wyszkowem – 6 wiorst szosą warszawską od Wielęcina, więc Matka często odwiedzała swoją wielęcką rodzinę. Szkoła była stamtąd o trzy wiorsty – na tak zwanej Strudze: stała koło samej szosy. Chodziło do niej sporo dzieci. Ucierpiałem od nich niemało – niewinnie, tylko dlatego, że byłem dla tych chamów inteligentem – a dawniej w szkole nieźle grzano. Wszystko to cierpliwie znosiłem, byle się uczyć; i rzeczywiście – w tej Somiance coś-niecoś się nauczyłem. Wynajmowaliśmy tam małą izdebkę; nasza gospodyni uchodziła we wsi za czarownicę. Pewnego dnia Matka pokłóciła się z nią, gospodarz stanął po stronie żony i napadł na Matkę. Wtedy Matka złapała tasaka i rozwaliła mu całą rękę; gdyby nie uciekł, chyba by mu łeb rozwaliła. Był to chłop silny, słusznej tuszy, ale moja Matka była bardzo odważna. Trzeba było się jednak stamtąd wynieść.

Ojczysko tym razem dał spokój na parę lat. Zaczęło się zwykłe życie w Wielęcinie. I znowu puszczało się pokrojone listki kartofli na wodę, żeby starczyło na dłużej; ale mięsa nie umiało się puszczać po kawałku – tylko po kawale. Ojciec wychodził w świat po robotę na całe tygodnie, a jak wracał, Matka oddawała długi Chaimowi i Abramkowi. Ja już na tyle podrosłem, że latem pracowałem razem z Ojcem, ale zimą mogłem chodzić te cztery wiorsty do szkoły w Zatorach – jeden jedyny z Wielęcina. Jak była dziesiątka na obiad, to dobrze; a jak nie było – to się i tak obyło. Na jeden rok Ojciec załatwił mi szkołę w Popowie, ale wolałem chodzić do Zator, choć było tam o wiele dalej.

Kiedy osiągnąłem piętnaście lat, miałem za sobą trzecią klasę начальной школы. W szkole nie można było rozmawiać po polsku, tylko trzeba było rozmawiać po rosyjsku. Chcę na przykład pożyczyć od kolegi pióra lub ołówka – to muszę mówić: Слуш, одолжи мне пера! Albo: Одолжи мне карандаша! Itd. Chcę wyjść na dwór – to wstaję i muszę powiedzieć: Господин учитель, позвольте на двор! Ale jak wybiegaliśmy na pauzę, to już było tylko po polsku. Raz do roku przyjeżdżał do szkoły inspektor Moskal i sprawdzał, czy dzieci dobrze się uczą po rosyjsku. Kiedyś dał mi – в память книгу о Пушкине...

Pewnego dnia po drodze do Zator zobaczyłem leżącego zająca. Podchodzę – nie rusza się. Biorę go na ręce i oglądam się, czy nikt nie widzi – z obawy, żeby mi go nie odebrano. Jeszcze był ciepły: widocznie kłusownik go rano postrzelił i biedak nie zdążył uciec do lasu. Ale co tu z nim zrobić? Gdybym szedł ze szkoły, to pół biedy; ale do szkoły – marna sprawa. Po namyśle postanowiłem go schować w lesie pod znajomą jodełką; nakryłem mchem i udałem się do szkoły. Nauka mi tego dnia szła źle, bo miałem głowę zajętą tym zającem. A nuż ktoś jednak mnie widział i zabrał zająca? Albo wywąchał go pies i pożarł? Niedaleko była przecież wioska – Wólka-Pieńki. Po lekcjach pędzę do mojej jodełki: Jest! Mieliśmy tego zająca na dwa razy – i ponadto wspaniały barszcz zajęczy.

19. Znowu w Wielęcinie

Kilka słów poświęcę teraz wujowi Stanisławowi Zielińskiemu. Wuj był cale cztery lata w wojsku w Rosji. Kiedy wrócił, rączki miał jak papierowe. Dlaczego? Bo grał w orkiestrze – i przywiózł nawet ze sobą piękny kornet, na którym nam potem grywał.

Starsi bracia Matki – Jan, Stanisław i Adam – wkrótce się pożenili. Został tylko Olek-Gołapica. Tego też wzięto do wojska. Kiedy wrócił, ja już też chorowałem na kawalera.

Muszę się teraz trochę cofnąć we wspomnieniach.

Kiedy w domu dziadka pojawiła się synowa, moja Matka nie mogła już u niego szukać schronienia, chociaż jeszcze ze dwa lata gnietliśmy się tam na kupie. Ojciec wynajął więc jakąś ciupkę u sąsiadów w Wielęcinie i tak się męczył ze swoją Kasią.

Było nas w Wielęcinie tylko dwóch, cośmy jako-tako pisali. Ten drugi, to był Stanisław Szczęsny, przezwany „Paluszkiem", bo żeby nie iść do wojska uchlastał sobie palec; stary Szczęsny, ojciec Stanisława, nazywany „Morosem" – bo miał takie same brwi i rzęsy jak jego pies Moros – załatwił to z wójtem. Otóż z tym Paluszkiem rywalizowałem w pisaniu listów dla całej wsi. W końcu go pobiłem, bo jednak – inaczej niż on – chodziłem do szkoły.

20. Kłusownictwo

W Wielęcinie było kilku myśliwych-kłusowników. Każdy z nich miał jednorurkę, a z jednorurką była bieda, bo taką flintę trzeba było nabijać stemplem. Wyglądało to tak. Sypało się w lufę porcję prochu, natykało pakułami i waliło stemplem, aż się wszystko ubiło; jednocześnie sypało się śrut lub tak zwane luftki; następnie na brantkę nasadzało się kapiszon i dopiero waliło. Broni – jak zwykle – nie wolno było trzymać. Ale kłusownicy wzajemnie się znali – i w razi rewizji jeden drugiego ostrzegał. U moich wujków też taka strzelba zawsze była.

Pewnego razu wujek Olek zabrał mnie ze sobą na dziki. Był sierpień – jeszcze widno. Pole Wielęciaków-gospodarzy graniczyło z Lasem Zatorskim, który należał do hrabiego Iżyckiego. Podeszliśmy do granicy i wujek zauważył w owsie dzika – tak wcześnie wyszedł na żer! Wujek kazał mi obejść dzika z przeciwnej strony i napędzić go wprost pod strzał. Ale dzik okazał się mądrzejszy niż się nam wydawało: uderzył w bok, obłożył polem i machnął do lasu.

Kłusownicy, wybierając się na polowanie, szli razem w nocy do granicy koło lasu i umawiali się, gdzie kto staje. Kiedyś jeden z nich nie powiedział kolegom, że wybiera się na polowanie. Pozostali rozstawili się na umówionych stanowiskach i czatują. Nagle kilku z nich zauważyło, że coś się rusza w miejscu, gdzie nikogo nie miało być – więc sypnęli w to miejsce. A stamtąd krzyk: „Nie strzelać, bo mnie ubijecie!". Okazało się, że to był Piotr „Gajda"; całe szczęście, że to było zimą, więc był opatulony, a na wierzchu miał kożuch – bo ten kożuch był w całości podziurawiony od śrutu i luftek.

Moim wujaszkom często udawało się upolować – czy to koziołka, czy dzika; a zając to był już powszedniością. Zimą zastawiali różne sidła-wnyki. Ja jakoś się tych rzeczy nie imałem; jeśli uczestniczyłem w polowaniach, to jedynie na gapia lub jako naganiacz.

Najstarszy wuj, Jan, nie służył w wojsku – właśnie jako najstarszy. Następny, Stanisław, był w wojsku, ale działo mu się tam dobrze, bo był w kapeli, a rosyjska orkiestra należała do pierwszych w Europie. Wuj Adam nie służył w wojsku, bo było kuternogą: wyrwali mu nogę z biodra, kiedy u dziadka – na muzyce – grali w brzduca; kiepsko mu ją zestawiono, tak że miał

ją krótszą i lekko utykał. Najmłodszemu wujowi, Olkowi – który też odbył służbę wojskową – było w Rosji dobrze, bo to był oberstrzelec, więc odbył ją w ochotnickiej komendzie.

21. Dalsza nauka

Ukończyłem szkołę w Zatorach, gdy miałem piętnaście lub szesnaście lat. Władałem trzema językami: rosyjskim, polskim i… mazurskim; czytałem też poprawnie po łacinie. W tej szkole nauczyłem się wreszcie czystej polskiej wymowy. Kiedy teraz poprawnie czytałem ludziom powieści, ludzie wybałuszali oczy i się ze mnie naśmiewali. Dostałem świadectwo warszawskie, bo w Warszawie je zatwierdzało ministerstwo oświaty. W rozmowach z kolegami i w domu posługiwałem się jeszcze jakiś czas językiem mazurskim. Ale kiedy zacząłem się uczyć na organistę, zacząłem mówić wszędzie i ze wszystkimi czystą polszczyzną – bez mazurzenia.

Kiedy otrzymałem świadectwo szkolne, stanęła sprawa, jak dalej mną pokierować. Nauczyciel radził Ojcu, żebym poszedł na telegrafistę. Ale Ojciec był człowiekiem bardzo religijnym; każdy ksiądz to był dla niego mały bóg, więc uznał, że zawód przy tym małym bogu – zawód organisty – będzie dla mnie właściwszy; poza tym wydawało mu się, że jest to zawód stosunkowo popłatny. Powstał jednak problem, u kogo mógłbym się tego zawodu wyuczyć: po posażnych stu rublach nie było już ani śladu, a nikt przecież nie zechce uczyć za darmo. Ojciec obmyślił więc, że odda mnie do Bogackiego, a ponieważ był już nie w Popowie, lecz w Ostrowi, więc wybraliśmy się tam obaj do niego.

22. Nauka zawodu

Bogacki przyjął nas jak wielki pan. Powiedział Ojcu, że zgodzi się mnie przyjąć za darmo – ale na sześć lat. Przez trzy lata mnie wyuczy zawodu, a przez następne trzy – mam u niego pracować i się wypłacić za naukę. Pozostałem więc u Bogackiego, ale wytrzymałem tylko dwa tygodnie, bo traktowano mnie tu bardzo źle. Napisałem o tym do Ojca; ten przyszedł po mnie i wróciliśmy do domu. Czy postąpiłem dobrze – nie wiem. W każdym razie Ojciec oddał mnie do organisty w Zatorach, pana Wieliszewskiego; płacił mu trzy ruble miesięcznie za naukę; zacząłem chodzić znowu codziennie z Wielęcina do Zator. Czy te trzy ruble opłaty za naukę – to było drogo? I tak, i nie. Dla nas było drogo. Więc Ojciec – pod rządami Matki – nie uiszczał regularnie tej opłaty.

Nauka odbywała się bez żadnych podręczników. Pan Wieliszewski dał mi po prostu kawałek papieru, na którym było napisane „Zasady muzyki” – i to wszystko. Była jeszcze Szkoła Różyckiego – a poza tym nic więcej. Organista pokazał mi tylko piąte-przez-dziesiąte jak z niej grać. Żadnego systematycznego przegrywania zawartych w niej ćwiczeń; żadnych zadanych lekcji! Tyle tylko, że poznałem nuty i ich podział; ale do tego już sam doszedłem metodą prób i błędów. Resztę kułem na pamięć: zwykłymi, prostymi akordami. Po roku umiałem już Litanię do Matki Boskiej, którą później grywałem co sobota na organach. Organy w Zatorach były w owym czasie bardzo małe. Nigdy nie brałem udziału w śpiewie ani w grze na organach podczas nabożeństwa.

Pół roku później mój pryncypał przyjął drugiego ucznia – Józefa Wiesiołka ze wsi Sadykierz, parafii Obryte. Józio był synem bogatych chłopów, więc był na stole u organisty. Był wyraźnie – choć nie rażąco – lepiej traktowany niż ja.

O moim pryncypale mówiono, choć w wielkim sekrecie, że zdarzył mu się wypadek: żona kościelnego miała z nim jakoby dziecko. To dziecko zmarło. Ale sam zauważyłem, że między panią organiściną a panem organistą są pewne kwasy. Po przyjęciu Józia pani organiścina zaczęła z nim romansować, ale bardzo delikatnie – tyle, żeby mężowi za jego dawny występek trochę dokuczyć. Ten jednak zachowywał się tak, jakby tego nie zauważał. Państwo Wieliszewscy mieli dwoje dzieci: w czasie, gdy tam byłem, córka Sabcia miała lat dziesięć, a synek Wacuś – pięć. Pani organiścina była dość przystojna i elegancko się ubierała: chodziła zawsze pod woalą. Mimo że stale narzekała na zdrowie, przeżyła swego męża.

23. Dziecko szczęścia

Na moje szczęście Józio był w Zatorach tylko rok, bo w Obrytem, jego parafii, zmarł organista Zalewski i Józio poszedł tam na zastępstwo.

Zalewscy mieli dorosłą już wówczas córkę Marysię, która przy ojcu poznała dość dobrze obowiązki organisty. A że zmarły Zalewski był długie lata organistą w Obrytem, więc proboszcz się zgodził, by Józio Wiesiołek z organiścianką Marysią objęli po nim funkcję. Józio co prawda dopiero poznał gruntownie białe klawisze, a czarnych tylko kilka; za to córka po zmarłym nieźle czytała nuty, a ponadto znała wszystkie obrzędy kościelne. Czego brakowało Józiowi, to dopełniała Marysia. I w ten sposób mój kolega Józio zdobył łatwo porządną posadę. A gdy Józio znalazł się blisko Marysi, niedługo trzeba było czekać, aż wywiązał się gorący romans – i Józio poślubił jedynaczkę. To, co się przydarzyło Józiowi, było naprawdę czymś wyjątkowym, bo był to chłopiec więcej niż brzydki, słabo wykształcony, a poza tym – kawał chama. A Marysia było delikatną, wypieszczoną jedynaczką. Wątpię, żeby się w nim rozkochała. Ale nie miała innego wyjścia, więc się poświęciła: dla matki i dla kariery. Mamusia Marysi nie była przeciwna temu małżeństwu, bo bez Józia gdzie by się podziały? W mieście sprawy, rzecz oczywista, wzięłyby inny obrót; ale na wsi nie było lepszej partii dla organiścianki.

Niedługo potem zmarła teściowa i państwo młodzi znaleźli się w dobrych warunkach. Na zewnątrz Józio i Marysia kochali się ogromnie; widziałem to, kiedy ich raz odwiedziłem. Ale dłuższym pożyciem z kochaną Marysią Józio się nie cieszył; widocznie odziedziczyła po ojcu gruźlicę i zmarła w kilka lat po ślubie, zostawiając Józiowi dwoje czy troje dzieci. I one nie były zbyt zdrowe; ile mu ich pozostało – nie wiem.

Józio opuścił Obryte i przeniósł się na jeszcze lepszą posadę. Utył jak prosiak, a że miał dość forsy – nawet go na tej nowej parafii zrobiono wójtem. No i drugi raz się ożenił. Widziałem go raz w Ostrowi, ale już mu coś szczęście nie dopisywało: zmarniał i nie był szczególnie przyzwoicie ubrany. Mam wrażenie, że to wójtostwo go zjadło; pewnie za dużo zaglądał w kieliszek. A poza tym nasi księżulkowie sobie nie życzą, żeby dwie sroki za ogon łapać; oni chcą tylko, żeby przed nimi padać plackiem.

24. Pierwsza miłość

Mam już siedemnaście lat. Mieszkamy w Wielęcinie, skąd codziennie chodzę rano do Zator i na wieczór wracam do domu. Natura-matka budzi mnie do dorosłego życia. Jak już zaznaczyłem uprzednio, droga do Zator wiodła ze dwie wiorsty koło lasu. Po jednej stronie gościńca był Las Zatorski, gdzie było moc zwierzyny. Po drugiej – pola uprawne, a tuż koło gościńca – wioska Wólka–Pieńki.

Otóż w tej wiosce poznałem Marysię Dobrzyńską – dziewczynę, którą pierwszą w życiu pokochałem. Panna Marysia często się ze mną spotykała: zawsze, kiedy wracałem z Zator od organisty, ona – ze swymi młodszymi siostrzyczkami też się ukazywała na mojej drodze. Czy to w lesie na jagodach, czy w polu za zielskiem – zawsze się oboje spotykaliśmy. Było ich wszystkich pięcioro dzieci: Marysia była najstarsza.

Trzeba przyznać, że państwo Dobrzyńscy mieli pretensję do szlachty. Inaczej się ubierali i inaczej gospodarzyli. Doszło do tego, że czasami osobiście u nich bywałem. Panna Marysia nie była pięknością, tylko miłą i sympatyczną dziewczyną. Ale nasz związek to był tylko młodzieńczy romans – nic więcej. Panna Marysia była w tym wieku, co i ja, ale ona była już niewiastą, a ja jeszcze podlotkiem. Czy ja mogłem marzyć o żonie – mając siedemnaście lat? A Marysia – tak. Wkrótce oświadczył się jej mój kolega z Zator, pan Tadzio Jagielski i został przyjęty. Ja nawet byłem mu starszym drużbą.

I tak się zakończyła moja pierwsza miłość.

25. Druga miłość

A ja nadal chodziłem codziennie do Zator do organisty. Na skraju lasu – po drodze – stoją budynki leśniczówki.

Pewnego pięknego dnia wracam do domu, a po przeciwnej stronie idzie śliczne dziecko z dzbankiem na ręku. I tak – kilka kolejnych dni: ilekroć szedłem w polu gościńcem, zawsze spotykałem tę ślicznotkę na swojej drodze. Zrozumiałem, że nie jestem jej obojętny i że chce ze mną zawrzeć znajomość. Co mam robić – taki młody szpicak? To nie była Marysia ze wsi, tylko dziewczyna inteligentna. Skąd się wzięła tu, w Zatorach, gdzie prawie wszystkie panny znałem – zarówno wiejskie, jak i spode dworu? Nie byłem jakimś łobuzem ani nawet łobuziakiem: Ojciec wszczepił mi głęboko zasady moralne i religijne. Nie miałem więc odwagi tej ślicznotki zagadnąć, a nie mogłem przecież wymagać, żeby ona pierwsza mnie zaczepiła.

Okazało się, że codziennie chodziła do tej leśniczówki z dzbankiem po mleko; a była córką żandarma, który mieszkał z całą rodziną w Zatorach. Ten żandarm – to była taka moskiewska собачка, która niczego poza carem nie widziała i nie uznawała; ale o tym dowiedziałem się daleko później. Była to więc Rosjanka – na imię miała Liza. Ale po polsku mówiła o wiele lepiej ode mnie: czyściutko, bez akcentu, dźwiękiem tak śpiewnym i miłym, że niech się schowa przeciętna Polka-inteligentka; ja zawsze miałem do czynienia z Mazurami, więc się krępowałem wdawać z nią w głębszą dysputę.

Wreszcie się jednak odważyłem i przeszedłem na tę stronę drogi, którą ona stale chadzała. Nie było wtenczas w zwyczaju po wioskach się rekomendować. Zresztą było to, prawdę mówiąc, zbyteczne, gdyż ona już o mnie wiedziała, kto ja jestem. Podchodzę więc już śmiało do niej i mówię: „Może bym ulżył pani tego ciężaru?”. A ona na to, że to jest zbyteczne, bo ten dzbanuszek z mlekiem nie jest wielkim ciężarem. Oboje wiedzieliśmy, że to jest tylko wstęp do bliższej znajomości. I rzeczywiście: od tej pory miałem w swej podróży stale i koleżankę, i znajomą, i kochaną dziewczynkę. Przyznam się, żeśmy oboje zachowywali się w czasie tych spotkań moralnie i przyzwoicie. Nie było tam żadnych komplementów. Ja ją na tyle szanowałem, że nie ośmieliłbym się do niej zbytnio zbliżyć. Ona również się mi nie narzucała. Ale odtąd zawsze była gotowa ze dzbanuszkiem towarzyszyć mi do leśniczówki.

Do tej leśniczówki od Zator można było liczyć półtorej wiorsty. Kiedyśmy dochodzi do leśniczówki, zamienialiśmy parę słów na pożegnanie, serdeczny uścisk dłoni – i każde ruszało w swoją stronę. A jednak pewnego razu zaczepił mnie gajowy i mówi: „Panie, niech pan sobie da spokój z tą dziewczyną, bo może być źle". Pytam go: „Dla czego ma być źle? Przecież sam pan widzi, że ja jej nie obłapiam, ani nie całuję, a że idziemy razem, to cóż to takiego strasznego?". A gajowy na to: „Przecież ode mnie do Zator jest półtorej wiorsty – i to polem, a zboża wysokie...". Ja aż raka spiekłem ze wstydu i odpowiadam: „Po pierwsze, ja jestem młody chłopiec, niezepsuty; a po wtóre – pan zna mego ojca i całą moją rodzinę, więc chyba to panu wystarczy. Ale jestem za delikatny, żeby pogardzać tak miłym towarzystwem: ani nie mogę przed nią uciekać, ani jej powiedzieć, żeby ze mną przestała chodzić". A gajowy na to: „To ja panu powiem więcej, właśnie dlatego, że was znam. Otóż ten Moskal, to jest jej ojciec, już wie o tych waszych romansach, i parokrotnie u mnie czaił się ukryty na górze, i obserwował was i wasze pożegnania. I gdyby coś zauważył, co by mu się nie podobało, gotów jest pana zabić. Niech pan nie zapomina, że to jest Moskal, a my Polacy. Więc pana uprzedzam i ostrzegam. Ta panienka jest młodziutka, bo ma zaledwie z górą piętnaście lat. Gdyby była dorosła, być może ojciec by nie mógł nic poradzić".

Podziękowałem gajowemu serdecznie i poszedłem do domu. Ale tym się zbytnio nie przejąłem, bo byłem ze swej strony w porządku. Przecież ojciec nie mógł ani swej córce, ani mnie niczego zarzucić. I tak trwało jeszcze z tydzień. Ale piękny kwiat nie kwitnie długo. Prędko da się zauważyć i zerwać. Naraz nasze spacery się urwały. Ojciec tej dziewczynki wyprowadził się do Pułtuska. Za trzy miesiące dowiedziałem się, że panna Liza wyszła za mąż.

Tak zakończyła się moja druga młodzieńcza, czysta miłość.

26. W Zatorach

Tymczasem przeprowadziliśmy się do Zator i zamieszkaliśmy u Kalinowskiego. Tu mój braciszek Janek, o którym wspomniałem na początku pamiętnika w związku z poparzeniem się kartoflanką, dostał silnej galopowej gruźlicy i umarł mi na ręku mając dziewięć lat. Pozostało nas czworo: ja, Genia, Cela i drogi-drugi Janek (obecny pijak). U Kalinowskiego nie zagrzeliśmy długo – nie wiem, czy dłużej niż tydzień – bo choć dom był blisko domu organisty, do którego chodziłem, to stał na skraju lasu, w pobliżu cmentarza grzebalnego, i Matkę... nawiedzali nieboszczycy. Ojciec wynajął więc mieszkanie we Drwałach, w wiosce odległej od Zator ze dwa kilometry. Ale i tam się Matce nie spodobało i przenieśliśmy się do innego domu, także we Drwałach, tyle że w środku wsi. Ale cóż: i to mieszkanie trzeba było wkrótce opuścić, bo wszyscy tam byli ludźmi pracy, mrówkami, i Matka nie miała z kim plotkować. Więc Ojciec wynajął z powrotem mieszkanie w Zatorach u Sobocińskich – rodziców matki obecnej Piszewskiej – skąd było do organisty kilkadziesiąt metrów. Oto jak wyglądało nasze koczownicze życie!

Do organisty chodzę już trzy lata. Mój pryncypał jakoś nie kwapi się, aby dopuścić mnie do organów. Gram – jak zwykle – co sobotę *Litanię do Matki Boskiej*. Znam już na pamięć wszystkie obrzędy kościelne, ale znam tylko teoretycznie – nie praktycznie. Wszystkich odpowiedzi po łacinie wyuczyłem się sam na fortepianie; podobnie – wszystkich pieśni przygodnych oraz nieszporów; poznałem pobieżnie kancjonał i wiele pieśni z nim związanych. Słowem – od biedy mogłem już awansować na organistę. Ale w owym czasie trudno było o jaką-taką posadę. Ze dwa-trzy razy wyruszaliśmy z Ojcem w poszukiwaniu posady, i nie udało nam się żadnej zdobyć. Więc chodziłem do organisty nadal, bo co miałem robić?

27. Rozparzeńcy

Z tymi organistami to było tak. Wielu było takich, którzy nie umieli pisać ani po rosyjsku, ani po polsku. Każdy taki rozparzony organista był więcej kościelnym niż organistą – a raczej spełniał obie funkcje, a brał zapłatę za jedną. W dni powszednie pracował jako kościelny, a w niedziele i uroczyste święta rzekomy prawdziwy kościelny pokazywał się dla pozoru parafianom. I chociaż taki kościelny był bardziej parobkiem niż kościelnym, był pewniejszy siebie niż organista. Bo takich organistów-rozparzeńców miał ksiądz wielu na zawołanie. A o dobrego parobka było trudniej. Toteż tacy niedowarzeni organiści trzymali się parafii zębami i nogami. Ja, choć w muzyce byłem słaby, pisałem prawie kaligraficznie. Pod tym względem Ojciec dopiął swego, mimo że kosztowało go to wiele nerwów i zdrowia: nauka szkolna nie poszła na marne.

Otóż taki niedowarzony organista był w tym czasie w Barcicach. Nazywał się Adam Jarosik. Był to stary kawaler: mógł mieć wówczas około trzydziestu lat – a może i przeszło. Miał u siebie matkę, która była mu i za matkę, i za służącą, i za gospodynię; ojca swego nie znał wcale. Boże! Co to była za karykatura organisty! Ni to pisać, ni to grać; a już śpiewać – to można było boki zrywać, jak zaczął układać usta, język – nawet plecy... Miał jednak jedną zaletę: umiał się podlizywać. I to go właśnie trzymało. Wszystkie służące u księdza całował w ręce, a Naczynie Duchowne[5] – to i w paluszki. Gdyby proboszcz wymówił miejsce takiemu człowiekowi, to powstałby ryk i trzęsienie ziemi. Hodował proboszczowi psy, kury, indyki... Doglądał ogrodu i pszczół. Nawet gdy się krowa cieliła (oczywiście nie u niego, bo takowej nie miał, a jak by miał, to by mu z głodu zdechła), to wzywano organistę, który się na tym daleko lepiej znał niż na fortepianie. Kościół był na drugim planie.

Proboszcz postawił mu jeden warunek: żeby nauczył się pisać akta. Na szczęście parafia Barcice była mała – liczyła zaledwie dwa tysiące dusz. Na razie proboszcz sam wpisywał wszystkie akta urodzenia, ślubów i zejścia do unikatu, a Adaś miał tylko przepisywać je do duplikatu. Mój Boże! Ile on zmarnował papieru! Ile go to kosztowało zdrowia! To wie tylko nas trzech: Bóg, ja i on sam. Ale nie było rady: akta trzeba było przepisywać, bo i episkopat mógłby zajrzeć w czasie wizytacji. Pan Adaś kupił więc ładną księgę – rozmiarów mniej-więcej duplikatu – i zaczął te akta na próbę w niej przepisywać. Kiedy ich kilka przepisał – pokazał proboszczowi do oceny. Jak mi opowiadała w sekrecie gospodyni, proboszcz spojrzał na te próby i pyta: „Zna Adaś Amerykę?". „Znam" – powiada Adaś – „ze słuchu". Proboszcz: „A czy to daleko do tej Ameryki?". „Adaś odpowiada: „Za morzem – bardzo daleko". A proboszcz na to: „Mój Adasiu! I od twojego duplikatu do unikatu tak daleko. Nieprędko pozwolę ci akta do prawdziwej księgi wpisywać. Ale akta z unikatu w duplikat muszą być wpisane. Jak to zrobisz – to nie moja rzecz. Pisz nadal, litera za literą, słowo za słowem – choćbyś miał pisać bodaj po tysiąc razy jeden akt, aż się nauczysz na pamięć, jak małpa w klatce. Ale te, co są w zapasie, muszą być zaraz wpisane do duplikatu. To jest twój obowiązek. Co mogłem, to ci zrobiłem – reszta należy do ciebie".

Cóż miał robić biedny chłopak? Zjawił się pewnego dnia u mego pryncypała w Zatorach – u którego rok pobierał nauki, tyle że długo przede mną, więc go słabo znałem – i prosi go o pomoc. Mój pryncypał pewnie by mu te akta przepisał, ale chyba sam nie bardzo potrafił; w Zatorach aktami zajmował się proboszcz-sknera, który przepisywał je z wielką starannością – niemal kaligraficznie: ani mój pryncypał, ani ja nie byliśmy do tego dopuszczani. Ostatecznie

[5] „Naczyniami Duchownymi" nazywane są w pamiętniku zatrudnione na plebaniach.

uradzili obaj, że ja się tym zajmę. A ja – nie mając nic do stracenia – chętnie się zgodziłem. Pan Adaś wynajął furmankę i pojechaliśmy do Barcic.

Na drugi dzień Adaś przedstawił mnie proboszczowi. Ten dał mi arkusz czystego papieru i poprosił, żebym na nim przepisał jeden akt. Kiedy przepisałem, proboszcz popatrzył, zawołał Adasia i mówi: „Patrz Adasiu! To jest pismo!". Adaś cały zzieleniał... Ale ja byłem delikatny z usposobienia i nie zamierzałem pod Adasiem dołków kopać, żeby wykorzystując swoją przewagę wygryźć go z posady. I Adaś to docenił. Latał koło mnie – jak babka przy położnicy. Miałem świetną wyżerkę, bo akta przepisywałem u proboszcza – więc i stół miałem u proboszcza. Tylko sypiałem u Adasia w dziurawej organistówce. W końcu przepisałem wszystkie akta, które były w zapasie i wróciłem do domu.

Dodam jeszcze, że Adaś swoją chytrą przebiegłością jakoś pokonał wszystko: po dwóch latach nauczył się pisać na pamięć i proboszcz pozwolił mu w końcu bazgrać te akta. Mówię „bazgrać" – bo to było nie pisanie, a bazgranie.

28. Trzecia miłość

A ja chodziłem dalej do organisty w Zatorach... Bo co miałem robić? Musiałem czekać na jakiś los szczęścia – na to, że Opatrzność i na mnie zwróci kiedyś Swe Oko. Moj Ojczysko, marząc o wykierowaniu mnie na bakałarza, myślał, że na tym w trójnasób skorzysta. Po pierwsze, Ojciec uważał, że skoro organista ma stale do czynienia z kościołem, to łatwiej wprowadzi swoich bliskich do Królestwa Niebieskiego; jak wspomniałem, myślał, że księża są już tu, na ziemi, pół-świętymi; nie wiedział jeszcze o tym, że oni pracują tylko dla zysku i spraw doczesnych – przekonał się o tym na własnej skórze daleko później. Po drugie, Ojciec uważał, że posada organisty zapewni mi godziwy byt materialny – i że całej rodzinie się poprawi. Po trzecie, Ojciec uważał, że będzie miał do śmierci u mnie zapewniony kąt. Niestety, okazało się, że we wszystkich trzech punktach Ojca czekał zawód.

A teraz chciałbym opowiedzieć o swojej trzeciej miłości.

Co sobota grałem – jak zwykle – *Litanię do Matki Boskiej*; po trzech latach grałem także godzinki w niedziele i święta rano. Przed litanią uderzało się kilka razy w dzwon, a gdy się szło na chór, to jeszcze uderzało się kilka razy w sygnaturkę – na znak, że litania się rozpoczyna. Zawsze rozglądałem się po wnętrzu kościoła, czy też ktoś na te moje modły przyszedł. Nigdy na tej litanii nie widziałem proboszcza ani Naczynia Duchownego; toteż i ludzi prawie nigdy nie było. Po co to było więc ciągnąć? Grałem, śpiewałem i sam sobie odpowiadałem.

Otóż podczas pewnej takiej sobotniej litanii zauważyłem z chóru klęczącą na dole damę – jasną blondynkę, mającą może ze dwadzieścia lat. Dama miała w oczach łzy: rzęsiste łzy. Dlaczego płakała – taka młoda, niebrzydka panna? Odtąd widywałem ją później co sobota na litanii – i często znowu ze łzami w oczach. Z kościoła wychodziła ostatnia, jeżeli poza nią w ogóle ktoś jeszcze tam był. Pewnego razu zamykałem kościół, a moja dama prawie otarła się o mnie. Zaczepiłem więc ją: była to najstarsza córka miejscowego ekonoma. Zawiązał się między nami romans – który tym razem rozwijał się bardzo szybko: bo nie tyle ja, ile panna Bronia napierała.

Jej rzekomy ojciec, ekonom, był prawosławny, a matka była Polką; sama Bronia była zapisana w katolickich księgach metrycznych – na matkę. Takie mieszane małżeństwa pod zaborem rosyjskim wcale nie należały do rzadkości. Reszta rodzeństwa Broni była już ochrzczona w cerkwi i nosiła nazwisko ojca. Bywając później w domu Broni zauważyłem, że między nimi

były pewne odrębności. Rodzice jej byli jeszcze młodzi, oboje bardzo przystojni i – trzeba powiedzieć – inteligentni. Przyznam się, że to właśnie u nich nabrałem ogłady towarzyskiej. W czasie moich wizyt papa nas nie krępował; przeciwnie – czasem się z nami bawił.

Miałem w zapasie drugą panienkę, Lodzię, córkę miejscowego technika-ślusarza. Ale z Lodzią rzadko się spotykałem, bo Lodzia miała młodszą siostrę Izię, więc trudno mi było aż dwie bawić. Nie będę ukrywał, że taki chłopiec jak ja miał w Zatorach pewną cenę. Chodzi o to, że oficjaliści dworscy żyli w zamkniętym, odrębnym świecie – i nie zadawali się z wsią. Łatwo więc można było zawrzeć znajomość.

29 Burze w Zatorach

Zatory w tym czasie były dużą wsią: ciągnęły się z półtora kilometra, zabudowania były po obu stronach drogi; nieopodal była szkoła i kancelaria gminna. Kawałeczek drogi wysadzany był olbrzymimi lipami, a nieco dalej był staw. Koło stawu rozciągał się ogród hrabiego: spacerowy, luksusowy, ze wszystkimi – jak zaznaczyłem wyżej – ulepszeniami: szpalery, aleje, uliczki, trawniki, klomby itd. Kwiaty, kwiaty i jeszcze raz kwiaty. Pośrodku olbrzymi pałac, przed pałacem fontanna i znowu kwiaty. Inspekty, oranżerie, cieplarnie i lodownie. Z boku budynek gorzelni, a naokoło budynki dla oficjalistów i służby. Zaraz obok kościół, plebania i organistówka. Wszystkie zabudowania – murowane. Razem czyniło to z Zatorów miejscowość przepiękną. A jeszcze tuż-tuż las, ciągnący się do samego Pułtuska: piętnaście wiorst.

Plagą okolicy były burze w lecie: pożary i śmiertelne porażenia. Mówi się, że gromy walą tam, gdzie wysoko. Zatory – zda się – położone były nisko, a gromy waliły często i to omijając wysokie drzewa, a waląc w niskie zabudowania. Opiszę dwa takie wypadki.

Pewnego dnia siedzimy sobie w pokoju z panią ograniściną i jej dwojgiem dzieci. Pan organista majstrował coś tam na podwórku. Naraz robi się ciemno: nadchodzi burza. Gromy walą; my skuleni czekamy końca tej kanonady. A pan organista chodzi sobie po podwórku i patrzy w górę, jak się ze sobą te błyskawice ścierają. Woda się z niego leje ciurkiem, a on sobie nic z tego nie robi. Naraz – bęc! Tuż koło nas – niedaleko. Pana organisty nie widać: przepadł jak kamfora. Po chwili przychodzi i zabiera nas do dwu osób rażonych od gromu. Ze dwieście kroków od organistówki stał budynek dworski w jednym kluczu, ciągły, w którym mieszkali kolejno: nadleśny, rymarz, ekonom, młynarz i Żyd-pachciarz. Nadleśny niedawno się ożenił i pojechał z żoną do Warszawy po sprawunki. Służąca, żeby się przypodobać państwu, postanowiła gruntownie posprzątać w domu i przynajęła do tego jeszcze jedną dziewczynę; obie miały nie więcej jak po 16 lat. Zmywały i szorowały właśnie podłogę. Lufcik był otwarty. Na ścianie wisiała dubeltówka. I oto uderza piorun i we wszystkich mieszkaniach owego budynku pozostawia ślady. U nadleśnego zabił służącą i poparzył jej towarzyszkę, tak że trzeba było ją odwieźć do szpitala w Pułtusku, a dubeltówkę skręcił jak obarzanek. U młynarza kontuzjował i ogłuszył dwie córki; u ekonoma zerwał wszystkie obrazy i poprzewracał i osmalił wszystkie figurki, które stały na meblach. U Żyda-pachciarza obdarł wszystkie piece aż do wiązań drucianych; a że było to w sobotę, więc Żydzi akurat piekli pieczywo na szabas i Żydówki stały akurat koło tych pieców; na szczęście nic im nie zrobił złego i wyleciał dachem, niszcząc jedną dachówkę.

Innym razem burza wypadła, kiedy mularze robili parkan wokół kościoła, plebanii i budynków plebańskich. Wydawało się, że już przeszła, i proboszcz stanął z jednym z mularzy, może dwudziestoletnim chłopcem, na ganku przed progiem plebanii. A tu – bęc! Mularz wali się

trupem księdzu proboszczowi pod nogi, a jemu – nic. Potem okazało się, że ten piorun był i w pokoju gosposi, gdzie poprzewracał wszystkie cacka na komodzie.

30. Zerwanie

Wracam do romansu z panną Bronią.

Sprawy zaszły już tak daleko, że nie tylko ja chodziłem do domu Broni, ale i ona do nas przychodziła. Rodzice nie mieli nic przeciwko temu, bo nie mogli mi niczego niemoralnego zarzucić. Ale moja Bronia, jak się później okazało, flirtowała nie tylko ze mną.

Wiadomo, że przy tak wielkim dworze jak w Zatorach chłopców nie brakowało: młynarczycy, pomocnicy gorzelanych, rozmaici subiekci, rymarczycy, lokajczycy, mularczycy i malarze. Otóż pewnego wieczora, gdy wracałem troszkę później od organisty do domu, napadło na mnie z zaskoczenia – spod mostu – dwóch chłopców z kluczami; na szczęście udało mi się zwiać, ale łeb mi tymi kluczami rozwalili. Okazało się później, że Bronia zdradziła nasz sekret: to, co jej o tych chłopcach kiedyś powiedziałem; jeden z nich był malarzem, a drugi – lokajem. Dostałem dobrą szkołę i nauczkę na przyszłość.

Po tym napadzie chciałem zerwać z Bronią, ale z takim diabłem jak Bronka niełatwo się było od razu rozstać. Nie widziałem się z nią z tydzień, aż pewnego dnia, kiedy nie było mnie w domu, przyszła do nas jak gdyby nigdy nic. Moja Matka złapała miotłę i pannę Bronię zdzieliła po buzi, wołając: „Paszoł won, ty k....!”. Ale Bronia nie dała za wygraną. Po pewnym czasie znów przyszła, Matkę ucałowała, przeprosiła i powiedziała, że ona niczemu nie jest winna. No i troszkę stosunki się poprawiły. Ale ja już byłem ostrożny i jej łzom nie wierzyłem.

Po roku jej rodzice się wyprowadzili do Grajewa i nasza sielanka się zakończyła. Parę razy pisaliśmy jeszcze do siebie – ale coraz rzadziej. Aż w końcu wszystko ustało.

31. Widoki na przyszłość

Tymczasem z wojska powrócił wujek Olek-Gołapica i zaczął często przyjeżdżać z Wielęcina. Mamusi zrobiło się od razu weselej, bo miała z kim poplotkować. Zaraz też zapoznała go z pannami Sobocińskimi – i wkrótce jedna z nich została żoną wujka; ich córka – to pani Piszewska w Warszawie.

Miałem i ja jeden przypadek, z którego mogłem skorzystać i mieć – jak na początek – świetną posadę. A było to tak. W Zambskach organista Kocot powracał z miasta Makowa i po pijanemu z koleżkami zwalili się z mostu, a ci tak go potłukli, że jak wrócił, położył się do łóżka i już nie wstał, aż go wynieśli na cmentarz. Kocot miał troje dzieci. Najstarszy synek mógł mieć z osiem lat. Pani Kocotowa mogła mieć trzydzieści lat z górą. Wypadek miał miejsce na początku karnawału.

Kocot najpierw napisał do mego pryncypała, czy nie ma czasami takiego ucznia, który by go mógł zastąpić w chorobie – mając jeszcze nadzieję, że wyzdrowieje. Więc mój pryncypał nie odpowiedział na list, tylko poradził mi, żebym nie omieszkając od razu do Zambsk się udał. Tak też zrobiłem.

Jestem więc na zastępstwie u organisty w Zambskach. Z odpowiedziami poszło mi dobrze, ale nie mogłem poradzić sobie z organami. Trzeba przyznać, że organy w Zambskach były piękne – tylko nie dla takiego początkującego ucznia jak ja. Próbuję w rozmaity sposób i nic z tego nie wychodzi. Co wyciągnę któryś głos, to beczy. Aolina była śliczna – tak cichutko grała, jakby

gdzieś za górami – ale to było za cicho. Inne znowu – grały za głośno. Nie można tak grać w niedzielę. Nie widziałem jeszcze takich organów; a jeżeli widziałem, to tylko z posadzki kościoła – rury. Żeby to było lato, to zamknąłbym się w kościele i sobie stopniowo dobrał odpowiednie głosy. Radziłem się chorego Kocota, ale jemu z każdym dniem robiło się coraz gorzej. Proboszczem w Zambskach był wówczas ksiądz Wacław Przedpełski. Radziłem się i jego, ale i on widocznie tyle się na tym znał, co i ja. A zresztą w ogóle nie zwracał uwagi na grę. Dobrałem sobie ostatecznie baryton i kilka cichych głosów i tak na tych organach rzępoliłem. Życie miałem już odpowiednie. Z proboszczem chodziłem po całej parafii po kolędzie. Byłem – co się zowie panem organistą w Zambskach.

Panu Kocotowi z każdym dniem robiło się coraz gorzej. Pani organiścina przewidywała, że spotka ją katastrofa, bo zaczęła mi nadskakiwać. Ale cóż mogło mnie do niej ciągnąć po Marysiach, Lizach i Broniach?

Tymczasem ksiądz proboszcz po paru tygodniach woła mnie do siebie i pyta: „Co ty tam, taki młody chłopiec, robisz, że siedzisz stale w domu? Przecież ty sobie d... odparzysz!" (Szkoda, że nie było przy tym Ojca, bo by był usłyszał, jak się księżulkowie wyrażają...) Dość, że mnie prawie zmusił do pracy fizycznej z kościelnym. Nie była to – przyznaję – praca ciężka, ale dla pana organisty i to tymczasowego bardzo upokarzająca i mnie do siebie tym proboszcz bardzo zraził. Pomagałem kościelnemu sieczkę rżnąć i wykonywać inne drobne robótki przy plebanii. Postanowiłem, że nawet jeślibym miał czekać jeszcze pięć lat, nie będę sługą proboszcza, który ma do tego kościelnego i służbę. Zambski – to parafia z górą cztery tysiące dusz, więc organista ma czym czas zapełnić.

32. Napad na księdza

W czasie mego pobytu w Zambskach wydarzył się niezwykły incydent.

Otóż rano, przed mszą św., przyszedł – rzekomo do spowiedzi – jakiś dosyć przyzwoicie ubrany jegomość. Kiedy proboszcz przyszedł do zakrystii, mówi do nas: „Uważajcie, czy ten jegomość będzie przystępował do komunii św. I to na razie wszystko". Po mszy św. nasz jegomość zaszedł do proboszcza na plebanię i – może pół godziny później – został tam aresztowany przez policję, która go obezwładniła i przytrzymała na razie na plebanii. Po jakichś czterech godzinach zjawił się jego rodzony brat z Sokołowa tejże parafii. Później pojawiła się także bratowa z dziećmi. Zapakowano ich wszystkich na furę i odwieziono pod konwojem do powiatu – do Pułtuska. A za nimi w ślad pojechał i proboszcz.

33. Stracona możliwość

W zambskiej parafii był dwór w Sokołowie, który miał własną kaplicę. Państwo z tego dworu często kupowali msze i proboszcza do tej kaplicy zapraszali. Więc i ja zmuszony byłem z proboszczem jechać. Zawsze przysyłali elegancki wolant po nas i z powrotem. Byłem tam dwa razy. W kaplicy stała fisharmonia, więc rzępoliłem i gniotłem ile wlezie. Po takiej mszy proboszcz był zapraszany na poczęstunek, z którego wracaliśmy w nocy. Dzięki temu spróbowałem jaśniepańskich smakołyków. I tak mi schodził karnawał w Zambskach.

Aż tu pewnego poranka słyszę krzyk i płacz organiściny: zmarł jej mąż. Bardzo uroczyście pochowaliśmy kolegę Kocota – z wszystkimi przysługującymi mu honorami. A po paru dniach powiedziałem proboszczowi, że chcę opuścić Zambski. Proboszcz przyjął to do wiadomości, ale jego zacna matka zawezwała mnie do siebie i mówi: „Co ty kochanku myślisz? Mój syn

bardzo pochlebnie się o tobie wyraża – a ty tym pogardzasz? To bardzo nierozsądne z twojej strony!”. A ja na to, całując ją w rękę: „Proszę pani! Mam jeszcze pewne braki, które muszę uzupełnić, więc nie mogę tu zostać na posadzie organisty”. A ona: „Ależ te braki mój syn ci daruje i powoli je usuniesz. Pomyśl, dziecko! Dla ciebie to wielka kariera! Pomyśl, zastanów się i w ciągu tygodnia daj mi znać”.

Ale Zambski miały być jeszcze nie dla mnie. Nie czekałem tygodnia i je pożegnałem. Nie mogłem patrzeć na sieroty po organiście. Byłem zbyt religijnie wychowany przez Ojca, żeby postąpić inaczej. Powróciłem więc do domu w Zatorach. Czy dobrze zrobiłem? Nie wiem. Tak widocznie musiało być. Nie ukrywam, że najbardziej do Zambsk zraziła mnie ta nieszczęsna sieczka.

34. Niemądra pobożność

Człowiek nie może i nie powinien być zbyt religijny – bo zginie. Wierzyć – ale tylko do pewnych granic. Nie tak jak mój Ojciec, który wierzył w sposób niemądry. Wielu w owe czasy było takich ludzi. Toteż przez swoją głupią wiarę powoli zdychali. Mój Ojciec by po dwakroć głupio wierzący. Latał po wszystkich odpustach i prowadził na nie całe kompanie.

Do świętych miejsc, gdzie musiał być co roku, na Pańskie Przemienienie, należał m.in. Radzymin pod Warszawą. Na taki odpust przychodzono zawsze w przeddzień. Zanim Ojciec ze swoją kompanią wszedł do wnętrza kościoła, obchodził go na zewnątrz procesją. Może z półtorej wiorsty za Radzyminem była chałupka i parę wysokich drzew. Koło tej chałupki była cudowna studzienka. Rano, w dzień samej uroczystości, szły kompanie z Radzymina, z kościoła, ze śpiewami do tej studzienki; zwykle śpiewano godzinki do Matki Boskiej. Tam odbywała się ceremonia picia cudownej wody.

Kiedy kompania wkroczyła na teren Zjawienia (bo tak to miejsce nazywano), przełożony kompanii ustawiał swoich ludzi w rząd. Przy studzience była siostra przełożona, stara dewotka, która tę wodę czerpała i wydawała ludziom za dobrowolną opłatą. Każdy najpierw napił się tych brudów – bo nie można było tego nazwać wodą na tyle narodu, co ją piło – a resztą się umył. Pierwsze – po to, żeby nigdy nie bolało go gardło; drugie – żeby zmazać grzechy. Oto jak kler urządzał chytry wyzysk! I ja kilka razy byłem w Radzyminie, piłem tę wodę i się nią myłem. Ale jakoś mnie to nie uchroniło przed chorobami gardła: kiedyś tak mocno zachorowałem, że trzeba było wzywać lekarza. Po ceremonii kompanie wracały do kościoła, żeby wysłuchać gorliwych, potoczystych kazań księży-kaznodziejów, których wtedy nie brakowało.

Takich miejsc było więcej: Popowo – odpust na Zielone Świątki; Barcice – na św. Stanisław; Zatory – na św. Małgorzatę; Prostyń za Małkinią – na Świętego Ducha. O Prostyniu był nawet wierszyk:

Od Kadzidła do Mysiańca
Trzy mile, trzy mile.
Od Małkini do Prostynia
Tyz tyle.

Ostatnie święte miejsce było w parafii różańskiej, gdzie wśród lasów i łąk wystawiono kaplicę, zbierającą tłumy na św. Rozalię.

Ojciec do wszystkich tych miejsc chodził co roku. Czy mu to coś pomogło? Czy za tę przesadną wiarę otrzymał od Opatrzności odpowiednią zapłatę?

35. Stosunki między rodzicami

Ojciec obok tych zalet religijnych miał i wady: był raptusem, nerwowcem. Na szczęście jak prędko się zapalał, tak prędko gasł: nigdy się długo nie gniewał – od rana do wieczora.

Natomiast Matka była także nerwowa, ale ponadto uparta, zawzięta, kłótliwa. Kiedy coś nie stało się tak, jak chciała, wpadała w szał – tak gwałtowny, że rzucała się na łóżko, tłukło nią aż się łóżko unosiło, a zębami zgrzytała i cięła. Przy takim napadzie szału Ojciec używał stale tej samej metody: grzał – jak już o tym wspomniałem – fajerę w kuchni, owijał ją w szmatę i przykładał do brzucha w okolicy serca. I metoda ta skutkowała. Taki był typek z mojej Matki.

Czy mnie, synowi, godzi się po jej śmierci tak pisać? Nie mogę inaczej, bo to właśnie przez nią Ojciec cierpiał i ginął. Zresztą żadne z nich nie myślało o przyszłości – o czarnej godzinie. I nie potrafili związać brzegu z końcem – a mogli! Czy w takiej atmosferze mogły się wychować rozumne dzieci? Religijnie – tak; aż do przesady. Lecz do życia to nie wystarczało. Do życia należało wychowywać dzieci w pracy. Ale i praca nic nie pomoże, jeśli nie ma w niej odpowiednich ograniczeń i – porządku. Ojciec co prawda pracował – i to pracował ciężko. Rodzice jednak z tej pracy nic nie mieli, bo nie było dobrego gospodarza ani dobrej gospodyni. Ot – aby dziś! A przecież sam Chrystus powiedział: „Módl się, ale i pracuj!”.

Kiedy wróciłem z Zambsk, przyniosłem trochę grosza. Kupiłem sobie trochę ubrań – resztę oddałem Matce. Nie miałem co robić. Chodziłem więc – jak dawniej – do organisty, bo był tam fortepian; grałem na nim, żeby nie wyjść z wprawy, co popadło. W domu miałem harmonię, ale tylko dziesiątkę. Czasem wujek Olek przyprowadzał młodzież, więc im rzępoliłem, a oni tańczyli.

Bronki już nie było, więc nie miałem dziewczynki – bo wiejskie panny mi nie odpowiadały. Była co prawda Lodzia-ślusarzówna, nawet przystojna, ale niezbyt sympatyczna. Więc spotkania były rzadkie.

36. Posada pomocnika

Tak to trwało jeszcze przeszło pół roku. Stopniowo ogarniała mnie jednak tęsknica za stałą pracą. Pewnego dnia wybrałem się do Pniewa, gdzie organistą był Pisarski. Był starszym wdowcem; miał syna-jedynaka, już dorosłego, wykształconego – ale niestety, gruźlika. Widocznie gruźlicę odziedziczył po matce; w niedługim czasie zmarł. Otóż ten Pisarski miał brata w Goworowie – także organistę. Poprosiłem go, żeby mi nastręczył jaką-taką posadzinę – ostatecznie pomocnika organisty w jakiejś większej parafii. Pisarski mnie przesłuchał i orzekł, że mogę śmiało zastępować organistę. Zapisał sobie moje dane i powiedział: „Dobrze!”. Wróciłem do domu.

W bardzo krótkim czasie pan Pisarski zawezwał mnie do siebie i zaproponował mi posadę pomocnika u swego brata w Goworowie. Cóż miałem robić? Lepszy rydz – niżeli nic. Zgodziłem się. Pan Pisarski dał mi od siebie bardzo pochlebne pismo i z tym pismem poszedłem do domu. Rodzice nie byli bardzo zadowoleni, bo woleliby, żebym miał samodzielną posadę – ale nie mogli stawiać mi tamy, bo praca w Goworowie dawała już jakiś zarobek no i ubywało jednej gęby w domu.

Później okazało się, że Goworowo nie wpłynęło na mnie pozytywnie pod względem moralnym: lepiej byłoby, gdybym tam nie poszedł. Ale widocznie tak musiało być. Uszykowałem się w podróż: zapakowałem swoje bogactwo i wziąłem obraz św. Antoniego – nowy, szyty na kanwie – by mnie strzegł i dopomagał w nowym życiu. Okazało się jednak, że wiozłem go na darmo: nic mi nie pomógł!

Organista w Pniewie, który mi zaproponował posadę w Goworowie, też miał u siebie pomocnika. Był nim Emil Matuszewski: garbusek – ale świetnie pisał, nieźle grał, ale najlepiej pod słońcem... pił. Właśnie on stał się z biegiem czasu moim kolegą. Obym go nigdy nie poznał! Z tym pomocnikiem-garbuskiem było tak. Skoro wpisał wszystkie akta u Pisarskiego w Pniewie, przyjeżdżał przepisywać akta do Pisarskiego w Goworowie. I tak było latami. Samodzielnej posady nie mógł dostać, bo za dużo pił i żaden ksiądz go nie chciał. Był kompletnym nałogowcem: pił nawet na chórze przy organach.

Ale do rzeczy. Spakowałem się i wyruszyłem w podróż do Goworowa. Miałem wtedy pełne dwadzieścia lat. To było w adwent – tuż przed świętami.

37. W Goworowie

Goworowo liczyło wtedy 14 tysięcy parafian. Parafia była rozległa: wioski ciągnęły się aż pod Ostrołękę z jednej – a pod Różan z drugiej strony. Więc organista miewał stale dwóch pomocników. Jeden z nich pisał akta i prowadził kancelarię; drugi spełniał obowiązki kościelne, rozwoził po parafii opłatki i jeździł za zbiorami: snopkami i kartoflami oraz – na Wielkanoc – jajami. Co w tej sytuacji robił sam pan Pisarski? Otóż pan Piotr Pisarski miał w okolicy trzy włóki ziemi – oddanej w dzierżawę. A obok organistówki i plebanii było sześć hektarów ogrodu księdza proboszcza – prałata Brykczyńskiego. I ten właśnie ogród obrabiał pan organista. W zamian za to utrzymywał parę eleganckich koni i powóz – czyli wolant – który musiał być gotów na każde zawołanie prałata.

Prałat co piątek jeździł do Szczawina, do jaśniepaństwa Glinków. Szczawin – to był ogromny folwark urządzony na zagraniczną modłę jak Zatory. Dlaczego prałat Brykczyński jeździł właśnie tam i tylko w piątki, choć w parafii goworowskiej było więcej obszarniczych dworów, pozostanie zagadką. Oficjalnie mówiło się, że – na ryby. Sam prałat był z rodziny hrabiowskiej – więc wszyscy dziedzice w parafii musieli się z nim liczyć. Miał on nawet otwarty awans na biskupa, ale na osobistą prośbę pozostał w Goworowie.

Pan organista miał i cztery krowy, które... nigdy nie dawały mleka; były też kury, kaczki i inne ptactwo domowe, ale nikt z nas, pomocników, nie widział... ani jednego jajka, ani kawałeczka mięsa z drobiu; jedynym mięsem, które jedliśmy były... kopytka cielęce lub świńskie. Pan organista miał stale dwóch parobków i dwie służące; z tych ostatnich rzadko która odeszła bez brzucha. Druga żona pana organisty była wielką damą, która chorowała na dewotkę i codziennie się komunikowała, co niedziela zaś śpiewała solo na chórze, a ja jej rzępoliłem akompaniament. Z pierwszej żony pan organista miał trzy córki – Stefę, kulawą Stasię i usmarkaną Honorkę – oraz jednego syna Władzia. Z drugiej żony była trzyletnia Maniuta. Poza tym przy panu organiście było nas dwu, pomocników, i jeszcze uczeń – Staś Mróz. Zachodzi pytanie, kto tego chłopca uczył. Właściwie tylko ja czasami z litości coś mu pokazałem. W pokoju sypialnym pani organiściny stał fortepian, ale nikt na nim nie grał. W kancelarii była fisharmonia – do mojej dyspozycji. To jest grono ludzi, którzy zapełniali organistówkę w Goworowie.

Pani organiścina była młoda – miała wtedy nie więcej niż trzydzieści lat – i dosyć inteligentna. Nic nie robiła, tylko czytała książki i bawiła się ze swą jedyną pociechą – Maniutą. Reszta dzieci – z pierwszej żony – też nic nie robiła, poza tym, że tłukła wszy, których wybić nie było sposobu.

A z panem organistą – było tak. Miał wówczas 43 lata. Trzeba przyznać, że był przystojnym mężczyzną, tyle że w tuszy – od alkoholu. W kościele nie bywał nigdy – chyba że przypadkowo. Wstawał o dziesiątej lub dwunastej. Jeżeli był w dobrym humorze – dawał się pocałować żonie w czoło. A jeżeli był w złym humorze, to zrobił awanturę służbie, poturbował dzieci, wytłukł ucznia Stasia – i szedł na miasto. Nie wracał wcześniej, jak o godzinie dwunastej w nocy lub jeszcze później. Jedna z córek, kiedy tatuś wracał, musiała go drapać w podeszwy u nóg, żeby zasnął. I tak było codziennie. Nad nami, pomocnikami, się nie znęcał, bo potrzebował naszej łaski. Żony też nie katował, choć kłótnie były na porządku dziennym. Ona jednak i bez tego miała dosyć: mąż jej był łobuzem i brutalem, a ona pochodziła z dobrego domu – i prawie nigdy z nim nie rozmawiała. Za to zawsze można ją było spotkać smutną i zapłakaną. Tylko to jedno ją ratowało, że była osobą mocno wierzącą. Więc poświęcała się wyłącznie dla swego jedynego dziecka. Jeszcze raz powtarzam: organista był brutalem, nie liczył się ze słowami, co taką inteligentną niewiastę oczywiście raziło. Trzeba przyznać, że nie był jej wart. To dziwne, co jej mogło w nim zaimponować, że wyszła za takiego drania i w dodatku na kupę pasierbów. W tym małżeństwie poza swą córeczką – Maniutą – nie miała nikogo, z kim by mogła porozmawiać po przyjacielsku. Pasierby, choć pozornie ją szanowały, nie odebrały odpowiedniego wychowania, żeby ją zadowolić.

Księży w Goworowie było stale trzech: proboszcz i dwóch wikarych. Proboszcz miał osobno plebanię i duży ogród owocowy, w którym utrzymywał stałego ogrodnika z rodziną. Wikariatka była murowana. Kościelnych było trzech: dwóch do utrzymywania porządku przy kościele i na cmentarzach, a trzeci – pan Piotrek, którego wszystkie dewotki ubóstwiały – tylko od kościoła.

Goworowo w owych czasach było typowym miasteczkiem żydowskim: gmina, sąd, trochę policji, wiatrak, apteka, nawet i golarz bród, doktór, felczer i knajpa pana Jana Szwarca.

38. Wymiar sprawiedliwości

Opiszę teraz zdarzenie, które miało miejsce na parę lat przedtem, zanim się zjawiłem w Goworowie.

Jak zaznaczyłem, w Goworowie była gmina i sąd, więc też musiał być odpowiedni do tych instytucji personel: wójt, pisarze, sędzia, ławnicy itd. Młynarzem był wówczas Sztrant – Niemiec z pochodzenia. Rzecz działa się zimą. Cała ta zgrana paczka – wójt, pisarz, sędzia, ławnicy, organista Pisarski, no i ten młynarz Sztrant – urządziła sobie libację u pana wójta. W czasie tej zabawy bractwo zakołatało młynarza Niemca. Gdy zauważyli, że z nim klapa, wynieśli go przed dom gminy i tak go ustawili, żeby mógł stać, a do ręki dali laskę – dla upozorowania zamarznięcia. Ale było ich za dużo, żeby można to zatuszować, zwłaszcza że w Goworowie było trzech policjantów. Więc zrobiono śledztwo i cała paczka poszła do ula.

Mierzejewski miał rodzoną siostrę Koletę, która była kochanką starego Glinki i ogrzewała jego stare członki w Szczawinie – więc pana sekretarza uwolniono. Pan wójt miał kasę gminną – więc też został puszczony wolno. A pana organistę bronił ks. prałat Brykczyński, który zadbał o to, żeby ze sługi kościelnego zdjąć wszelkie podejrzenia. Więc i pan Pisarski został wolny. Uniewinnieni złożyli się, zebrali odpowiednie pieniądze – i reszta paczki drapnęła za granicę.

W ten sposób nikt nie był winien śmierci Sztranta.

39. Krzywda i śmierć

Moim poprzednikiem – na posadzie pomocnika organisty – był bardzo piękny chłopiec, mający z osiemnaście lat. Pan Pisarski szykował go sobie na zięcia – męża najmłodszej córki Honorci.

Jak zaznaczyłem, w Goworowie zawsze było dwóch wikarych. Niektórzy starsi z nich dostawali parafię-beneficjum. Otóż jeden z wikariuszy – ks. Staniaszko – dostał właśnie taką parafię, daleko od Goworowa i tego pięknego młokosa postanowił ze sobą zabrać. Musiał oczywiście w związku z tym usunąć starego organistę – z żoną i dziećmi. Kiedy nowy organista przyjechał na miejsce, został zaproszony przez dotychczasowego w gości. A kiedy powrócił z tej gościny, położył się spać i nigdy więcej nie wstał – tak go ugościli.

Tej śmierci winien jest – moim zdaniem – ks. Staniaszko, który tak brutalnie usunął poprzedniego organistę z rodziną. Nikt nie może się dziwić, że ks. Staniaszko polubił tego chłopca, bo rzeczywiście pięknie śpiewał itd. Ale czemu pozbawił chleba dawnego organistę? Czy nie mógł się najpierw wystarać dla niego o posadę i dopiero wtedy zabrać swego ulubieńca? Tymczasem postąpił źle, podle. Stracił młodego i zdolnego chłopca – i skrzywdził dawnego organistę.

Takie są skutki postępowania niektórych naszych niesprawiedliwych zwierzchników, których zachcianki nieraz prowadzą do krzywdy jednych, a śmierci drugich.

40. Zdrada

Trzecie tragiczne zdarzenie związane było ze Szwarcem, który miał czterech synów i dwie córki: bardzo przystojną Kazię i Jasię-podlotka.

Szwarc w Goworowie miał knajpę; był to ten sam Szwarc, który potem miał sklep w Broku. W pięknej Kazi Szwarcównie rozkochał się goworowski doktór – Zalewski. Nie rozumiem, dlaczego rodzice Kazi na to pozwalali, żeby chodził z nią publicznie. Doktór Zalewski miał młodą żonę – blondynkę – i dwunastoletnią dziewczynkę, chyba ich córkę. Doktór często jeździł koniem wierzchowym do okolicznych dworów – najczęściej do Pokrzywnicy, położonej o jakieś pięć wiorst od Goworowa.

Właścicielem Pokrzywnicy był pan Budny – stary kawaler. Jego starszy brat był sędzią w Myszyńcu. Zginął tragicznie: idąc w nocy do domu, wpadł do studni, która miała za niskie obramowanie. Znaleźli go rano ludzie, którzy przyszli czerpać wodę. Taki był porządek w Myszyńcu.

Wracając do doktora Zalewskiego: kiedy sielanka miłosna między nim a Kazią się rozwijała w najlepsze, gruchnęła wieść – jak grom z jasnego nieba – że pani doktorowa się otruła. Doktór tego tragicznego dnia był właśnie wierzchem w Pokrzywnicy – u pana Budnego. Wrócił natychmiast do domu i chociaż zsiadając z konia zwichnął sobie nogę, próbował ratować żonę – ale bez skutku. Dawka trucizny okazała się śmiertelna.

W kościele katolickim samobójcom odmawia się obrzędów religijnych; ale dla pani doktorowej był wyjątek: trumna stała na obitym krepą katafalku tak wysoko, że sięgała aż pod sam żyrandol. A kościół tonął w kwiatach z okolicznych dworów z parafii goworowskiej. Zarobiłem i ja – na papierosy. Eksportowało panią doktorową kilku księży – nawet spoza parafii. Mowy mieli nie tylko księża, ale i panowie szlachta. W ten sposób skończyła się sielanka Kazi

Szwarcówny: wstyd już jej było pokazywać się na ulicy – bo swoim łajdaczeniem się spowodowała śmierć młodej i zacnej kobiety. Wkrótce wyjechała z Goworowa. Doktor nie zaszczycił jej małżeństwem

Ta jedna tragedia wywołała następną. Doktór Zalewski długi czas po śmierci żony chodził o lasce i utykał, bo przez ten wypadek nie miał czasu sobie odpowiednio zestawić nogi. Ale śmierć żony miała dużo gorsze konsekwencje: doktor wpadł w prawdziwą rozpacz i prawie codziennie można go było spotkać na cmentarzu – nie płaczącego, a ryczącego nad grobem. Cmentarz był zaraz za stodołą organisty, więc jego ryk było słychać na podwórzu. Tak było przez długi czas.

41. Pojedynek

Ale – jak to się mówi – czas wszystko zaciera i jest najlepszym lekarzem. Stopniowo doktór wrócił do siebie – i swoich zwyczajów: zaczął znowu odwiedzać swego przyjaciela, pana Budnego w Pokrzywnicy. Któregoś pięknego dnia, o samym zmierzchu, zajechał przed dwór – służba zabrała konie – i udał się na pokoje, które, jako częsty gość, dobrze znał. Lokaj zapytał, czy prosić pana Budnego, który był właśnie przy wieczornym oporządzaniu inwentarza. Doktór na to: „Nie ma potrzeby. Niech się nacieszy swoim dobytkiem". I pozostał sam. Czekając na gospodarza – zajrzał tu, zajrzał tam. W końcu wziął album i zaczął oglądać zdjęcia. Naraz obok fotografii zauważył jakieś pismo. Kiedy na nie spojrzał – cały się zatrząsł. Po ochłonięciu wziął je do ręki i przeczytał – na końcu był podpis jego żony: „Maria Zalewska". Co tam wyczytał – nikt nie wie poza nimi trojgiem. W każdym razie natychmiast rozkazał lokajowi wołać pana Budnego. Kiedy Budny wszedł – doktór wskazał mu pismo i... w buzię; zaczęła się bójka. Kiedy służba stanęła w obronie swego pana, doktór musiał ustąpić; gdyby nie pomoc służby, to chyba by Budnego ubił. Pan Budny – gdy doktór odjeżdżał – zażądał satysfakcji. Doktór odpowiedział: „Dobrze" – i odjechał do Goworowa.

Pojedynek odbył się w Warszawie. Przed pojedynkiem – przy zamkniętych drzwiach – odbyła się szlachecka, tajemna sprawa. Zjechała szlachta okoliczna, ksiądz prałat Brykczyński i – jako świadkowie – księża wikariusze z Goworowa. Doktór napsuł sporo krwi i nerwów Budnemu, bo postawił mu na przykład warunek, żeby okazał swój dyplom szlachectwa. Brat Budnego z Myszyńca w końcu wyszperał ten dyplom i pojedynek się odbył. Był to pojedynek o jednym strzale. Budny panu doktorowi zwalił kapelusz, a doktór panu Budnemu – konfederatkę. Po skończonym pojedynku obaj panowie szlachta podali sobie ręce i wrócili do domu.

Wszystko to działo się za mojej bytności w Goworowie. Zachodzi teraz pytanie: Dlaczego doktorowa, jeśli kochała się w Budnym, otruła się? Widocznie naprawdę w nim się nie kochała, tylko chciała – pozorując romans z Budnym – odwieść męża od Kazi Szwarcówny. A że to nie odniosło skutku, targnęła się na swe życie. Dlaczego doktór nie zauważył tego rzekomego romansu za życia żony? Przecież doktorostwo często u Budnego bywali i bawili się ze sobą; sam widywałem ich razem w kościele. Widocznie doktór był tak zaślepiony miłością do Kazi, że albo romansu żony w ogóle nie zauważył, albo o to w ogóle nie dbał. Dlaczego więc tak go podniecił ten list – że porwał się na Budnego w jego własnym pokoju? Widocznie list był tak sformułowany, że doktór nie mógł się opanować. Wzbudziła się w nim wielka zazdrość. Zrozumiał, że żonę okropnie skrzywdził.

Tak to chyba wyglądało. Doktorowa Zalewska długi czas próbowała rozmaitych sposobów, żeby odzyskać miłość męża, aż struna się tak naprężyła, że pękła.

42. Warunki pracy

Wracam do opisu mego pobytu w Goworowie.

Kiedy zjawiłem się ze swoim skromnym bagażem przed obliczem pana organisty Pisarskiego i wręczyłem mu pismo rekomendacyjne od brata – zostałem mile przyjęty. Pan Pisarski najpierw nakazał, by mi dać posiłek, a po posiłku zaczął się szczegółowy egzamin przy fisharmonii. Wypadł on zarówno dla pryncypała, jak i dla mnie na piątkę. Po skończonym egzaminie zwołał wszystkich domowników: żonę, córki, syna i całą służbę – i powiedział im, aby mnie inaczej nie wołano, jak „pan Antoni", oraz aby mi nigdy nie wyrządzano krzywdy.

Kiedy wszyscy się rozeszli, pan pryncypał określił moje obowiązki, a więc: księdzu prałatowi codziennie grać na organach, a wikarym tylko wtedy, gdy mają mszę śpiewaną; wszystkie uroczystości samemu obsługiwać i codziennie o godzinie szóstej rano grać roraty, bo to był adwent; obsługiwać też wszystkie śluby i pogrzeby w kościele; notować akta, gdy go nie będzie; w sezonie – objeżdżać całą parafię za snopkami i kartoflami; później, w adwencie, rozwozić opłatki – a przed Wielkanocą oblecieć parafię za zbiorem jaj; wszystkie pieniądze oddawać pryncypałowi lub żonie – jeśli tego zażąda. I na koniec powiedział: „Będę panu za to wszystko płacił trzy ruble miesięcznie – plus stół". Na drugi dzień rano zaprowadził mnie do kościoła, pokazał jego wnętrze i oznajmił mi, że do moich obowiązków będzie także należało ubieranie księdza prałata do mszy. Później poszliśmy na chór i pryncypał zapoznał mnie ze wszystkimi registrami i głosami: organy miały dwie klawiatury. Cóż to były za cudowne organy! Cóż za wspaniała akustyka! Cóż za prześliczna świątynia! Cacko! Po tych wyjaśnieniach pan organista pojawił się w kościele dopiero w wigilię Bożego Narodzenia, o dwunastej godzinie – na jutrzni. Był ciekaw, jak sobie będę radził! Gdy wysłuchałem tych warunków – zbaraniałem. Ale cóż miałem do stracenia? Dobrze – to jestem, a źle – to mogę odejść.

W ten sposób zaczęła się moja praca jako pomocnika organisty w Goworowie.

43. Chlebodawca

Zachodzi pytanie, dlaczego ten człowiek brał zapłatę za wszystkie obrzędy – nie spełniając ich? Dlaczego pozwalał na to ksiądz prałat, człowiek wykształcony, który nawet pisał książki? Co wiązało księdza prałata, że nigdy nie zrobił nawet drobnej wzmianki na temat zachowania się organisty? Nawet cienia żalu z powodu jego drugiej żony? Dlaczego na jego zachowanie nie próbowali wpłynąć księża-wikariusze? Za co on brał zapłatę – by przepić i zmarnować, a żonę i dzieci wpędzać w biedę? Przecież jego obowiązki spełniali inni, a on zabierał im efekty ich pracy! Nie wpływał też pozytywnie pod względem moralnym na swoje otoczenie domowe i na tych, którzy na niego pracowali; co gorsza, wszyscy pod jego skrzydłami zatracali poczucie człowieczeństwa.

Nie wiem, czy pod słońcem znalazł się podobny organista i podobny zwierzchnik: pierwszy – bo wszystko przepił, drugi – że tego nie widział.

44. Obowiązki

Na początku trudno mi było sytuację opanować – z powodu nawału pracy i dlatego, że byłem na razie sam. Ale byłem młody, a poza tym nikt się do mnie nie mieszał – pan organista był w domu gościem, a stale przebywał na mieście.

Dawniej nie było wytwórni opłatków – musieli je wypiekać sami organiści. Ale pan Pisarski miał kuma, Piekarzewskiego, który co roku mu przygotowywał wigilijne opłatki – setki na całą parafię.

Akta – jak wspomniałem – prowadziło się w dwóch księgach: unikacie i duplikacie. Unikatów było trzy: urodziny, zaślubienia i zejścia. Duplikat był jeden: wpisywało się do niego akta ze wszystkich trzech unikatów. Dupilkaty co roku oddawało się dziekanowi, a w parafii zostawały unikaty. Akta prowadziło się w języku rosyjskim. Póki nie nadjechał wyżej wspomniany garbusek od brata z Pniewa, pisał akta sam pan organista – dopadkami: oczywiście wtedy, gdy był jako-tako trzeźwy. A reszta leżała w raptularzach i czekała na garbuska. Ja przepisywałem z unikatów w duplikat, ale szło to powoli, bo czasu nie było wiele.

45. Pierwsze święta

Pierwszego roku nie rozwoziłem opłatków, bo jeszcze nie byłem obeznany z parafią; rozwozili je piekarz Piekarzewski i syn organisty. Mnie zostawiono tylko na dzień wigilijny Przedmieście. Uprzywilejowane domy dostawały opłatki ze strojami – gwiazdkami. Dostawali je też ci, którzy dali sutą zapłatę.

W domu u Rodziców oprócz piwa nie piłem innych rozpalających trunków. Po pierwsze – nie było na to pieniędzy. Po drugie – Ojciec znał ich skutki, więc nie pozwalał mi pić. Wiedziałem o mocy wódki, ale nie miałem pojęcia, że można się upić innymi napojami.

Otóż kiedy nadeszła wigilia, najstarsza córka pana Pisarskiego, Stefa, uszykowała mi w eleganckim koszyku opłatki i te z gwiazdkami opatrzyła odpowiednimi napisami: jaka i która dla kogo. Pan organista mi objaśnił skąd mam zacząć i na kim skończyć. Uzbrojony w ten sposób w opłatki i objaśnienia wyruszyłem pierwszy raz z kolędą, tj. z gwiazdką – jak się wówczas mówiło. W każdym znaczniejszym domu częstowano mnie napojami alkoholowymi i różnymi smakołykami. Po pewnym czasie miałem już dosyć, ale częstowano mnie nadal, życząc wesołych świąt. Kiedy doszedłem do ostatniego domu – okazało się, że nie było już opłatków z gwiazdką. Co gorsza, kiedy się znalazłem w przedpokoju nie byłem w stanie wymówić ani słowa – tylko grzmotnąłem na podłogę jak długi. Całe szczęście, że to był dom ostatni i stał tuż przy organistówce. Więc na poczekaniu dowiedziano się o mojej sytuacji: przybiegł kościelny – z wielką trudnością przyprowadził mnie przed oblicze pryncypała, który mi groźnie spojrzał w oczy, ale mnie nie tknął. Zdążyłem tylko mu powiedzieć o pomyłce z opłatkami, które natychmiast zostały doręczone przez samego pryncypała i on sam ten wielki dom przeprosił. A ja zwaliłem się na moją sofkę, na której zapewne sypiali wszyscy moi poprzednicy, a może nawet i wnukowie Noego w arce. Zupełnie nie wiedziałem, co się ze mną dzieje – zabrano mi pieniądze za opłatki, a ja nic nie słyszałem.

Wieczorem – mogła być godzina dziesiąta – pan organista mnie zbudził i zaprosił do stołu wigilijnego. Najpierw dał mi pełną szklankę krupniku na spirytusie – ale odmówiłem. Na nic się jednak zdała moja odmowa: pryncypał mnie zmusił do wypicia – i jak ręką odjął: zupełnie wytrzeźwiałem. Później nastąpiły życzenia i wyśmienita kolacja. Po wieczerzy wigilijnej przygotowałem sobie jutrznię i o dwunastej odegrałem na piątkę.

Taki był mój pierwszy chrzest w Goworowie – jako pijaka.

46. Czwarta miłość

W niedługim czasie pomyślałem o stworzeniu chóru – najpierw dwugłosowego, bo na chór czterogłosowy nie było szans, a poza tym miałem moc pracy i bez chóru. Zebrałem kilka dziewczyn i kilku chłopców i rozpocząłem próby.

Wśród chórzystek była Helena Markowska, która mieszkała na Goworówku – o kilometr drogi od Goworowa. Doszło do tego, że złożyłem u nich wizytę – i od tej pory, jak tylko mi czas pozwalał, do nich chodziłem. Była to córka gospodarza rolnego, ale – trzeba przyznać – państwo Markowscy nosili się wyżej od swych sąsiadów na Goworówku, gdzie mieli dość duże gospodarstwo.

Zaraz na początku pierwszego roku mego pobytu w Goworowie poznałem dwie panienki. Pierwsza – to była Marysia-szewcówna, brunetka, ale nie polubiłem jej, bo była natrętna. Druga – to była Hala Balcerowiczówna, z zawodu szwaczka, ale ta znowu była o wiele starsza ode mnie. Te dwie panienki były tylko na co dzień, dla spędzenia czasu. Najbardziej odpowiadała mi jednak Hela Markowska. Przyjaciółką mojej Helenki była Bronia Nadwodna. Bronia miała chłopca prawosławnego, który przywoził i rozwoził pocztę z Ostrołęki, i w końcu awansował na naczelnika poczty. Zawsze obaj spacerowaliśmy ze swymi dziewczynkami. Trzecią damusią była Hela Szulkowska, która mieszkała na tak zwanym Probostwie – zaraz za miastem. Te trzy panny wiodły prym w Goworowie

Mój pryncypał nie patrzył na moje znajomości łaskawym okiem. Po pierwsze dlatego, że często jego córka lub służąca musiały mi w nocy – kiedy wracałem z randki – otwierać drzwi. Po drugie zaś dlatego, że wolałby, żebym za przedmiot swojej adoracji obrał którąś z jego córek. Przy dobrych staraniach mógłbym któryś z tych specjałów posiąść, ale ja do żadnej z panien Pisarskich nie czułem sympatii. Gdyby u nich były inne porządki – na takiej parafii jak Goworowo panny Pisarskie chodziłyby w samych jedwabiach. Ale one – jedna po drugiej – dodzierały zarówno odzież, jak i obuwie. Sama pani matka w czym przyjechała do męża, w tym zapewne chodziła do śmierci. Jak można się było rozkochać w takiej biedzie i nędzy?

47. Zwyczaje zwierzchnika

Pieniądze za chrzty, śluby i pogrzeby zabierał pryncypał i zostawiał na mieście na kartach i wódce. Kiedy się notowało akta, to nie wiadomo było, komu te pieniądze oddać. Bo za drzwiami czekała na nie już pani organiścina, a pryncypała trzęsło cholerą, że się opóźnił. Szła o to walka: kto się pierwszy nasunął, ten zabierał dochód. Na początku pryncypał robił mi wymówki, czemu nie oddaję tych pieniędzy jemu. A ja mu na to: „Cóż mam robić, jak pani czeka i prawie siłą zabiera?”. W końcu musiał się z tym pogodzić. Ja zaś liczyłem na to, że jak oddam pieniądze pani organiścinie, to może prędzej trafi się kawałek ścierwa na obiad. Ale się pomyliłem.

Nie powiem, że się u państwa Pisarskich jadało zupełnie z postem: w porównaniu z moim życiem u Rodziców była wielka różnica. Jednak na takie dochody, które tam wpływały, to była nędza. Strawa tylko tyle, że była okraszona. Zamiast porządnego kawałka mięsa były zawsze kopytka cielęce lub świńskie, albo kawałek golonki. Były krowy – ale czy ktoś kiedyś widział mleko? Był i drób – ale czy ktoś widział jajko? Nie wiem, jak prałat Brykczyński mógł na to patrzeć i nie położyć raz temu kresu. Jeżeli liczył na żonę i dzieci, to się grubo mylił. Bo ta żona żyła tylko książką, modlitwą i łzami. A dzieci nie miały się w co liznąć. A organista-łobuz miał tyle długów, że chyba nie miał tyle włosów na swoim głupim łbie! A ilu on ludzi

skrzywdził! Pewnego razu przyszedł do pana organisty Żyd. Wtedy pan organista zamknął się z nim w sieni i zaczął tego Żyda tak lać pytą, że ten się zes... i zasz.... całą sień – a on lał nadal. Kiedy go wreszcie wypuścił, to się Żyd ani obejrzał aż w domu. I więcej po dług do pana organisty już nie zaszedł.

Goworowo nie mogło więc na mnie wpłynąć pozytywnie pod względem moralnym: nie mogłem się w nim zbudować i nauczyć żyć uczciwie i gospodarnie. Dom organisty był domem wiecznej wojny – między mężem a żoną. Pan organista był łajdakiem, szubrawcem i ostatnim pijakiem pod słońcem. A jego żona odwrotnie: osobą wierzącą aż do przesady. Było więc razem – piekło i niebo.

I nas pomocników krzywdził; bo przecież to, co nam płacił, to było warte śmiechu. Niestety, byliśmy bezsilni, bo o posadę organisty było bardzo trudno. W owe czasy zdolniejsi organiści zajmowali najbiedniejsze parafie. A łotry, pijacy i lizusi – najlepsze posady. Było tak, bo taki lepszy organista nie chciał padać plackiem przed swoim zwierzchnikiem. A lada dławi-duda to wszystko robił.

Pod tym względem mój pryncypał był wyjątkiem.

48. Dobre strony pogrzebów

Jak sobie w tej sytuacji radziliśmy? Na dokupywanie żywności na mieście nie starczało nam oczywiście pieniędzy. Z dochodów kancelaryjnych nie można było nic buchnąć, bo pani organiścina, chociaż religijna, na dochody była bardzo wrażliwa; więc jak tylko odebraliśmy zapłatę za chrzest, ślub lub pogrzeb – stała nam za plecami i wyciągała ręce po forsę. Gdzie się to wszystko podziewało – nie mam pojęcia. Gdzie trzy włóki ziemi dzierżawnej i ogród prałata? Gdzie snopki, kartofle, opłatki i inne drobniejsze dochody? To przechodzi ludzki rozum!

A radziliśmy sobie w ten sposób. Kiedy już spisałem akt śmierci, a pani organiścina zabrała forsę, interesanci od pogrzebu zabierali mnie na stypę pogrzebową do karczmy. A tam jedz i pij, ile wlezie – i nic cię to nie kosztuje. I tak było codziennie – przez trzy lata. Na dodatek ponieważ była to duża parafia – 14 tysięcy dusz – czasem dziennie były dwa lub trzy pogrzeby. Nieraz więc z jednej stypy szło się na drugą. A ciebie chwalą, a ciebie całują: „Pij, bracie, i jedz, bo to pogrzeb mojej matki czy ojca, siostry czy brata, syna czy córki!”. Podczas takiej stypy był płacz, lament, wyznanie wszystkich grzechów – jak na spowiedzi – a czasami i coś więcej. Przychodziłem z takich styp często późno w noc.

Dziwię się czasem, że po szkole, którą przeszedłem w Goworowie, jestem jeszcze dziś człowiekiem.

W drugim karnawale w czasie mego pobytu w Goworowie podczas jednej z uczt weselnych bardzo się rozgrzałem i wypiłem zimnego piwa. Na drugi dzień rozwinęło się zapalenie płuc. Leczył mnie pan doktór Zalewski i dzięki niemu pod dwóch tygodniach wyzdrowiałem. Ale odtąd już miałem skłonności do przeziębień. Nie wyciągnąłem jednak z tego należytych wniosków i nadal moje życie szło dotychczasowym trybem.

49. Garbusek

Jak już zaznaczyłem wyżej – w Goworowie było zawsze dwóch wikarych: starszy i młodszy. Za moich czasów starszym wikariuszem był ks. Władysław Guzowski, a młodszym – ks. Jan Błaszczak; czasami ich zresztą biskup zmieniał. Ksiądz Guzowski mnie bardzo polubił, bo

pięknie śpiewałem. Przyobiecał mi, że jak tylko dostanie parafię, to mnie ze sobą zabierze – pod warunkiem, że skończę z piciem. Toteż walczyłem z pijaństwem jak mogłem. Ksiądz Guzowski wyciągnął jednak nauczkę z przypadku księdza Staniaszki i wtedy mnie do siebie zabrał, gdy poprzedniego organistę usunął – ale bez krzywdy dla niego.

Zanim do tego doszło – przyjechał do Goworowa drugi pomocnik do pisania aktów: wspomniany już przeze mnie garbusek. To był początek nowej klęski. Kiedy garbusek się zjawiał, pan pryncypał urządzał nam taką libację, że ten przez całe dwa dni z rzędu po niej spał. Dopiero po przyjściu do siebie – zabierał się do pracy. Dzień zaczynał od setki (to było tyle, co obecnie ćwiartka) – po czym przepisywał: dziennie było do przepisania 25 aktów i więcej. Ale taka setka na jego gardło nie wystarczała, więc szukał różnych sposobów, aby wypić coś ponadto. Całe szczęście, że nie wtrącał się do kościoła, chociaż nieźle grał. Ale że był alkoholikiem, więc kościoła nie znosił, a kościół – jego. Miałem z nim jednak istną mękę, bo ostatni mój grosz wyłaguził i ze mną przepił. Cóż to za klęska z wódką, że na nią nigdy nie starcza?!

I tak męczyłem się z tym garbuskiem jeszcze rok.

Naraz mój ksiądz Guzowski dostaje parafię na Kurpiach za Myszyńcem – w Czarni. Był tam organista nazwiskiem Gassek, którego Kurpie przezwali „Dzieciną", bo był taką sobie kruszyną. Otóż ten organista postanowił wyjechać do Ameryki – a z chwilą jego wyjazdu ja miałem objąć po nim posadę. Wypadło więc jeszcze trochę poczekać.

50. Zwolniony z wojska

Pominąłem wojsko. W związku z tym cofnę się więc we wspomnieniach o dwa lata.

Dawniej, za cara, z rekrutami było tak. Jedynak i najstarszy z synów nie szedł do wojska. Reszta ciągnęła losy: do wojska – czy do domu. Odbywało się to w ten sposób, że każdy wójt miał spis wszystkich roczników swojej gminy. Na każdy rocznik wypadała określona liczba rekrutów. Jeżeli na przykład wójt miał dać 300 rekrutów, to ci, którzy wyciągnęli losy w obrębie tych trzystu, musieli iść do wojska – a ci, którzy wyciągnęli losy powyżej trzystu, szli do domu. Ja nie byłem jedynakiem, ani też nie mogłem być zwolniony z wojska z tytułu opiekuństwa, bo nie mieliśmy gospodarki; miałem więc poniekąd dobrego pietra.

Losy ciągnęliśmy w Pułtusku. Ale szczęście mi sprzyjało – wyciągnąłem los do domu. Dostałem bilet wojskowy koloru czerwonego, a więc dla rezerwistów – powoływanych do wojska tylko w razie pospolitego ruszenia, w razie wojny. Wróciłem więc do Goworowa.

51. Rok 1905 w Goworowie

Mamy więc rok 1905.

Rosja miała w tym roku konflikt z Japonią. Zapewne dostała w skórę, bo dała Polakom trochę wolności. Zaczęły się strajki, rozruchy itd. Ale tej wolności było krótko. Przyszły jeszcze gorsze prześladowania Polaków: zaczął się większy ucisk ze strony Moskali; zaczęły się zapełniać więzienia. Niektórzy Polacy, aby ujść prześladowania – udawali wariatów, korzystając nieraz z pomocy lekarzy-patriotów. Jeden taki rzekomy wariat znalazł się i w Goworowie: latał po mieście, krzyczał, klękał przed kościołem, gestykulował, mówił niedorzeczności – a gdy policjant się zagapił, pokazywał mu język i d... Takich rzeczy w

większych miastach było dużo. Moskale ze swej strony zaostrzyli bardzo reżim: nie tylko w dużych miastach, ale i w małych miasteczkach pojawiło się wojsko i żandarmi.

Pewnego wieczoru szliśmy sobie z garbuskiem przez miasto na jednego. Naraz dał się słyszeć niedaleko nas wybuch: z rewolweru lub pistoletu. My nadal idziemy sobie spokojnie, a tu nagle otaczają nas Moskale-żandarmi, i to w dodatku pijani, wloką na rynek i krzyczą: „Кто сделал тревогу" – czyli „Kto naruszył spokój?". Na mnie i garbusku podarli ubranie i wywijają gołymi szablami nad naszymi głowami. Skorzystałem z krótkiego zamieszania i dałem drapaka. Wpadłem do sklepu żydowskiego: przewróciłem Żydówkę i jej bachora – a tu za mną strzał. Ja tymczasem byłem już w ogrodzie: skok przez sztachety i zwiałem do domu. Garbuska zabrali do szynkowni, ale jakoś się wylegitymował: spisali zeznania i puścili.

Taki dostaliśmy z garbuskiem chrzest od Moskali w 1905 roku w Goworowie. Odtąd byliśmy chyba na liście podejrzanych – rewolucjonistów – bo w parę lat później, kiedy w Myszyńcu miałem zatarg z żandarmem, to mi wytknął, że jestem im już znany.

52. Koniec chlebodawcy

Tymczasem panu organiście Pisarskiemu robiło się coraz gorzej. Pomimo swej tuszy i dobrego bytu – wódka robiła swoje. Zaczął zdradzać chorobę białej gorączki i stale narzekał, że jest niezdrów.

Ja sypiałem z garbuskiem na odwiecznej sofce w kancelarii, a po drugiej stronie – na sienniku – spał uczeń Mróz. Garbusek zresztą nie zawsze nocował u organisty, bo miał w Goworowie rodzinę: ojca wdowca i trzy siostry – którzy mieli własny kąt. Ojciec garbuska był dobrym stolarzem, a córki zajmowały się szyciem. Stary Matuszewski najwięcej zarabiał na robieniu trumien. Nieraz się zdarzało, że pijany garbusek kładł się do jakiejś zapasowej trumny i spał w niej najspokojniej w świecie.

Otóż pewnej nocy dał się słyszeć krzyk w pokoju organisty. Pan organista zbudził wszystkie swoje dzieci i służbę, dał im tępe narzędzia w ręce i porozstawiał ich koło wszystkich drzwi, żeby bronili organistówki przed rzekomym napadem bandyckim. Żony i mnie nie poruszył, ale ucznia Mroza ściągnął z posłania zaczął się nad nim pastwić w okropny sposób. Tak to trwało do świtu. Nad ranem trochę zasnął, ale kiedy się rozbudził – w kalesonach wyleciał na ulicę i pobiegł na miasto. Dopiero dwóch kościelnych na prośbę organiściny przyprowadziło go z powrotem do domu.

Wariował w ten sposób przez tydzień. Kiedy furia trochę osłabła, organiścina pojechała z nim do lekarza do Pułtuska, który orzekł ciężki stan białej gorączki od alkoholu. Zalecił mu stopniowe zmniejszanie picia alkoholu, bo w przeciwnym razie czeka go rychła śmierć. Kazał mu też dużo pić wody sodowej. Kiedy pan organista wrócił od lekarza, znacznie mu się polepszyło, przestał urządzać awantury – ale pozostał już anormalny.

Gdybym poczekał, jaki obrót przybierze cała ta sprawa, to może byłbym objął po nim posadę organisty w Goworowie? Pan Pisarski męczył się jeszcze rok, ale nie zastosował się do wskazań lekarza, nadal pił – i po roku nastąpiła śmierć.

Tymczasem mój ks. Guzowski napisał do mnie, że posada w Czarni już na mnie czeka, bo dotychczasowy organista Gassek wyjechał do Ameryki.

53. W Czarni

Parafia w Czarni liczyła trzy tysiące dusz. Napisałem do rodziców, że mam tam zostać organistą i poprosiłem, żeby przyjechała do mnie moja siostra Genia, to wezmę ją do Czarni. Kiedy Genia przyjechała do Goworowa, wynajęliśmy furmankę i ruszyliśmy w drogę do Czarni. W Czarni – po Goworowie – poczułem się źle: dziura, naród na wpół dziki, głupio wierzący. Nie miałem nawet towarzystwa do wódki – toteż kiedy trafiła się okazja, jeździłem do Myszyńca, żeby się urżnąć na całą parę. Bawiła mnie tylko moja siostra Genia, z którą chodziliśmy do lasu na spacery, na jagody i na grzyby.

Czarnia znajdowała się wówczas nad samą granicą pruską: do granicy było w prostej linii tylko dwa kilometry czyli wiorsty. Wiosek było osiem. Ludzie – wobec organisty – nie byli życzliwi. Księdza to Kurp by pocałował nawet w d... Nieśli mu wszystko: grzyby, jagody... W Czarni była jeszcze nawet pańszczyzna – bo proboszcz oprócz ogrodu miała 40 morgów ziemi, i to najlepszej, którą obrabiali Kurpie – a poza tym składali mu dziesięcinę. Proboszcz miał aż 7 koni, 27 sztuk bydła, owce, dwa wielkie psy na łańcuchach, gosposię, trzy służące, parobka i niezliczoną ilość plotkarek–dewotek. Parobek i kościelny stale pracowali na plebanii. Jagody i grzyby gosposia wyrzucała na śmietnik, bo nie dało się tego wszystkiego zasuszyć ani zamarynować. Ale organista nie dostał nic! Na co to wszystko jednej osobie?

Chyba nie wrócą już takie czasy dla duchowieństwa! Ksiądz proboszcz niejednego Kurpia poturbował, a ten za to go jeszcze ucałował w ręce i nogi, by mu darował i odpuścił grzechy.

Czy na to patrząc mogłem się zbudować?

54. Przemyt

Czarnia, jak zaznaczyłem wyżej, leżała koło samej granicy pruskiej. Wszystkie wioski do niej należące były rozłożone na pograniczu – tak że niektóre chałupy kurpiowskie stały tuż przy pasie granicznym. Kiedy się jeździło za zbiorem, to nieraz można się było natknąć na straż graniczną.

Sama Czarnia była wtedy centrum straży granicznej: znajdował się w niej kordon i urząd celny. W kordonie stacjonowali żandarmi i wojsko rosyjskie. Stale słychać było stamtąd rosyjskie śpiewy i muzykę na harmoniach i bałałajkach. Kordony nad granicą rozlokowane były w pewnych odstępach. Żołnierzom w takich kordonach świetnie się powodziło. W centrum Polski znajdowały się agencje, zajmujące się wydawaniem szyfkart czyli wiz: w kordonie ludzie na podstawie takiej wizy – po rewizji – mogli przekraczać granicę. Nieraz ciągnęły wielkie transporty z rozmaitych stron Polski, Rosji i państw ościennych. Koło mojej organistówki szedł główny trakt od Ostrołęki do samej Czarni – nieraz więc widziałem, jak ciągnęły fury za furami: całe to bractwo emigrowało za granicę – do Ameryki, Kanady, Anglii itd.

Oprócz oficjalnych emigrantów byli jeszcze nielegalni: żołnierze z kordonów uprawiali przemyt ludzi na własną rękę, choć było to bardzo niebezpieczne, bo władza zwierzchnia ich za to ścigała i surowo karała; mimo wszystko – ryzykowali. Dlatego każdy żołnierz, który odbył służbę wojskową na granicy, wracał do domu bardzo bogaty: i w forsę, i w towar.

Żołnierze posługiwali się przy przemycie Kurpiami. Jeśli ktoś chciał przekroczyć granicę na zielono – bez wizy – porozumiewał się z przemytnikami, opłacał ich, a ci załatwiali już sami wszystko z żołnierzami. Na takie przekroczenie granicy bez wizy trzeba było nieraz czekać tydzień lub więcej, bo grupa prowadzona przez przemytnika nie mogła być mniejsza niż 25

osób – a czasem liczyła nawet setkę. Po zebraniu ich w umówionym miejscu, zwykle w jakiejś olszynce lub lesie, przemytnik spotykał się z uprzedzonym o tym żołnierzem, wręczał mu określoną kwotę i przeprowadzał ich przez pas graniczny do Prus – do Niemiec. Czasem był przy tym żołnierz, ale czasem go nie było; czasem liczył, ile było faktycznie ludzi, a czasem – nie. Kiedy rzecz się odbywała zimą, żołnierz lub przemytnik rozpościerali przez rów palta lub płaszcze dla zatuszowania śladów. Byli tacy, którzy po pewnym czasie wracali z Niemiec; wtedy przemytnicy ich przeprowadzali przez granicę z powrotem.

Ludzie, którzy przekraczali granicę bez wiz, dzielili się na trzy kategorie. Jedni emigrowali dalej; drudzy pozostawali w Prusach na robotach; trzeci – wracali z powrotem do domu po paru dniach. Ci ostatni chodzili do Prus przeważnie po towar – dla siebie lub na handel.

55. Straż

Na granicy poza żołnierzami rozlokowanymi po kordonach – byli jeszcze strażnicy prywatni, tak zwani akcyźni, utrzymywani przez wielkich akcyźników, przedsiębiorców i kupców. Zapobiegali oni przemytowi towarów na większą skalę.

Żeby zostać takim strażnikiem trzeba było być nie tylko olbrzymem, ale i śmiałkiem, i dobrze władać bronią, bo łatwo można było pełniąc straż, dostać kulę w łeb od kontrabandzisty. Straż akcyźna stanowiła dodatkową przeszkodę dla przemytników i trzeba było ich także opłacać. Strażnicy ci przepuszczali pierwszy i drugi raz kontrabandę wolno, niby jej nie zauważając; ale za trzecim razem trzeba było już się wykupić taką kwotą, że odbijali sobie dwa poprzednie razy.

Strażnicy akcyźni byli bardzo bogaci: chodzili w eleganckich garniturach, a ich żony i dzieci – w samych jedwabiach. Życie prowadzili królewskie: bale, zabawy, pijatyki. Takich strażników w Czarni było trzech: Stanisław Sadowski i Bolesław Kosmaczewski – Polacy, i Rosjanin – Cygankow. Tamci mieli rodziny, a Cygankow był kawalerem, ale kiedyś w Ostrołęce w święto żydowskie – w szabas – wykradł rodzicom Żydóweczkę Sarusię, sprowadził ją do Czarni i zaczął przysposabiać do egzaminu z religii prawosławnej przed popem, bo chciał z nią się ożenić. Wiem o tym, bo poznałem ich oboje i odwiedzaliśmy się wzajemnie. Bywałem u nich chętnie, bo wszystkiego u nich było w bród – no i nie przykrzyło mi się w ich towarzystwie.

Policji w Czarni nie było, gdyż na kordonach nie brakowało żołnierzy. Jak wspomniałem, słychać było stale ich krzyki i śpiewy rosyjskie – bo byli to oczywiście Rosjanie. Policja była dopiero w Myszyńcu, a więc 11 wiorst od Czarni.

Tak oto zaczęło się moje życie jako organisty w Czarni. Czy byłem zadowolony? Czy byłem szczęśliwy? To się miało okazać dopiero później.

56. Zalety Czarni

Chór miałem lepszy niż w Goworowie, ale przeważnie męski; później dopełniłem mieszanym. Parafia w Czarni została utworzona z części parafii myszynieckiej, a jej pierwszym proboszczem był ksiądz Siennicki, który wyuczył Kurpiów wszystkich pieśni na pamięć – bez żadnego błędu – tak że śpiewali jak słowiki. Chór w Myszyńcu – mieście i stolicy Kurpi – musiał się czerwienić przed chórem z Czarni. Nawet zwykły różaniec śpiewali na cztery głosy. Nut zupełnie nie znali, bo co tam było mówić Kurpiowi o nutach, kiedy on czytać nie umiał. Ale co się nauczył na pamięć – to spał i mruczał. Mój poprzednik-organista, jak zaznaczyłem, to była taka sobie dziecina: więc i głos miał dziecka.

Czarnia – i wszystkie okoliczne wioski – położone były w lesie, który ciągnął się do samej Ostrołęki. Kurpie – zatrudnieni przy karczowaniu lasu – zaczęli się rozbudowywać. Organiście było więc niewygodnie jeździć po parafii za zbiorami, bo trzeba była ich chałup szukać po rozmaitych wertepach i parowach.

Kościół w Czarni był prześliczny – w stylu neogotyckim. Organów jeszcze nie było – od biedy zastępowała je duża fisharmonia. Wewnątrz było jeszcze pusto: brak było wszystkich ołtarzy, ambony, chrzcielnicy, konfesjonałów i balustrady przed wielkim ołtarzem i na chórze. Kiedy pierwszy raz grałem mszę, jakaś kobieta obejrzała się na chór i grzmotnęła jak długa na posadzkę, takie to zrobiło na niej wrażenie: po moim poprzedniku myślała, że to jakiś cud.

57. Gosposia i służąca

Naczynie Duchowne – gosposia proboszcza – nie była zbyt powabna ani sympatyczna: taki sobie mały antałeczek. Niczego nie robiła, bo od tego była starsza służąca, Andzia, która doszła do takiej wprawy, że prowadziła w całości kuchnię. Gosposię wrzuciło w końcu w tercjarstwo: została dewotką – okropnie przejęła się dogmatami wiary. Codziennie uczęszczała na mszę, a co niedziela – się komunikowała.

Andzia była proboszczowi wierna jak pies swemu panu, ale gosposi nie próbowała dokuczać. Andzia wiedziała, która krowa ma się ocielić i kiedy. Andzia wiedziała, która krowa jest cielna i w którym miesiącu ciąży. Andzia wiedziała, która krowa potrzebuje stadnika. Andzia wiedziała, która krowa zachorowała, na co i od czego. Andzia wiedziała i to, na ile czasu starczy paszy. Andzia miała oko nawet na konie. Andzia wiedziała, ile Kurpie już skosili zboża, a ile jeszcze pozostało. Andzia wiedziała, ile już zwieziono zboża, a ile jeszcze pozostało na polu. Andzia wiedziała i to, ilu Kurpi pracuje na polu, a ilu się nie stawiło do pracy. Andzia wiedziała i to, czemu dzisiejszej nocy wyły psy i były niespokojne. Andzia wiedziała i to, gdzie chłopiec lub dziewczyna prowadzi się niemoralnie. Na koniec Andzia wiedziała i słyszała, jak trawa rośnie.

Andzia chowała wszystko co z dobytku przyszło na świat, niczego nie sprzedawała – i w ten sposób uciułało się 27 sztuk bydła swego chowu.

Taki typek wyłonił się ze zwykłej Kurpianki.

Andzia za mąż nie wychodziła, chociaż miała ku temu sposobność. Wolała się poświęcić wychowywaniu inwentarza i rogacizny oraz drobiu swego chlebodawcy. Taka Andzia dostała za swą wierną pracę – dożywotnią budkę za kościołem. Ale za to pewnie już za życia można ją zaliczyć w poczet świętych.

Gdy to piszę, Andzia jeszcze żyje i jest dobrze trzymającą się staruszką. Nie wiem z czego żyje, ale na pewno ma deser: tę budkę i miłe wspomnienia. I na pewno odwiedza grób swego zwierzchnika, który już dawno nie żyje – i roni nad nim łzę. Ksiądz Guzowski za moich czasów była to osoba olbrzymiego wzrostu i tuszy. Toteż już wówczas zdradzał chorobę serca, tak że nie dociągnął siódemki.

58. Niedowiarstwo

W wielu parafiach zdarzało się, że przy samym kościele zagnieżdżał się niedowiarek.

Takim niedowiarkiem w Czarni był Chorążewicz, gospodarz rolny. Miał żonę i trzech synów. Handlował po kryjomu piwem, a nawet czasami można było dostać u niego i wódkę. Ten

Chorążewicz w nic nie wierzył, niczego nie praktykował, nie chodził zupełnie do kościoła, a tym bardziej do spowiedzi. Za to jego żona była bardzo religijna – i byli ze sobą na pieńku w sprawie kultu religijnego. Nie był jednak szczególnie szkodliwy i ze swoim niedowiarstwem demonstracyjnie się nie obnosił. Czasem tylko sobie zakpił – i na tym koniec.

59. Sprawa z piekarzem

Tuż obok kościoła był sklep, w którym można było kupić wszelkie produkty spożywcze – oprócz większych materiałów bławatnych. Sklep ten prowadzili państwo Budzyńscy. Mieli sporą gromadkę dzieci, ale ponieważ oboje byli ludźmi pracowitymi, sklep dobrze prosperował. Budzyński był poza tym dobrym piekarzem, więc prowadził i wypiek. W pewnym momencie doszło do konfliktu między Budzyńskimi a dwiema dewotkami. Proboszcz stanął po stronie dewotek i założył sklep parafialny, którym zarządzała i była ekspedientką jedna z dewotek. W ten sposób Budzyńskim się urwało. Ale i księdza kosztowało to wiele nerwów i pracy, zanim powstał sklep parafialny. A było to tak.

Koło domu Budzyńskich stała mała budka, w której mieszkało dwoje staruszków. Z czego oni żyli – nie mam pojęcia. W końcu staruszkowie tak już zaniemogli, że wymagali opieki; podjęły się jej dwie starsze panny, tercjarki. Po śmierci staruszków okazało się, że swój domek odpisali swoim opiekunkom, ale ten zapis było zrobiony na kawałku papieru, a nie – legalnie u rejenta. Tymczasem Budzyński bez żadnych ceremonii zajął domek staruszków wraz z placem wokół niego. Były trzy sprawy w Myszyńcu o tę posesję i wszystkie trzy wygrał Budzyński. Żeby był żył sędzia Budny, który – jak już pisałem – się utopił, może panny opiekunki coś by wygrały. Ale po śmierci sędziego sprawy załatwiał sekretarz z Kurpikami-ławnikami, którzy o nich nie mieli zielonego pojęcia i robili to, czego chciał ów sekretarz. Opiekunki liczyły na to, że skoro kupiły posesję od staruszków i pokażą ów papierek w sądzie, to sprawa zostanie rozstrzygnięta na ich korzyść. Tymczasem sąd zażądał dokumentu z urzędowymi podpisami – poświadczonego przez rejenta i opatrzonego jego pieczęcią. A na ich papierku nie było nawet podpisów tych staruszków – tylko dwa krzyżyki. Zresztą nawet i same opiekunki nie umiały pisać. Budzyński zaś nie żałował pieniędzy na adwokata. Ksiądz początkowo w te sprawy się nie mieszał, bo nie chciał z chamstwem mieć do czynienia.

60. Sklep

Kiedy jednak Budzyński ostatecznie wygrał sprawę, panny dewotki zażądały od proboszcza cudu. Znały z opisów historię ks. biskupa krakowskiego Stanisława, który w sporze z królem Bolesławem postawił jako świadka zmarłego przed trzema laty Piotrowina i rzekomo wygrał spór. Wiec nasze dewotki poprosiły księdza Guzowskiego, żeby odprawił mszę św. na ich intencję, a po mszy poszedł na cmentarz i przyprowadził oboje staruszków przed sąd jako świadków. Taką miały mocną wiarę! Opowiadał mi o tym sam proboszcz i mówiły mi o tym same dewotki, zaznaczając, że gdyby ksiądz chciał, to staruszkowie powstaliby z grobu. Ale ksiądz Guzowski ich nalegania jak mógł, tak zbywał, bo nie chciał im otwarcie powiedzieć, że tego zrobić niepodobna.

Zemścił się jednak na Budzyńskim w inny sposób. Zaproponował mi mianowicie, abym w organistówce założył sklep, a on mi pomoże finansowo i ogłosi na ambonie, żeby parafianie brali tylko u mnie.

Wówczas byłem już żonaty, a żona miała troszkę grosza, więc wykupiliśmy zezwolenie-patent i otworzyliśmy sklep. Niestety, nie upłynął rok i musiałem sklep zwinąć; żona miała pewne

doświadczenie w handlu, ale ja nie miałem o tym żadnego pojęcia, a poza tym obciążało mnie dużo obowiązków przy kościele – i zawsze miałem ujemny bilans. Po roku brakowało nam już blisko sto rubli, a to jak na tak krótki okres – bardzo dużo. Przypuszczam, że w naszym niepowodzeniu maczała palce służąca. Poza tym pieczywo mojej żony nie mogło równać się z wypiekiem Budzyńskiego. Żona piekła dobre i ładne ciasto na święta doroczne, Kurpie robili z ciasta rozmaite cudaki – w postaci kóz, baranów i lalek – ale zwyczajne ciasto u Budzyńskiego było lepsze. Rzecz w tym, że Budzyński miał u siebie odpowiednią piekarnię – a myśmy jej nie mieli.

Nikt nigdy mi tej straty nie zwrócił. Po co mieszałem się do cudzych spraw? Przed zatargiem Budzyńskiego z dewotkami byłem z nim w dobrej komitywie. Ich najstarszy syn, Władek, zaczął się nawet u mnie od roku uczyć na organistę. Ale po incydencie ze sklepem pan Budzyński chłopca ode mnie zabrał i nastała między nami ogromna nienawiść. I po co to mi było potrzebne?

Ksiądz widząc, że Budzyński górą – postanowił go uderzyć inaczej. Rozpoczął budowę eleganckiego domu spółdzielczego, w którym umieścił sklep, oddając go do prowadzenia wspomnianym dewotkom. Mnie nikt nie pomógł. Zresztą i ja, i kościelny mieliśmy po jednym pokoiku z kuchnią; nie miałem poczciwej stodółki nawet bez sąsieka; zboże kładło się na drągi i ziarno się sypało [na podłogę]. Nie było dobrych chlewików dla krowy i świń.

A wokoło pełno było drzewa – leżało powalone i gniło.

61. Przyjazd rodziny

Cofnę się teraz parę lat – do początku objęcia posady organisty w Czarni.

Miesiąc po przyjeździe do Czarni z siostrą Genią zapoznałem się ze starszym bractewnym, Kurpiem, który był przemytnikiem. Ów przemytnik-prowodyr nazywał się Ropiak i zaproponował mi, że zaprowadzi mnie i siostrę do Prus, żebyśmy sobie coś taniej kupili z odzieży. Oznajmiłem o tym proboszczowi, który nam tego nie zabronił i poszliśmy przez zieloną granicę do Prus. Oczywiście byliśmy tam nie tylko my, ale i inni ludzie: znajomi i obcy. Byliśmy w Prusach w Wielbarku. Kupiliśmy to, na co nas było stać i powróciliśmy szczęśliwie do domu.

Twardo spaliśmy po podróży, a tu w nocy nagle słyszymy u drzwi kołatania i dobijanie się. Otwieramy, a tu – przyjechali rodzice, siostra Cela i braciszek Janek. Zupełnie nas nie uprzedzili, więc stanąłem jak słup – i nie wiem co robić. Ojciec to zauważył i mówi: „Jeśliś nie rad, zawracamy i już nas nie ma". Zrobiło mi się gorąco i mówię im, że i my jesteśmy dopiero co z podróży. I dopiero wtedy nastąpiło przywitanie.

Jak nierozsądnie Rodzice zrobili, to się okazało dopiero później. Mógłbym przyjąć do siebie prócz Geni jeszcze Celę i Janka, ale nigdy – całej rodziny. Po pierwsze, moja posada nie dawała tyle środków, żeby całe to towarzystwo ubrać i nakarmić. Po drugie, Ojciec był jeszcze wówczas na tyle silny, że Rodzice mogli sobie sami radzić. Ale to była właśnie ich głupia logika: że jak ja mam posadę organisty, to już mam wszystko. Nie rozumieli, że posada posadzie nierówna. Uważali, że przyjechali do wymarzonego ideału: do syna, na którego tak długo łożyli, więc teraz mają prawo z jego opieki korzystać. W rzeczywistości zamknęli przede mną lepszą przyszłość: wszystko po prostu runęło.

Niedługo sami tego doświadczyli na własnej skórze.

62. Rozstanie ze złudzeniami

Gdyby na świecie była sprawiedliwość, prawda, miłosierdzie i życzliwe serca, nie byłoby niszczycielskich wojen, w których ludzie się wzajemnie mordują. A wtedy i moja sytuacja byłaby do naprawienia. Na nic się jednak zdadzą wszystkie partie – socjalistyczne, komunistyczne, demokratyczne, endeckie, proletariackie i burżuazyjne różnych odcieni – jeśli nie nastąpi właściwe zrozumienie życia ludzkiego. Niech się bowiem ktokolwiek z przedstawicieli tych partii dorwie do koryta, to nie żre z brzegu, tylko pakuje się z nogami aż po same uszy i wychłapuje wszystko sam – innym nie pozostawiając niczego. Ziemia-karmicielka wyżywiłaby ludzi, a gdyby pokarmu nie starczało, można by ograniczyć przyrost – w sposób szlachetny. I w ten sposób uniknęłoby się wojen bratobójczych i nieszczęść z nimi związanych. Więzienia też by świeciły pustkami. Ale – powtarzam – tylko pod warunkiem ogólnego zrozumienia życia ludzkiego. Bez tego walki trwać będą stale – aż jakiś głupiec wysadzi to wszystko w powietrze.

Podobnie i mój proboszcz: gdyby był prawdziwym człowiekiem-kapłanem, znalazłby drogę, żeby moje życie lepiej się ułożyło – bez uszczerbku i szkody dla siebie. Przecież był on na Kurpiach niemal magnatem. Jego inwentarz jadał lepiej niż ja z rodziną. Ale resztki żywności wolał wyrzucić na śmietnik – niż dać tym, którzy łaknęli.

Postawił mi za to warunek: że muszę się ożenić. Wiedział dobrze, że gdy przyjdzie synowa, to rodzice będą musieli pójść precz. Łatwo powiedzieć: „Musisz się pan żenić!”. Ale za co? Przecież wiedział, że jestem goły jak święty turecki. Nie powiedział: „Masz pan sto rubli – i jedź pan po Helenkę. A z rodzicami jakoś tak załatwimy, że i oni będą mogli się urządzić”.

Z Helenką bowiem od czasu do czasu się spotykałem, ale nie miałem tyle forsy, żeby jej rodzicom się oświadczyć. Sam nie poprosiłem proboszcza o pomoc, ale w duszy nosiłem myśl o zemście: że jeśli się tylko nadarzy okazja, to go porzucę. Niestety, na taką okazję musiałem czekać aż do wybuchu wojny w 1914 roku.

Musiałem więc z Helenki zrezygnować. Z rozstroju nerwowego zacząłem coraz częściej zaglądać do butelki.

63. Przyszła żona

W niedziele do Czarni przyjeżdżali z Myszyńca rzeźnicy i rozstawiali koło kościoła wyroby masarskie: słoninę, kiełbasę itd. Było ich nieraz dwóch lub więcej. Po skończonym nabożeństwie wracali do domu – do Myszyńca.

Wśród nich była młoda sprzedawczyni – która później została moją żoną. Najpierw poznała ją moja siostra Genia, która wówczas była podlotkiem, ale już chorowała na panienkę. Któregoś dnia poprosiła ją na chór i miałem sposobność bliżej się przypatrzeć swojej przyszłej żonie. Była to Waleria Pyszna: nazwisko bardzo dobrze – jak się okazało – pasowało do jej natury i temperamentu. Otóż panna Pyszna użyła następującego fortelu, aby zawrzeć ze mną znajomość: choć nie zapowiadało się na deszcz, zapytała siostry, czy nie mógłbym jej pożyczyć parasola. W ten sposób – przyprowadzona przez siostrę – znalazła się w naszym domu: moich Rodziców pocałowała nie tylko w buzię, ale i w ręce. Była to jej pierwsza wizyta, więc – zgodnie z tradycją – nie mogła trwać zbyt długo: pożyczyłem jej parasol i oboje z siostrą odprowadziliśmy ją do fury, którą odjechała do Myszyńca.

Wracam – a Rodzice do mnie: „To jest żona dla ciebie. To nie Helena, która nawet nas przyzwoicie nie przywita". A ja na to: „Oby Was te całusy nie poparzyły!". I na tym się skończyło. A miało to miejsce we wrześniu 1908 roku.

Odtąd panna Pyszna co niedziela przyjeżdżała do Czarni z wyrobami masarskimi. To był początek mojej sielanki z przyszłą żoną. W niedługim czasie złożyłem wizytę w Myszyńcu jej rodzicom i oświadczyłem się o rękę córki. Zostałem przyjęty – tym bardziej, że panna Waleria była pełnoletnia, a nawet za pełnoletnia, bo już przekwitała: nie w urodzie, ale w latach, mając 27 i ½ roku. Więc rodzice nie stawiali żadnej tamy.

Podobno w młodszych latach panna Walcia miała dosyć konkurentów, ale się jakoś składało, że nie mogła się na żadnego zdecydować. Chorowała na urzędniczka lub coś podobnego. A gdy żaden taki się nie trafiał, wyruszyła do Ameryki. Była tam dwa-trzy lata. Ale i tam nie udało się jej niczego odpowiedniego dla siebie złowić. Więc wróciła do kraju. A to, co sobie tam uciułała, oddała rodzicom na prowadzenie handlu. Ile tego było, nigdy nie zdradziła.

64. Posag

Przyszedł karnawał. Oznajmiłem księdzu, że się żenię. Proboszcz słysząc to mówi: „A co będzie z Heleną?". A ja na to: „Nie mam odpowiednich środków, żeby jechać do Goworowa i się oświadczyć". Proboszcz nie odpowiedział na to: „Ja panu pomogę – jedź pan po Helenę". Pannie Markowskiej napisałem więc ostatni list i przeprosiłem ją jak umiałem najserdeczniej. W samą wigilię ślubu otrzymałem od Helenki odpowiedź: „Niczego ci więcej nie życzę poza tym, żebyś się dorobił jak sól na ukropie". Smutno mi się zrobiło i w duszy zapłakałem, że prysły moje ideały, ale nie należałem do tych, co w takiej sytuacji sobie w łeb palą. „Dla chleba, panie, dla chleba – góry porzucić trzeba" – jak śpiewa się w góralskiej piosence.

Żona przed ślubem dała mi sto rubli, bo wiedziała i widziała, że u mnie płótno w kieszeni, a rodzina – goła. Ach! Jak było mi przykro te sto rubli przyjmować! A miałem przecież zaledwie 24 lata! Mogłem przecież poczekać jeszcze dwa-trzy lata i mieć swoją forsę. Upiłem się, zapłakałem i przyjąłem ten krzyż. Musiałem przyjąć pieniądze, bo rodzinę trzeba było jakoś na ślub przybrać.

Żona dodała jeszcze, że u ojca w handlu ma jeszcze 150 rubli, więc po ostatniej zapowiedzi mogę je wziąć – tylko muszę o to poprosić ojca sam, bo ona nie śmie tego zrobić. Ostatecznie, po naradzie, zrobiliśmy to oboje: kropnąłem sobie ćwiartkę dla odwagi i zjawiliśmy się u jej rodziców: przyszły teść – wprost rzucił jej te ruble. A żona przy ojcu oddała je mnie. To dziwne. Dlaczego jej własny, zapracowany przez nią ciężko grosz był tak trudny do oddania? Przecież jej poza tym nic więcej nie dali! Kiedy żenił się brat żony Władysław, to mu się siostry odpisały i nic nie wzięły – prócz mojej żony, której z litości ofiarowali 300 złotych. Mieszkaliśmy już wtedy w Broku i jeździliśmy specjalnie na ten odpis. Takie wszystko było okrzyczane, a w istocie niczego tam nie było.

Ale do rzeczy. Ojciec żony po moim odejściu miał tak powiedzieć do córki: „Dajesz mu przed ślubem pieniądze. A jak on cię rzuci?". A ona na to: „Jak mnie rzuci, to trudno. A ojciec by mi nieprędko oddał, a może w ogóle wykapał, a nam są pieniądze potrzebne". Ostatecznie obyłem się 50 rublami, a resztę po ślubie oddałem żonie. Nie chciałem narazić się później na wymówki.

65. Ślub

Ślub odbył się w Myszyńcu w asyście trzech księży. Dawał go nam mój proboszcz, ale na wesele nie raczył przyjść, za co byłem na niego do żywego obrażony. Z Czarni przyjechałem trzema saniami, bo zaprosiłem swoich gości. Na ślub i wesele poprosiłem też Pisarskich z Goworowa.

Pani Pisarska z pasierbicą Stefą przyjechały – ale zapewne dlatego, że byłem jej winien 9 rubli, które pożyczyłem odjeżdżając do Czarni. Myślała, że się obłowi i oddam jej z procentem – bo u nich, jak dawniej, było krucho – ale się zawiodła: i ja już zacząłem się uczyć żyć. Pani Pisarska zamiast po weselu z Myszyńca odjechać do domu, postanowiła zobaczyć moje gospodarstwo w Czarni i odwiedzić proboszcza. Na drugi dzień wyruszyliśmy więc do Czarni – bez żony, która została u rodziców przy szykowaniu swojej wyprawy. Pani organiścina z pasierbicą przenocowały u mnie i złożyły wizytę proboszczowi. Wracać miały przez Myszyniec, gdzie chodziła już kolejka wąskotorowa. Przy pożegnaniu pani Pisarska serdecznie mi pogratulowała i – upomniała się o dług. A ja na to: „Szanowna pani! Jak pani mogło przez usta przejść upominanie się o taką kwotę! Przecież odjeżdżając od państwa powinienem nie nędzne 9 rubli a przynajmniej 100 dostać za moje trzy lata ciężkiej pracy, za którą dostawałem śmieszne 3 ruble miesięcznie. Jeśli pani jechała na mój ślub po to tylko, żeby odebrać ten dług, to nie czuję się w obowiązku nawet pani podziękować za ten zaszczyt. Sumienie mi mówi, że to nie ja u pań mam dług, ale panie u mnie". Obie damy spiekły raka i nic nie odpowiedziały. Zajechała furmanka, bo dałem im podwodę do Myszyńca i pożegnałem panie Pisarskie – jak się okazało – na zawsze. Nigdy już ich miałem nie zobaczyć.

Na drugi dzień po ich odjeździe miałem jechać po żonę. Ale ona sama przyjechała ze swoją wyprawą.

Zaczęły się nasze miodowe miesiące. Były róże i lilie. Ale te róże z liliami prędko okwitły i zostały tylko same kolce i badyle.

66. Rodzina żony

Na początku dom prowadziła moja matka. Wikt się moim domownikom na razie poprawił, bo ojciec żony dostarczał nam okraszenia. Ale miało to i złe strony. Zamiast żony przyjeżdżała teraz do Czarni co niedziela jej siostra Franeczka lub najmłodsza Kostusia. Co niedziela mieliśmy więc myszynieckie wędliny – ale i gości.

Teść mój był bardzo przystojnym facetem; żona była podobna do ojca – i można o niej powiedzieć, że była piękna. Teściowa nie była piękna, ale dała się lubić, bo była dowcipna. Żadna z córek niestety nie odziedziczyła zalet matki – a szkoda. Żona miała dwóch braci: Antoniego i Władysława. Antoni był kaleką: stracił mowę po jakimś wypadku – więc był u rodzeństwa tylko popychadłem. Natomiast Władysław był arcyhandlarzem świńmi. Żona miała trzy młodsze siostry: Paulinę, Franciszkę i Konstancję.

Paulina wyszła za mąż za wdowca, Apla; ma kilkoro dzieci. Sama miała z nim dwie córki i syna: Wandę, Janinę i Stasia. Wkrótce owdowiała i powtórnie wyszła za mąż za Młynarczyka, z którym miała jedną córkę – Irenkę. I ten drugi mąż zmarł, więc powtórnie została wdową – tym razem już do śmierci.

Druga siostra żony, Franciszka, wyszła za mąż za Petkiewicza, który uprawiał handel świńmi, końmi i wszystkim, co się dało. Handlował z przemytnikami, którzy puszczali to wszystko za

zieloną granicę do Prus. Trzeba trafu, że jego wspólnika z powodu jakiegoś zatargu zabili żołnierze na granicy. Żona zabitego wniosła do Petkiewicza pretensję, że jeśli nie zaspokoi jej roszczeń, to wyda go przed władzami i on także wsiąknie. Petkiewicz musiał wypłacić babie przeszło trzy tysiące rubli – a w owych czasach trzy tysiące rubli to był majątek. Poszło na to wszystko, co zdołał uciułać przez kilkanaście lat przemytnictwa – tak że Petkiewicz został z dnia na dzień dziadem: a był najbogatszym człowiekiem w Myszyńcu.

Najmłodsza siostra, Kostusia, wyszła za mąż za starego kawalera – Archackiego, z którym miała dwóch synów: Zygmunta i Władysława. Władysława Kostusia wykierowała na księdza – dzięki księdzu Olendrowi, który wówczas był wikariuszem w Myszyńcu i pożyczał od Kostusi pieniądze. Kostusia liczyła, że dzięki synowi-księdzu łatwiej dostanie się do nieba. Ale się grubo pomyliła, bo dziś jej synek – jako ksiądz – wstydzi się własnej matki, że jest chamką. Zygmunt ożenił się dopiero teraz – tj. w 1956 roku.

Brat żony, Władysław, który odziedziczył całą fortunę po rodzicach, ożenił się bardzo późno: miał chyba ze 40 lat. Wziął sobie za żonę piękną Kurpianeczkę z Brzozowego Kątu z parafii czarnieńskiej. Zaczęły mu się sypać dzieci, ale nie zdążył ich odchować, bo wkrótce zmarł, zostawiające całą tę drobnicę młodej kobiecie. Toteż umierając prosił całą rodzinę o opiekę nad nimi.

Jak wspomniałem, po okwitnięciu w moim domu róż zaczęły wyzierać kolce. Żona nie była wrogiem mojej rodziny, ale wolała, żebyśmy mieszkali sami. Moja Matka była awanturnicą – więc trafiła kosa na kamień. Zaczęło się piekło, a ja znalazłem się między młotem a kowadłem: żal żony, żal i Matki. Zacząłem coraz więcej pić i robić różne głupstwa: a to połamałem jakiś mebel, a to potłukłem jakieś naczynie.

67. Wyjazd siostry

Mamy rok 1911. W tym roku ludzie masowo wyjeżdżali za granicę. Nie było dnia, żeby nie szedł transport z ludźmi do granicy celnej. Jechały nawet dzieci.

Postanowiła wyjechać również siostra Genia. Łatwo powiedzieć: „Pojadę". Ale za co? Miałem trochę uciułanego grosza, ale pochłonęło go niefortunne przedsięwzięcie ze sklepem, o którym pisałem wyżej. Żona być może miała jakieś pieniądze, ale nie śmiałem jej prosić o te zaś... 175 rubli, bo tyle kosztowała opłata wizy do Ameryki czy Kanady. Rodzina żony była zamożna, tyle że na kawałek kiełbasy z jej strony można było liczyć, ale na parę rubli – nigdy; wyjątkiem był ksiądz Olender, któremu pożyczano, ile chciał. Archacka miała pieniądze, ale też wolała dać kawałek słoniny czy kiełbasy – na odczepnego.

Więc co miałem robić, skoro za ślub brało się rubla, a za pogrzeb – pół? A rodzina już się powiększyła: mamy już dwoje dzieci – Antolka i Irenkę. Obleciałem całą parafię, ale żaden Kurp nie chciał mi pożyczyć. Rad-nie-rad ośmieliłem się poprosić proboszcza. Skrzywił się, ale – dał. Opłaciłem agenta, wykupiłem wizę i pewnego pięknego poranka odprowadziliśmy siostrę Genię do Prus. Na komorze celnej pożegnaliśmy się – być może na zawsze; Rodzice w każdym razie nigdy już jej nie ujrzeli[6].

[6] W istocie nigdy już nie przyjechała do Polski.

68. Rozstanie z rodzicami

Po odjeździe Geni stosunki między żoną a Rodzicami znacznie się pogorszyły. Doszło do tego, że wyprowadzili się w końcu do wsi Surowa, pięć kilometrów od Czarni, gdzie znalazłem im mieszkanie. Jak już wspomniałem, Kurpie w naszej parafii się rozbudowywali; Ojciec więc – jako mularz – mógł mieć dość pracy i jako tako ułożyć sobie życie. Ale Kurpie – to naród ostrożny: bardzo rzadko powierzali pracę Ojcu. Dopiero kiedy proboszcz zarekomendował go z ambony – ale niezbyt chętnie, choć zimą Ojciec zrobił mu eleganckie gościnne sanie – miał trochę więcej zamówień. Dzięki temu mieli trochę grosza – a resztę ja im dodawałem.

Niestety, wkrótce Ojciec zaniemógł: wywiązała się z tego choroba. Sprowadziłem lekarza z Myszyńca, który orzekł, że stan nie jest groźny, ale choroba się przeciągnie, bo pacjent jest osłabiony fizycznie. Po jakimś czasie Ojciec zażądał kapłana. Żal mi się Go strasznie zrobiło, bo Ojciec wówczas nie był jeszcze stary, tylko wyczerpany niepowodzeniami. A wszystko przez swoją Żoneczkę. Kiedy zwróciłem się z prośbą do proboszcza, żeby pojechał do Ojca z ostatnim wiatykiem, zgodził się, ale pod warunkiem, że postaram się o furmankę. Kiedy to usłyszałem, wrzuciło mnie w gorączkę: „Ach, ty chol...! Masz aż 7 koni i nie raczysz pojechać nimi do ojca swego organisty!”. Ale furę znalazłem i ksiądz do Ojca pojechał. Od tej pory jednak straciłem do niego zupełnie serce – i miałem czwarty powód do zemsty: teraz powiedziałem sobie już stanowczo, że przy lada okazji go porzucę.

Ojciec pomaleńku – jak przewidywał lekarz – zaczął przychodzić do zdrowia. Kiedy już wyzdrowiał zupełnie, ściągnąłem – wbrew woli proboszcza – Rodziców z powrotem do Czarni: wynająłem im samodzielne mieszkanko niedaleko organistówki.

Brat Janek zaczął usługiwać do mszy św. Chciałem go stopniowo wykierować na organistę. Ale z takim diabłem nie można sobie było poradzić! Do mszy służył jednak codziennie. Mimo to proboszcz nigdy mu za to nic nie dał – ani nigdy do siebie nie zaprosił. A nieraz zdzielił go po łbie, gdy się spóźnił na mszę.

Siostra Genia po wyjeździe do Ameryki blisko rok nie dawała znaku życia.

69. Ulubienica gosposi

Opiszę teraz konflikt mego proboszcza ze swą gosposią. Działo się to już po moim wyjeździe, ale całą historię opowiedział mi w szczegółach pewien mieszkaniec Myszyńca, a i siostry żony wszystko potwierdziły.

Otóż w owych czasach jeździły po Polsce różne ogładzone i mniej lub bardziej wykształcone paniusie – stare panny, dewotki, a nawet zakonnice – które naprawiały bieliznę, aparaty liturgiczne i w ogóle wszystko, co się wiązało z kościołem. Woziły ze sobą własny materiał do tych napraw: jedwab, nici itp.

Kiedyś taka damusia – dosyć młoda i ogładzona panna Helena – zjawiła się w Czarni. Kurpie nazywali ją wprost Heleną, bo oni inaczej do ludzi się nie zwracali, jak po imieniu – oczywiście oprócz proboszcza, którego tytułowali „Ojculkiem-Ksiatuskiem”. Panna Helena od razu podbiła całą służbę na plebanii: wszyscy ją ubóstwiali. A sama gosposia tak się w niej zakochała, że razem spały, jadły z jednego naczynia, a nawet dzieliły się każdym jabłkiem – i razem wszędzie chodziły: do kościoła i na spacer.

Po pewnym czasie jednak robota panny Heleny zaczęła się mieć ku końcowi. Wtedy gosposia zwróciła się do proboszcza z prośbą, żeby pannę Helenę zatrzymał na stałe w Czarni. Proboszcz kazał się jednak gosposi zastanowić, czy jest pewna, że to jej wyjdzie na dobre – i dał jej tydzień do namysłu. Po tygodniu gosposia ponowiła prośbę, więc proboszcz wezwał do siebie pannę Helenę i w obecności gosposi zaproponował jej pozostanie w Czarni. Ta objęła obie namaszczone świętymi olejami ręce, długo je trzymała i całowała – i przyjęła propozycję. Proboszcz złożył swój kapłański pocałunek na czole panny Heleny i w ten sposób została ona rezydentką na plebanii.

Dopiero wtedy zaczęła rozwijać skrzydła przebiegłości.

70. Niewdzięczność

Gosposia chodziła codziennie do kościoła na mszę; panna Helena – tylko w niedzielę. Ale za to czyściła starannie buciki proboszcza, a kiedy był już ubrany – poprawiała suknię i strzepywała z niej najmniejszy pyłek. I była pierwsza w całej plebanii na nogach. Po pewnym czasie nawet Andzia – wierny pies proboszcza – nie mogła równać się z panną Heleną, tyle że miała ona swoje odrębne funkcje i nie zakłócało to harmonii ich stosunków. Ale sytuacja gosposi stawała się z dnia na dzień coraz bardziej krytyczna.

W końcu gosposia zrozumiała, że popełniła błąd. Postanowiła więc działać.

Poprosiła proboszcza o rozmowę w cztery oczy i zażądała tym razem usunięcia panny Heleny. Ale proboszcz wylał na nią kubeł zimnej wody, mówiąc, że jest z panny Heleny zadowolony i że nie ma zamiaru cofnąć danego jej słowa. I dodał: „Nie usuwam gosposi – więc o co chodzi? Zrobiłem dla gosposi dużo. Opłaciłem wszystkie koszta wyjazdu do Ameryki kuzynki gosposi, Geni. Czego więcej ode mnie gosposia oczekuje? Zamiast mi się odwdzięczyć, przychodzi gosposia z coraz to nowymi zachciankami!”. A gosposia na to: „Panna Helena koło proboszcza tańczy, skacze i lata – żeby się mu przypodobać! Nie mogę na to patrzeć!”. Proboszcz: „Panna Helena pracuje, bo nie chce darmo jeść chleba”. Gosposia: „Dwie gospodyni nie mogą być u jednego proboszcza. Jeśli ksiądz jej nie usunie, to ja będę zmuszona ustąpić”. Wtedy proboszcz: „Ha! To co innego! Ja gosposi ani nie wyganiam, ani nie wiążę! Niech gosposia postąpi tak, jak uważa za stosowne”.

Teraz wszystko poszło szybko.

Gosposia zrobiła kilka awantur pannie Helenie; w końcu zażądała od proboszcza odszkodowania, a kiedy ten dał jej tyle, ile zażądała – i jeszcze coś w naturze – opuściła plebanię. Zamieszkała jednak niedaleko kościoła. Widocznie liczyła na to, że proboszcz przyjmie ją jednak z powrotem – ale to nie nastąpiło. Finanse tymczasem się wyczerpywały, bo nic nie robiła. Pewnej nocy wpadła w szał i potłukła wszystkie szyby w oknach plebanii. Gdzie się podziała cała jej pobożność i codzienne komunikowanie się? Za ten nieroztropny figiel została aresztowana i wywieziona do Myszyńca. Proboszcz jednak zatuszował całą sprawę, puszczono ją wolno – ale nakazano, żeby do Czarni nie wracała. Zamieszkała na z górą rok w Myszyńcu. Popadła tam w skrajną nędzę – tak że mełła w żarnach żyto na kaszę. W końcu wyjechała do swego rodzinnego miasta Pułtuska i wieść o niej zaginęła.

71. Do chorego czy na polowanie

Historia, którą teraz opiszę, zdarzyła się za mojej bytności w Czarni.

Parafia myszyniecka była wówczas jeszcze bardzo duża: ciągnęła się aż pod Kadzidło i Czarnię. Przy kościele w Myszyńcu było stale trzech księży. Kiedy księża z Myszyńca w karnawale objeżdżali swoją parafię po kolędzie, to często zatrzymywali się w Czarni na noc.

Otóż kiedyś po takim noclegu i odprawieniu porannej mszy w naszym kościele wikary miał udać się w dalszy objazd; kiedy przyjechała po niego furmanka, okazało się, że potrzebny będzie Przenajświętszy Sakrament, bo we wsi, do której mieli się udać, jest chory. Ale wikary, jadąc na kolędę nie wziął ze sobą potrzebnych aparatów liturgicznych: komży, stuły, krzyża, biretu na głowę i rytualiku, tj. małej książeczki. A do chorego potrzebna jeszcze była bursa, tj. mała torebka na komunikant czyli Przenajświętszy Sakrament w pozłacanej metalowej patence oraz dwa metalowe naczynka ze św. olejami, wata, puryfikaterz, tj. ręczniczek, i maleńki dzwoneczek. Ksiądz wikary nic z tych rzeczy nie miał – ale o fuzji nie zapomniał. Wypożyczył więc je od naszego proboszcza. Wziął Przenajświętszy Sakrament, wsiadł na furę, obok umieścił dubeltówkę i odjechał. Wspominałem już że w owych czasach bywały srogie zimy. A że naokoło były lasy, łatwo było upolować zwierzynę.

Po pewnym czasie kiedy mój proboszcz był w Myszyńcu, upomniał się o wypożyczone aparaty. Ale ów wikary oddał mu tylko komżę, stułę i krzyż. Co się stało z pozostałymi rzeczami – to się wyświetliło dopiero na wiosnę. Podwórze plebanii w Czarni styka się z cmentarzem kościelnym: wystarczy otworzyć furtkę i jest się już na cmentarzu. Pewnego ciepłego marcowego dnia, kiedy stajał już śnieg, służąca Andzia z innymi dziewczynami zamiatały podwórko wokół plebanii. Nagle Andzia zauważyła coś świecącego. Dała znać proboszczowi, który w świecącym przedmiocie rozpoznał swoje naczynko do wkładania Przenajświętszego Sakramentu, które zimą pożyczył myszynieckiemu wikaremu. Mimo poszukiwań – reszty aparatów nie odnaleziono; nie ulegało jednak wątpliwości, że wypadły one wikaremu, zanim opuścił podwórko plebanii. Prawdopodobnie zostały rozwleczone i podarte przez jakieś domowe zwierzę.

Co więc ksiądz choremu dał zamiast komunikanta? Jak go obsłużył bez odpowiednich przyrządów? Jak obchodził się z tą świętością?

Ale ksiądz nie musiał się tym wszystkim specjalnie przejmować. Wystarczyło, że wszedł na ambonę i przeżegnał się – a już Kurpie truchleli. A gdy był w połowie kazania – wszyscy ryczeli jak bydło.

72. Zemsta Moskali

Mamy rok 1914. Na Rosję uderzyły naraz Niemcy i Austria. Francja poszła na Niemcy, a Anglia – jak zawsze – czekała osłabienia państw ościennych.

Na razie u nas – przy granicy pruskiej – jest jako-tako. Ale z każdym dniem robi się cieplej: stałe podjazdy zarówno jednych, jak i drugich. Wpadają Rosjanie, pytają, czy był Германец i odchodzą; potem wpadają Niemcy, pytają, czy był Russ i cofają się. I tak w kółko. Nie bardzo wiadomo z kim trzymać stronę. Coraz częstsze potyczki patrolowe i strzelanina, ale po większej części Niemcy wyłapują podjazdy rosyjskie. Wygląda na to, że Moskale są bezsilni.

W tym czasie pewnemu przemytnikowi-Kurpiowi zdarzył się następujący wypadek. Był to wspomniany już bractewny – Franciszek Ropiak.

Jeszcze przed wojną uprawiał on przemyt ludzi i – czasem – towarów. Dorobił się dzięki temu kawałka ziemi w Surowem, dosyć ładnie się na niej wybudował i osiadł wraz z żoną i dziećmi.

Przed wojną szczęście mu sprzyjało: pieniędzy miał tyle, że nawet i proboszcz od niego pożyczał na umeblowanie kościoła. Zgubiła go chciwość: przypłacił ją najpierw zdrowiem, a potem – życiem.

Jak przeprowadzał ludzi przez granicę musiał podać strażnikom-Moskalom ich liczbę i odpowiednio opłacić za przejście. Żołnierze nie zawsze to kontrolowali i Ropiak począł ich oszukiwać. Kiedy Moskale go przyłapali na oszustwie – zagrozili, że jeśli to się powtórzy, gorzko pożałuje. Ale on nie wziął sobie do serca ostrzeżenia – i w końcu wpadł. Został za to tak zbity, że musiał aż prosić księdza. Jakoś się w końcu wylizał, zwąchał się z powrotem z Moskalami i – mimo ostrzeżeń księdza – zaczął znowu uprawiać swój proceder.

Przyszła wojna; żołnierze, z którymi współpracował Ropiak zostali wcieleni do розветки (zwiadów). Skończyły się złote czasy i dochody – i Ropiak przestał być im potrzebny. Ale postanowili skorzystać z okazji i odpłacić mu za jego szwindle. Gdyby opuścił pas nadgraniczny i wyjechał do centrum Polski, może by ocalał. Ale on pozostał na miejscu, licząc może, że wojna się prędko skończy. W końcu – choć często nocował w lesie – Moskale dosięgnęli go we własnym domu. Przywiązali za nogi do konia, którego puścili biegiem po pniach, których tam było pełno. Z Ropniaka zostały tylko strzępy ciała: wszystko po kolei odpadało – ręce, nogi itd. A rodzinie kazali przyglądać się jego męce.

Taki był koniec naszego bractewnego, a zarazem przemytnika, który i mnie z siostrą przeprowadzał do Prus.

73. Żądza bogactwa

Opiszę jeszcze jedno straszne zdarzenie sprzed mojej bytności w Czarni.

Kiedyś wracał jakiś obywatel z Ameryki i zatrzymał się nad granicą u pewnego Kurpia – w parafii Czarnia – przed dalszą podróżą w głąb kraju. Ów Kurp w nocy – kiedy gość spał – zakołatał go i pochował, a dolary zabrał. Opowiadał mi o tym sam proboszcz.

Kurpie to chciwy i chytry naród!

I jeszcze jedna historia.

Działo się to na rok przed wojną. Zaznaczyłem wyżej, że mój proboszcz – już za moich czasów – uzupełniał umeblowanie kościoła. Meble zostały zamówione w Radomiu i stamtąd nadeszły: wszystkie trzy ołtarze, ambona, chrzcielnica, obydwie balustrady – tj. przed wielki ołtarz i chór – ławki i konfesjonały. Przyjechał główny majster-stolarz z robotnikami i wszystko to zostało zestawione i uporządkowane. Zawiesili też dwa piękne żyrandole i lampiarz do wiecznej lampy przed wielkim ołtarzem.

W miesiąc po ich wyjeździe wzywa mnie do siebie proboszcz, wręcza dwa i pół tysiąca rubli i mówi: „Odnieś tę kwotę do Myszyńca i wyślij do Radomia, do firmy, która robiła meble do kościoła!”. Za taką kwotę można było wówczas kupić pierwszorzędną gospodarkę. Czemu ja z tymi pieniędzmi – będąc tak blisko granicy – nie machnąłem do Ameryki? Przecież za te pieniądze zaniesiono by mnie w worku na kraj świata! A dla uspokojenia sumienia mogłem po pewnym czasie tę kwotę odesłać proboszczowi! Ale moje wychowanie i zasady moralne, które wyznawałem, nie pozwoliły mi na taki czyn. Taka sposobność zdarza się w życiu tylko jeden raz...

Wykorzystał taką sposobność pewien organista, który prowadził Kasę Stefczyka w swojej parafii. Otóż ów organista buchnął z niej tysiąc rubli i machnął do Ameryki. Po roku napisał, że gdyby nie te pieniądze, nigdy by nie zobaczył Ameryki. A pieniądze odesłał i serdecznie za nie podziękował.

Dziś żałuję, że nie zrobiłem – jak on.

74. Ucieczka przed pożogą wojenną

Na granicy tymczasem trochę ucichło. Nie widać patroli: ani niemieckich, ani rosyjskich.

Aż tu nagle zjawia się potężna armia generała Samsonowa i przez Myszyniec – a częściowo też przez Czarnię – wkracza do Prus. Po dwóch tygodniach armia ta została w Prusach rozbita – na skutek zdrady Samsonowa[7]. Resztki armii cofały się znowu przez Myszyniec – tak że słychać było salwy armatnie i widać było powstające pożary.

Wtedy postanowiłem opuścić Czarnię i przedostać do centrum Polski. Było nas siedmioro: my, Rodzice i trójka dzieci – Antolek, Irenka i Genia. Spakowaliśmy swój martwy dobytek – odzież i żywność – i zabraliśmy ze sobą krowę. Wszystkie graty pozostały na miejscu.

Poszedłem pożegnać się z proboszczem: był na łące. Rozpłakał się, ale dla mnie wybiła godzina zemsty: ja nie płakałem, choć w duszy żal mi się go zrobiło. Uważałem, że skoro mnie ze sobą zabrał, to powinien był mnie inaczej traktować. A tymczasem proboszcz miał wszystko – ja nie miałem nic. Proboszcz był magnatem – ja byłem żebrakiem. Kurp nie dał więcej jak jeden snopek: miałem z całej parafii sześć korców zboża. A dochody – to nawet pisać nie warto. Nie wiedziałem, co mnie czeka – ale ani przez chwilę nie dopuszczałem myśli, że wrócę do Czarni. Liczyłem na to, że w centrum znajdę jakąś posadę – i to lepszą od Czarni – bo przecież niejeden organista musiał pójść na front. I tak było. Nie mogłem jednak zbyt wybierać, bo mój kapitalik prędko się wyczerpał.

Po naszym odejściu z Czarni – do Prus poszła druga armia rosyjska i tkwiła tam cały rok. O jej rozbiciu – napiszę później.

75. W Lubielu

Myśmy zaś z Czarni trafili do Obrytego. Po drodze sprzedałem krowę, bo nie było sensu jej ze sobą ciągnąć. Było lato 1914 roku. W Obrytem wynająłem mieszkanie u jednego z gospodarzy i wszyscy w nim zamieszkaliśmy. Ponieważ akurat miejscowy organista – Zadrożny – został właśnie powołany do wojska, zaraz dostałem posadę. Ale była to posada na tydzień, bo pan Zadrożny został uznany przez komisję za niezdolnego do służby z powodu ruptury – i po tygodniu wrócił.

Po trzech miesiącach dostałem posadę w sąsiedzkim Lubielu nad Narwią. Rodzicom wynająłem tam osobne mieszkanie. W parafii lubielskiej było dużo Niemców-kolonistów, którzy porzucali swoje gospodarki i uciekali przed Moskalami do Niemiec, sprzedawszy przedtem żywy inwentarz. Ale zbiory pozostawili. Wójt w Lubielu zrobił spis ludności i oznajmił, że każdy kto chce, może się zapisać na takie poniemieckie gospodarstwo. Skorzystali z tego moi rodzice i dostali 10 morgów ziemi, zabudowania i zbiory – więc na razie byt mieli

[7] Ściśle biorąc należałoby tę myśl – dla uniknięcia niewłaściwej interpretacji – sformułować następująco: armia rosyjska została w Prusach rozbita – na skutek zdrady, której dopuścili się oficerowie sztabowi Samsonowa

zapewniony. Nawet i ja wziąłem 6 morgów, ale bez zabudowań, bo miałem organistówkę i zabudowania nie były mi potrzebne.

Z posadą powiodło mi się gorzej, bo ksiądz okazał się jasną ch....: dokuczliwym draniem w skórze kapłańskiej. Nazywał się Bolesław Skarżyński i był dyplomowanym szlachcicem. W niczym nie można było mu dogodzić – ani w pisaniu, ani w kościele. Zawsze wynalazł jakąś wadę. A ja przecież znałem wszystkie obrzędy kościelne na pamięć, pięknie śpiewałem, jakotako grałem i nieźle pisałem zarówno po polsku, jak i po rosyjsku. Parafia była rozległa i liczyła pięć tysięcy dusz – o całe dwa tysiące więcej niż Czarnia. Cztery wioski były za Narwią, więc trzeba było zbiory przewozić promem, bo mostu nie było. Ale te zbiory już mi się nie dostały. A szkoda – bo ten lud mnie polubił i był ofiarny: parafianie przynosili mi mleka, masła, a nawet białego chleba i pszennego ciasta. Żona nie mogła się nadziwić – i zupełnie zapomniała o Czarni.

W Lubielu przyszedł na świat Mietek – miałem więc czworo dzieci. Mietek w dzieciństwie w nocy bardzo wrzeszczał – aż dostał z tego ruptury. Parę razy jeździliśmy z nim do lekarza do Pułtuska. Ten polecił, aby dziecko nosiło do pięciu lat pasek; potem powinno zostać poddane operacji. Ostatecznie obyło się bez operacji, choć zrośnięcie błony bez operacji zdarza się podobno raz na tysiąc przypadków.

Mamy już zimę. Jeżdżę po kolędzie z opłatkami. Wojna nadal trwa – ale daleko od nas: w Prusach. Więc u nas na razie spokój. Zebrałem kartofle – rozwiozłem opłatki. Zebrałem dzierżawę po Niemcach – nie było tego wiele: sam skosiłem trzy morgi i wyszło tylko trzy metry; nie opłacało się w ogóle najmować kośnika. Za to gryki – nad samą Narwią – miałem cztery metry. Miałem więc dosyć chleba – i do chleba. Podobnie Rodzice. Żonie kupiłem dwa większe prosiaki: było je czym tuczyć, więc rosły jak na drożdżach. Krowy nie kupowałem, bo ciągle trwała wojna.

76. Wypadki wojenne

Tak to trwało przez zimę – do połowy lata. Wtedy to cała armia rosyjska w Prusach została rozbita – a dlatego tak tam długo stała, że była w okrążeniu. Wreszcie się wydostała z tego okrążenia i zaczęła zmiatać do Rosji przez Polskę. W Polsce powstała panika. W Rosji robią swoje Lenin ze Stalinem, ale na razie nie udaje im się zwalić caratu. Strzały armatnie słychać o kilka mil. Żołnierze rosyjscy wracają wycieńczeni. Żona utuczone karmiki zabija i – z siostrą Celką – sprzedaje słoninę i mięso żołnierzom, którzy dobrze płacą. Wreszcie główne sotnie i oddziały się przewaliły. A Rosjanie rozgłaszają wśród ludności wieści, że Niemcy mordują naród – i zaczyna się emigracja Polaków do Rosji. Niektórzy nawet rzucają gospodarstwa i jadą na wschód. I myśmy też poszli w ich ślady: zapakowaliśmy martwy inwentarz i ruszyliśmy w drogę.

Niemcy z Austriakami tak napierali, że Rosjanom wszędzie deptali po piętach. A wszyscy napotkani żołnierze rosyjscy radzili nam uciekać do Rosji, bo Германцы Поляков мучит.

Przekroczyliśmy więc rzekę Bug i stanęliśmy w jakimś lesie. Zbudowaliśmy tam schron i przenocowaliśmy. Rano zaszedł do nas leśniczy z miejscowej leśniczówki i oznajmił, że jesteśmy okrążeni. Nie ma mowy o wyjeździe do Rosji, bo u niego były już partole niemieckie i austriackie. Postanowiliśmy więc wracać do domu. Przez Bug trzeba się już było przeprawiać promem, bo most był zaminowany. Kiedy znaleźliśmy się z powrotem w Lubielu, organistówka była już zajęta – przez samego proboszcza, któremu Moskale spalili plebanię, a wszystkie

książki z jego biblioteki osr... Wybili mu też cztery krowy, wzorowo hodowane – dające mleka za czternaście zwykłych. Ksiądz mnie już nie chciał przyjąć, więc zostałem znowu bez posady. Wprowadziliśmy się na razie do poniemieckiej chałupy, którą przed ucieczką zajmowali Rodzice. Kiedy trochę wypocząłem, pożegnałem się z żoną, dziećmi i całą rodziną – i wyruszyłem w świat szukać pracy.

77. W poszukiwaniu pracy

W czasie tych poszukiwań dostałem ostrej biegunki. Kiedy nocowałem w pewnej wsi, nie zdążyłem odszukać wychodka i zasr... babie całą sień: nawet nie miałem czasu po sobie posprzątać – tylko uciekłem. Ostatecznie młody organizm wszystko przezwyciężył.

Niestety, moje poszukiwania spełzły na niczym. Znajdowały się w różnych miejscach wolne posady, ale bez referencji nikt nie chciał mnie przyjąć. W końcu zjawiłem się w Broku. Kiedy stanąłem przed proboszczem, ten powiada: „Szkoda, że nie przyszedł pan trzy dni wcześniej, bo już przyjąłem organistę na miejsce dotychczasowego, który wyjechał na wojnę. Niech pan się przejdzie do organistówki – może nowy organista coś panu poradzi". Tymczasem w organistówce zastałem ni mniej, ni więcej – tylko swego dawnego pryncypała z Zator, pana Wieliszewskiego. Po przywitaniu i dwóch głębszych pytam go: „A kto po panu objął posadę w Zatorach?". On mi odpowiada: „Na razie nikt, bo tu jestem parę dni. Dopiero jak się tu jako-tako umocnię, pojadę po żonę i dzieci". A ja na to: „No to idę do Zator i spróbuję zająć tam pana miejsce". Wtedy on: „Dobrze. Próbuj".

Zauważyłem jednak, że coś tu jest nie w porządku. I rzeczywiście. Kiedy przywędrowałem do Zator, odwiedziłem najpierw panią organiścinę, która mi oświadczyła, że nie wie, gdzie się podział jej mąż. Przypuszczała, że pojechał do rodziny w Kamieńczyku, skąd oboje pochodzili. Pomyślałem, że pewnie w Kamieńczyku pan Wieliszewski dowiedział się o wolnej posadzie w Broku i nie wracając już do żony, uderzył wprost do tamtejszego proboszcza. Po rozmowie z panią organiścina udałem się do proboszcza. Kiedy mu opowiedziałem całą historię, robił wrażenie zdziwionego – jakby o niczym nie wiedział. Ostatecznie kazał mi, żebym za trzy dni dowiedział się, jak sprawy stoją – i wtedy miała zapaść ostateczna decyzja.

Kiedy wróciłem, cała rodzina była zadowolona, że moje poszukiwania nie okazały się daremne. Po trzech dniach zgłosiłem się do Zator, ale tam zobaczyłem swego dawnego pryncypała, który zdążył wrócić z Broku. Przeprosił mnie bardzo i oznajmił, że się z proboszczem pogodził, zrezygnował z Broku i zostaje na miejscu. Nalegał też bardzo, żebym już do proboszcza nie chodził. Powiedział: „Syp do Broku. Tam na pewno nikt jeszcze miejsca nie zajął i na pewno je dostaniesz". Nie chciałem robić przykrości swemu dawnemu nauczycielowi i z proboszczem się już nie spotykałem. Pożegnałem się z panem Wieliszewskim – i udałem się po raz drugi do Broku.

Skłaniało się już ku wieczorowi. Ponieważ dobrze znałem te okolice, poszedłem na skróty do Wyszkowa, skąd do Broku było tylko pięć mil. Dawna mila liczyła 7 wiorst – od Wyszkowa pozostało więc około 35 wiorst czyli jakieś 38 km. Kiedy dobrnąłem pod Wyszków, robiła się noc. Do wioski nie mogłem już pójść, więc postanowiłem przenocować w polu. Znalazłem sobie stertę słomy, zakopałem się w niej i przespałem do rana. Rano poszedłem w kierunku Wyszkowa, gdzie dowiedziałem się, że panuje tu epidemia duru brzusznego. Wypiłem więc jeden głębszy, zakąsiłem, popiłem szklanką herbaty – i w drogę. Okolice były już pod okupacją

niemiecką; nikt nie wyruszał w dalszą podróż – więc całą drogę szedłem pieszo: nigdzie nie spotkałem żadnej furmanki.

Kiedy przyszedłem do Broku, było już dość późno. Ale jeszcze można było się zgłosić do proboszcza. Zaszedłem więc do niego: przyjął mnie względnie uprzejmie. Opowiedziałem mu szczegółowo o swoim położeniu. A on powiedział: „Proszę pana! Dziś jest wojna, niby skończona, ale Niemcy jeszcze okupacji nie zdjęli, więc włóczą się po świecie rozmaici ludzie. Wierzę w to, co mi pan powiedział, ale muszę jednak zachować ostrożność. Jeżeli zgodzi się pan na moje warunki i wywiąże z nich dobrze, to pana przyjmę i będzie pan u mnie pracował. A te warunki są takie. Pobędzie pan tutaj jakiś czas sam, bez rodziny, aż dostatecznie pana poznam. Jeśli wszystko będzie w porządku, sprowadzi pan rodzinę. Myślę, że ten okres próbny nie potrwa długo. Zgoda?". Zgodziłem się na te warunki i pozostałem.

Spełniałem wszystkie obowiązki organisty. Jadałem, gdzie się dało: i u proboszcza, i u znajomych, których na miejscu poznałem. Nocowałem u proboszcza na sianie w stodole, a że to było lato – było mi przyjemnie spać na świeżym powietrzu. Po dwóch tygodniach proboszcz mi oświadczył, że mogę pojechać po żonę i dzieci, i wprowadzić się do organistówki. Kiedy do nich przyjechałem, wszyscy się zdziwili, że zamiast w Zatorach objąłem posadę w Broku. Z żoną, dziećmi i kochanym braciszkiem Jankiem zamieszkałem w organistówce, a Rodzice przez pewien czas zostali na poniemieckiej gospodarce. Pod okupacją niemiecką dawni koloniści-Niemcy wrócili jednak na swoje dawne gospodarki i rodzice musieli ustąpić. Do mnie się nie sprowadzali, bo zbyt dobrze poznali już księży-chlebodawców. Osiedli więc w wiosce Ochudnów w parafii wyszkowskiej. Ojciec, póki jeszcze mógł, zarabiał na mularce. A dla mnie rozpoczął się nowy rozdział życia.

78. W Broku

Parafia nie była zbyt bogata, ale z Czarnią nie było porównania. Zawsze było pięć tysięcy dusz. Objazd parafii nie był tak uciążliwy jak w Czarni, bo wioski były w kupie, a nie rozrzucone – jak tam. Polubili mnie ludzie – i księża. A ja nie szczędziłem zdrowia i głosu. Bawiłem się w chóry i imprezy-teatrzyki amatorskie – często w nieopalanej remizie strażackiej. Odbiło się to na moim zdrowiu, ale dopiero później.

Proboszczem moim w Broku był ks. Kuskowski, który miał gosposię Krajewską – rzekomą wdowę z dwojgiem dzieci. Podobnie ks. wiary Krakowiak miał dwoje dzieci, ale że był młodszy i silniejszy od proboszcza – trzecie było już w drodze.

Ale o tym – dalej.

79. Uratowane dziecko

Mamy rok 1915. Przychodzi na świat moje piąte dziecko – Zygmuś[8].

W Polsce okupowanej przez Niemców zaczęła wtedy grasować epidemia hiszpanki. Kto tę hiszpankę przechodził i ją przeziębił, zapadał na tyfus plamisty – i klapa. Nieraz prowadziłem na cmentarz i siedem trumien, a kiedy się za siebie obejrzałem, to ciarki przechodziły mi po skórze. W Broku było wtedy dużo wypadków tyfusu. To dziwne: ludzie słabi, bladzi i mniej krwiści, tę chorobę przechodzili lżej i zdrowieli. To samo dotyczyło nałogowych pijaków,

[8] W istocie Zygmunt urodził się w 1916 roku.

których po większej części tyfus się nie imał. Natomiast ludzie czerstwi i krwiści – padali jak muchy.

Zygmuś, w pół roku po przyjściu na świat, dostał dezynterii, biegunki. Dziecko z każdym dniem robiło się coraz słabsze. Żaden z lekarzy z Ostrowi nie był w stanie nic poradzić. A trzeba dodać, że moja żona wszystkie dzieci wykarmiła własną piersią. Zaczęliśmy mieć wątpliwości, czy uda nam się Zygmusia uratować.

Trzeba trafu, że chorego na tyfus Żyda wizytował w Broku pewien lekarz niemiecki. Wtedy żona wzięła Zygmusia na rękę i poszła pokazać go temu lekarzowi. A lekarz obejrzał i dziecko, i matkę. Przy pomocy tłumaczki orzekł, że jedynym sposobem uratowania Zygmusia jest znalezienie dla niego mamki. Jest zbyt osłabione, ma biegunkę i podawanie mleka z butelki pogorszy tylko jego stan. I dodał: „Jest pani już w ósmym miesiącu ciąży. Więc pani mleko dziecka nie odżywia, lecz je zabija".

Niełatwo znalazłem kobietę, która zgodziła się karmić nasz szkielecik. Mamką została w końcu pewna starsza panna – karmiąca swoje nieślubne, półroczne dziecko. Zapewniliśmy jej dobre utrzymanie, żeby miała tyle pokarmu, aby starczyło dla dwojga dzieci; zresztą jej dziecko było zdrowe i mogła je dokarmiać z butelki. Na początku z karmieniem Zygmusia były kłopoty; miał już ponad pół roku, więc był na tyle rozumnym dzieckiem, że trzeba było go w kołysce zakrywać lekkim nakryciem, żeby nie zauważył, że karmi go nie matka, lecz ktoś obcy. Poza tym pierwsze porcje mleka dziecko oddawało. Na szczęście stopniowo wymioty ustały, chłopiec wyzdrowiał i z każdym dniem się poprawiał. Wszystko to nie było przyjemne dla żony, która uroniła po kryjomu niejedną łzę, ale dla ratowania dziecka rodzic wszystko jest gotów poświęcić.

Trzymaliśmy nianię rok i siedem miesięcy, a trzeba przyznać, że kiedy się odgryzła i zrozumiała, że zależymy od jej łaski, pozwalała sobie nieraz na bardzo wiele. Braciszek Janek do chwili powołania do wojska wychowywał się u mnie. Wychowywał się – to za dużo powiedziane, bo był łajdakiem od dzieciństwa. (Pozostał nim zresztą do dziś.) Otóż panna niania, kiedy się u mnie odżywiła, posunęła się nawet do tego, że smarkacza Janka w mojej stodółce, na miękkim sianeczku, nauczyła... pierwszej moralności.

80. Córeczka

Mamy rok 1916.

W tym roku przyszło na świat nasze szóste dziecko – Janinka[9]. A więc miałem sześcioro dzieci. Jak mówi przysłowie: co rok – to prorok. Jedno dziecko od drugiego było starsze o rok, a niektóre nawet i mniej. Była to straszna drobnica, więc żona nie mogła sobie sama z nią dać rady. Mieliśmy więc zawsze dwie służące do pomocy. Poza tym każde dziecko – powtarzam: każde – było okupione doktorami, na których wydaliśmy masę pieniędzy. Poszły trzy krowy, poszły karmiki.

Ostatniego karmika – a był duży, od ogona do łba dał równy towar – zabrali mi Niemcy. Rzecz w tym, że na mocy rozporządzenia władz okupacyjnych każdy, kto chciał sobie zabić wieprza, musiał go zaprowadzić do szlachtarza, ten go zabijał i jeśli okazało się, że mięso jest zdrowe, można było towar zabrać – po opłaceniu szlachturowego. Otóż w moim wieprzu znaleziono

[9] Właściwie urodziła się w 1918 roku.

trzy wągry i to wystarczyło, żeby mi wieprza skonfiskować i zabrać do Ostrowi. Wypłacono mi tylko 113 marek niemieckich odszkodowania, za które można było kupić guzik z pętelką.

Dla nich był dobry, dla mnie – nie.

Niestety, Janinki nie zdołaliśmy uratować: zmarła po półtora roku na zapalenie nerek.

81. Upadek caratu i wskrzeszenie Polski

Mamy rok 1917. W Rosji wypadła rewolucja. Lenin zwalił carat i zaprowadził wraz ze Stalinem dyktaturę. A u nas szaleje hiszpanka i tyfus.

W tym czasie była u nas za służącą kuzynka żony – Krajewska.

W roku 1918 Niemcy skapitulowały. Akt kapitulacji z Francją podpisany został w Lasku Bulońskim. Francja odzyskała Alzację i Lotaryngię. Wszędzie rozruchy i strajki. Węgry odpadły od Austrii. W jej ślady zamierzają pójść Czechy.

Piłsudski organizuje w Małopolsce pierwsze legiony i przy ich pomocy zaczyna rozbrajać Niemców w Polsce. Z tym rozbrajaniem była istna pociecha, kiedy Niemcy musieli składać broń przed takim młodym państwem – jak Polska. Byłem i ja przy takim rozbrajaniu.

Piłsudski dochodzi następnie do władzy i zostaje pierwszym Marszałkiem Polski. Wszyscy go ubóstwiają; wszyscy zaciągają się pod jego sztandary. Niemcy opuszczają Polskę. Polska odzyskuje niepodległość: 30 milionów ludności – terytorium od Poznania do Wilna, kawał Ukrainy ze Lwowem i nieco morza – Bałtyku, a więc dosyć duże jak na pierwszy raz.

Mój brat Janek odchodzi do wojska.

82. Choroby dzieci

A hiszpanka z tyfusem wciąż szaleje. Nie ominęła i mego domu. Zachorowałem ja, żona, Irenka, Genia i Mietek. Pozostali na razie tylko: służąca, Antolek i Zygmuś. Zabrakło oddzielnych łóżek, toteż oboje z żoną leżeliśmy na jednym. Mnie uratowało to, że codziennie sobie wypijałem głębszego, a żonę – że nie była mocno krwista. Nastąpiło wreszcie przesilenie – i żona wstała, ale ja jeszcze niedomagałem.

I wtedy przyszła depesza, że zmarł Ojciec. Żona więc na drugi dzień wyjechała furmanką na pogrzeb. Kiedy już odjechała, zrobiło mi się bardzo smutno i podążyłem za nią drugą furmanką, chociaż miałem jeszcze gorączkę 38^{o} . Ojciec został pochowany w Wyszkowie. Wracając zabraliśmy ze sobą Matkę. Siostra Celka była już wówczas zamężna, więc została z mężem na miejscu.

Tymczasem u Irenki rozwinął się tyfus i dostała zapalenia opon mózgowych. Była trzy miesiące w szpitalu w Warszawie. Chorowała cały rok.

Po roku zachorował też Antolek – na dur brzuszny. Dur brzuszny różni się od tyfusu plamistego tym, że przy tyfusie po 18 dniach następuje kryzys i albo się polepsza, albo następuje śmierć; natomiast na dur brzuszny można chorować i pół roku, a temperatura także utrzymuje się 40^{o} . Przetrwa to tylko ten, kto ma silne serce i zachowuje ścisłą dietę. Antolek przeleżał całe sześć tygodni, ale dzięki odpowiedniemu reżimowi – wyzdrowiał. Cóż, kiedy zapadł zaraz na jakąś nową chorobę, która rano go opuszczała, po południu trzęsła, a po pewnym czasie wrzucała w gorączkę 40^{o}. Na drugi dzień spadała do 37^{o} i tak w kółko.

Sprowadziłem trzech lekarzy z Ostrowi, ale nic nie potrafili pomóc. A Antolkowi od gorączki oblazł język, z dziąseł zrobiła się sama rana, zaczął chudnąć i opadać z sił. Co tu robić? Pojechałem jeszcze raz do Ostrowi, do samego lekarza powiatowego – Szaykowskiego. Po drodze opisałem przebieg choroby. Po przyjeździe zbadał Antolka, a ja powiedziałem: „Panie doktorze! To chyba musi być malaria!". A on na to: „Zgadł pan". A inni lekarze leczyli go na... nerki. Oto na jakim poziomie była w Polsce – i jest do dziś – medycyna. Doktór Szaykowski przepisał jakieś lekarstwo i chininę. Po zażyciu chininy – jakby ręką odjął. Były jeszcze ataki, ale z każdym dniem mniej – aż w końcu ustały zupełnie. I w taki sposób uratowałem Antolka. Antolek chodził już do szkoły i pływał łódką po Bugu – i tam właśnie złapał malarię. Było z nim jeszcze dużo subiekcji, zanim pogoiły się język i dziąsła.

Odtąd nastała u nas przerwa w chorobach – jeśli nie liczyć różnych drobnych zachorowań dzieci na dyfteryt i odrę.

83. Wojna polsko-bolszewicka

Niestety! Na świecie zawsze się znajdą jednostki, które dorywają się do władzy po to, żeby zakłócić spokój. Właśnie taki konflikt wywołał Lenin z Piłsudskim w 1920 roku. Olbrzymia Rosja, ale wyczerpana wojną domową, nie mogła poradzić sobie z młodziutką Polską. A ta, choć dopiero wyszła z pieluszek – pod dobrym wodzem, Piłsudskim – grzała bolszewików okropnie. Niestety, Piłsudski zagalopował się zbyt daleko – bo aż pod sam Kijów. Gdyby miał wystarczającą pomoc ze strony aliantów, na pewno by więcej wygrał. Któż jednak dba o Polskę! Ostatecznie można liczyć tylko na własną siłę! Toteż Piłsudski musiał się cofnąć, bo groziła mu klęska: bolszewicy – choć nadzy i bosi, bez żadnego uniformu i jedynie z luśnią w ręku – szli на Варшаву i byli już w Białymstoku, a Piłsudski jeszcze w Grodnie i Wilnie. Wreszcie Piłsudski dotarł do Warszawy, a tu bolszewicy już na Pradze. Piłsudski spotyka się więc z generałami polskimi na moście Poniatowskiego i mówi – zwracając się do gen. Hallera: „Józiu! Ratuj! Pójdziesz na Modlin i Mławę, a ja ich zajdę od Lwowa i weźmiemy ich w okrążenie!". To była prawdziwa taktyka wodza. Bolszewicy nie mieli wyjścia i cała armia musiała przekroczyć granicę pruską, bo inaczej zostałaby wybita lub musiałaby się poddać. Niemcy bolszewików wpuścili, rozbroili i puścili wolno.

Lenin – bojąc się o siebie i lękając się, że wybuchną rozruchy – poprosił Piłsudskiego o pokój na 25 lat. Polska pozostała w takich granicach, jakie zakreślił jej Piłsudski w 1918 roku.

84. Prześladowania bolszewickie

Kiedy bolszewicy wracali spod Warszawy, poddawali prześladowaniom niektórych Polaków – przeważnie księży, obszarników – jako tzw. zdrajców rewolucji. Mój proboszcz w obawie przed tymi prześladowaniami uciekł i siedział trzy noce z kurami na grzędzie, a później przeleżał parę dni u kościelnego przebrany za kobietę. Kiedy bolszewicy szli na Warszawę – nie tylko proboszcz, ale i ja z rodziną zmuszeni byliśmy usunąć się z Broku za Bug, bo tam było spokojniej i bezpieczniej.

Przedtem zjawił się u mnie brat Janek: szedł w tyle, za frontem. Pytam go: „Czemu nie bijesz bolszewików?". A on na to: „A co oni winni?". Więc powiedziałem: „Na razie nie ma u mnie dla ciebie miejsca. Idź na front, a jak się wojna skończy, a będziesz żył, to cię przyjmę. Ale teraz nie chcę mieć przez ciebie nieprzyjemności ani od bolszewików, ani od Polaków". I poszedł.

Pod Białymstokiem Polacy odbili wielu domniemanych zdrajców i księży, który byli pędzeni od samego Płocka – jako jeńcy do Rosji. Dużo takich wróciło i do Broku. Mnie jakoś w Broku bolszewicy się nie czepiali – tylko fortepian wypożyczyli do remizy i popsuli: bo kiedy weszli, od razu musieli okazać swoją... kulturę.

85. Przygody gosposi

Mój proboszcz – to był wielki suchotnik – ale babiarz nie lada. Miał gosposię – „kieby łanię", która zupełnie nic nie robiła. Rozumiem, że księdzu potrzebna jest gospodyni; ale taka gospodyni powinna choć czasem jakieś ciasto upiec. Tymczasem jedynym zajęciem tej gospodyni było to, że po całych dniach i późno w noc siedziała u Szwarca-sklepikarza, u którego obmawiano i spotwarzano ludzi. (Był to ojciec pięknej Kazi, przez którą otruła się w Goworowie doktorowa.) Podczas okupacji niemieckiej było trzech żandarmów; jeden z nich był rzekomo Polakiem, więc dwaj pozostali, Niemcy, posługiwali się nim jako tłumaczem. Owi żandarmi zajmowali się głównie ściganiem kontrabandy i wszystko, co było niezgodne z niemieckimi przepisami – było konfiskowane, po czym – odnajdywało się u Szwarca: wory mąki pierwszego gatunku, rozmaitych kasz i zboża; rożne materiały bławatne – a nawet dywany. Szwarc ze swej strony udzielał panom Niemcom pięknie umeblowanego pokoju, gdzie przy wspaniałych trunkach mogli sobie się pobawić z pięknymi brokowiankami, między którymi była też i „Krajesia" mojego proboszcza. Nieraz przygrywałem na takich wieczorkach, a czasem grałem na doskonałym fortepianie pana Szwarca także i w dzień. Brokowiacy znienawidzili gosposię i proboszcza za te gorszące sceny. Kilkakrotnie pisali nawet do biskupa w Płocku, żeby ich z Broku usunął. W końcu biskup zażądał od proboszcza, żeby gosposię usunął. Gosposia się zalała łzami – ale proboszcz musiał się zastosować do nakazu biskupa i gosposia zamieszkała u bractewnego Kempistego, ale tylko na dzień, bo na noc zjawiała się na plebanię bawić proboszcza. A dwoje dzieci najspokojniej mieszkało sobie nadal na plebanii. Tak to trwało trzy miesiące. Wreszcie znalazło się wyjście. Proboszcz dał gosposi arkusz papieru i powiedział: „Idźcie z nim po Broku i zbierzcie 20 podpisów od tych, którzy wam najbardziej dokuczają, a jak podpisy będą, to my z panem Jadackim resztę dokończymy sami. W ten sposób choć brokowiacy byli na swój sposób mądrzy, proboszcz zażył ich z mańki – i gosposia te podpisy zebrała. Wtedy napisał tekst listu do biskupa, że gosposia jest niewinna. A ja musiałem przepisać ten tekst tak dokładnie, żeby nie wszedł na podpisy. Przepisywałem go z tydzień. Kiedy list był gotowy, proboszcz wysłał go natychmiast do biskupa w Płocku. Ten chyba musiał zbaranieć: wczoraj obywatel brokowski pisze donos na gosposię, a dziś ten sam obywatel prosi biskupa, żeby ją pozostawić w Broku, bo jest niewinna.

Tak czy owak biskup zezwolił jej na powrót na plebanię. A wtedy gosposia zrobiła wszystkim swoim wczorajszym wrogom, a dzisiejszym dobrym przyjaciołom taką zabawę u Kempistego, że pierwszy obszarnik nie powstydziłby się takiego przyjęcia na ślubie swojej jedynaczki córki. Pito i tańczono – całą noc do rana. A jak brokowianie pili – dobrze oddaje następująca anegdota. Zwołujesz brokowiaków i mówisz im: „Mam wiadro wódki. Chodźmy na polankę za mostem, kilometr stąd – to wypijemy". Brokowiacy idą. Kiedy dochodzimy do polanki, mówisz im: „Nie. Jeszcze nie tu. Pójdźmy jeszcze kawałek dalej". I oni pójdą dalej bez szemrania. Kto na tę zabawę gosposi dał środki? Oczywiście proboszcz. A skąd proboszcz je wziął? Oczywiście z parafii. Po skończonej libacji gosposia triumfalnie wróciła do proboszcza i nadal uprawiała swoje niecne zajęcie. Ja bym ją na suchej wierzbie kazał powiesić!

86. Panna i ksiądz

W Broku i okolicy było dwóch obywateli ziemskich, których można by zaliczyć do półobszarników – nazywali się: Dmochowski i Morawski. Obaj mieli braci, którzy byli kanonikami i prałatami przy kapitule biskupiej w Płocku. Przyjeżdżali oni często do Broku, ale z naszym proboszczem utrzymywali tylko oficjalne stosunki, choć on także był szlachcicem. Przeszkadzała temu gosposia. Proboszcz nieraz mówił, że przez nią cierpi, ale dlaczego cierpiał – to pozostało na zawsze tajemnicą. Do Broku na letnisko przyjeżdżał też z Płocka inny ksiądz kanonik, Wójcicki, który było brokowianinem i miał tu rodzoną siostrę. Kiedyś zdarzyła się w czasie jego pobytu w Broku następująca historia. Pewnego pięknego dnia zjawiła się u proboszcza Kuskowskiego szykowna panna, mająca na oko 16-17 lat. Ale drzwi przed nią zamknięto – i nie została przyjęta. (Trzeba tu dodać w nawiasie, że i do tego przysłużyła się gosposia.) Wtedy owa panna zaczęła przed plebanią tak krzyczeć, jakby się paliło. Pół miasta zleciało się na ten krzyk. A tymczasem z jej ust popłynęły tak plugawe wyzwiska, że trudno mi je nawet powtórzyć. Najłagodniejsze były: „Ty stary kajdaniarzu! Ty złoczyńco!”. I do tego: „Po coś mnie wydał na świat! Wolałabym być córką opryszka, który ma pod sobą dwunastu zbójców!”. (Okazało się, że to była córka proboszcza.) Proboszcz zakopał się głębiej myszy, a i gosposia z dziećmi gdzieś przepadła. Nikt z plebanii nawet nie wyjrzał. Zjawiła się jednak policja i tę pannę przyaresztowała, ale po wylegitymowaniu – puściła wolno. Miało się już ku wieczorowi. Więc panna poprosiła kościelnego, żeby jej udzielił noclegu. Kościelny nie był straszak i chętnie ją przenocował. Rano kościelny przyszedł do mnie i zapytał, czy chciałbym zobaczyć córkę proboszcza. Z ciekawości poszedłem. Panna czesała właśnie włosy. Była to jasna blondynka, dość rozwinięta i ogładzona – zarówno w języku, jak i w obejściu. Kiedy dowiedziała się, że jestem organistą, poprosiła mnie do drugiego pokoju z rozwianymi włosami i posadziła mnie grzecznie obok siebie. Kiedy usiadłem naprzeciw niej, ona odezwała się w te słowa: „Niech pan dobrze mi się przyjrzy. Czy nie jestem podobna do tego bandyty zza ściany? (A zaraz za ścianą była plebania.) Czy to nie jego obraz? Czy ja się prosiłam na świat?”. Itd. Itd. I zaczęła płakać i zarazem złorzeczyć. Przyznałem, że istotnie była podobna do proboszcza. Zapytała mnie, czy do zakrystii jest jakieś osobne wejście, czy tylko przez kościół. Odpowiedziałem, że – tylko. Kiedy patrzyłem na to dziecko, mimo woli stanęły mi łzy w oczach. Panna pokazała mi parę listów pisanych najwyraźniej ręką proboszcza do jej matki: nie miałem wątpliwości, że to był jego charakter pisma i podpis. Poza tym zauważyłem, że miała podobne przyzwyczajenie co proboszcz: kiedy siedziała nic nie robiąc, ogryzała sobie paznokcie – niemal do krwi.

Panna ubrała się i zaczęła pilnować, kiedy proboszcz będzie szedł do kościoła. Niestety, zagapiła się – i proboszcz wpadł do kościoła jak bomba i trup. Wszedł do zakrystii i zaczął się ubierać do mszy. A trzeba wiedzieć, że w każdej zakrystii jest komoda, w której znajdują się aparaty kościelne i bielizna, służące do ubierania księdza odprawiającego nabożeństwo. Nad taką komodą jest lustro, tak że ksiądz może sam zobaczyć, czy został dobrze ubrany i ewentualnie to i owo poprawić, gdyby mu się nie podobało. Zakrystia była otwarta. A ta panienka tak stanęła w kościele – blisko zakrystii – że była cała widoczna w tym lustrze. Nawet ja, ubierając księdza, ją widziałem. Kilka razy ksiądz na nią spojrzał i głęboko westchnął. Dobrze to było widać, że miał niespokojne sumienie. Pomyślałem sobie: „I po co ci to? Spłodziłeś dziecko, masz odpowiednie środki, daj dziecku i niech sobie jedzie”. Dowiedziałem się później, że córka proboszcza była już wtedy w szóstej klasie gimnazjum – tj. w obecnej dziesiątej klasie licealnej. Prawdopodobnie z chwilą śmierci matki, poprzedniej gospodyni,

proboszcz przestał jej pomagać – i przyjechała, żeby mu się przypomnieć. O tym, że była to jego krew, świadczył m.in. temperament, z jakim wywołała poprzedniego dnia awanturę.

Kiedy proboszcz odprawił mszę – już mu się nie udało wymknąć. Córka zaatakowała go zaraz za furtą. I dała mu tyle – ile jej język dostarczył środków. Czemu nikt nie stanął w obronie proboszcza? Nawet jego druga gosposia – która mu urodziła dwoje dzieci, bo że to były dzieci proboszcza, o tym świadczy ich pozycja na plebanii? Usłyszałem tylko słowa proboszcza: „Daj mi spokój!" – po czym dopadł drzwi, zatrzasnął je i już się tego dnia nie pokazał. Ona wróciła do kościelnego, zjadła śniadanie, a po południu wezwał ją ksiądz Wójcicki, który – jak wspomniałem – bawił na letnisku u siostry. Następnego dnia znikła. Zapewne ksiądz Wójcicki pośredniczył w załatwieniu sprawy, która proboszcza drogo kosztowała. Nie mógł długi czas przyjść do siebie. A wszystkiemu winna była ta ladacznica – gosposia. Dziwię się, że człowiek tak wykształcony jak on – dał się jej tak wodzić za nos.

Dzieci gosposi rosły sobie zdrowo. Córka ukończyła tylko szkołę powszechną. Natomiast syn Mundzio poszedł do gimnazjum. Opowiadał mi nieraz proboszcz – bo był ze mną na dobrej stopie – że dawniej często dostawał od brokowian pisemne anonimy: zostawiane na klamkach drzwi, na ławce w ogrodzie itd. Jeden z nich brzmiał mniej więcej tak: Proboszcz w ciepłe ranki wypuszcza nago swoją Ewę – tj. gosposię – do ogrodu, żeby przez otwarte okna swego pokoju podziwiać jej kształty. Prawdę mówiąc nic aż tak powabnego w niej nie dostrzegłem. Cała figura – to kawał kadłuba lub karpy; twarz przeciętna – ni piękna, ni brzydka; tyle że miała naprawdę piękne ręce i łydki. Musiała być bardzo zmysłowa, skoro tak księdza omotała.

87. Dzieje pewnego duchownego

Dla równowagi opowiem teraz o życiu osobistym księdza wikarego. Wspomniałem już, że miał on już dwoje dzieci, a trzecie było w drodze. Ale – zacznijmy od początku.

Kiedy ksiądz Krakowiak został wyświęcony na księdza, zaczął kwestionować niektóre dogmaty wiary. W efekcie musiał wiać do Ameryki. Był tam – podobno – dwa lata i przystąpił do kościoła narodowego. Ale i tam się na nim poznali – i szybko wyleli. Został więc bez środków do życia, bo nie był zdolny do pracy fizycznej, a do urzędniczej się nie kwapił, więc – rad nie rad – wrócił do kraju. Działo się to jeszcze za cara. Kiedy wrócił do kraju, musiał się ukorzyć i przeprosić biskupa: ucałować stópki, ręce i namaszczony pierścień. Biskup przeprosiny przyjął, ale na razie zostawił go przy sobie – w Płocku. Trzeba trafu, że pewnego dnia przychodzi do biskupa żandarm-Moskal i pyta po rosyjsku: „У вас есть какой-то ксёндз Краковяк?". Biskup odpowiada, że jest. A żandarm na to: „Мы его нашли в комнате борделя". I pokazuje biskupowi dowód osobisty księdza Krakowiaka. Biskup zbaraniał, ale przecież taką wielką hańbę musiał zatuszować. Załatwił sprawę z policją – i księdza wypuszczono. To był pierwszy wyczyn księdza Krakowiaka po powrocie z Ameryki. Biskup oddał go do pewnego energicznego proboszcza, aby z niego zrobił prawdziwego kapłana. Nic z tego nie wyszło: ksiądz Krakowiak narobił mu nowych głupstw i w końcu musiano go osadzić w klasztorze w Oborach. Klasztor ten tym się wyróżniał, że tam osadzano księży za różne przewinienia i suspendie. Po odbyciu kary w Oborach ksiądz Krakowiak został skierowany na wikariusza do Broku. Obaj księża mieli więc te same grzechy na sumieniu – jeżeli to należy nazywać „grzechami". Ksiądz wikary mieszkał ze mną w jednym budynku: ksiądz od frontu, a ja – od tyłu. Ksiądz miał salonik, kuchnię i mały, oszklony ganeczek Ja miałem salonik, przedsalonik, kuchnię i pokoik sypialny. Rozkurczenia do diabła, ale i ten cały budynek do drugiego diabła. Mieszkaliśmy na wzgórzu: nad samym Bugiem: do rzeki było kilkanaście

kroków. Budynek projektował i budował zapewne jeszcze Noe, gdy tworzył swoją elegancką arkę. Dach był kryty gontami. Łataliśmy ten dach z żoną po naszej stronie, jak tylko mogliśmy, żeby nam nie lało na głowy. Natomiast ksiądz wikary ze swą Kasią – i tych dwoje dzieci – siedzieli często w pokoju pod parasolem.

Tymczasem gosposia proboszcza – po opisanych już incydentach – odzyskała wigor i wróciła do swoich intryg. Miała w tym do pomocy panią Okrasinę, której mąż przebywał w Ameryce, oraz swoją ulubioną służącą – pannę Rokicką. Wszystkie trzy zawzięły się na księdza Krakowiaka. W to, co z nim wyrabiały, trudno uwierzyć. Ksiądz wikary miał stół u proboszcza. Więc kiedy wchodził po śniadaniu lub obiedzie od proboszcza, trzy baby otwierały lufcik i plwały na niego. Proboszcz to wszystko widział, a jednak nawet ich za to nie skarcił. Dlaczego? Nie mam na to odpowiedzi. Kiedy ksiądz Krakowiak kiedyś przydybał pannę Rokicką na ganku u proboszcza, tak ją popadł, że mało brakowało, a by ją udusił.

88. Niebezpieczne igraszki

To, co spotkało proboszcza z gosposią u biskupa – spotkało też wikarego i jego ukochaną Kasię. I biskup podobnie zareagował: nakazem, żeby ksiądz wikary od siebie Kasię usunął. Muszę wyznać, że kiedy poznałem tę Kasię, podobała mi się daleko więcej niż gosposia proboszcza. Ale na pochyłe drzewo i kozy skaczą. Więc wikary musiał się do nakazu biskupa zastosować. Wynajął mieszkanie na mieście u Żydów – i tam się biedna Kasia z dziećmi ulokowała. Działo się to jeszcze za okupacji niemieckiej, kiedy grasował tyfus. Biedny księżyna wieczorem przebierał się za kobietę i odziany chustką szedł do swej Kasi i dzieci. A te trzy baby, o których wspomniałem wyżej – szydziły publicznie z niego. Z dwojga dzieci wikarego – chłopczyk zachorował na tyfus i zmarł. Została tylko dziewczynka – mająca może ze cztery lata. A tu nadchodzi czas rozwiązania trzeciego dziecka. Ksiądz wywozi Kasię do szpitala w Radzyminie pod Warszawą, a dziewczynka zostaje w Broku pod opieką żydowską. Niestety, jego Kasia w szpitalu w Radzyminie zaraziła się tyfusem i jeszcze przed rozwiązaniem zmarła. Ksiądz dostał depeszę, pojechał do Radzymina i tam ją pochował. Po powrocie odebrał od Żydów swoją córeczkę i tak żyli oboje jakiś czas.

Trzeba trafu, że panna Rokicka przeprosiła księdza wikarego za wyrządzane mi przykrości – i z tych przeprosin wywiązała się między nimi gorąca miłość. Doszło do tego, że panna Bronisława Rokicka porzuciła służbę u proboszcza, przeszła na gospodynię do wikarego i zaopiekowała się sierotą-dziewczynką. Ksiądz zamiast Kasi miał teraz Broncię. I wtedy zaczął się nowy dramat, bo te dwie kobiety – gospodyni proboszcza i Broncia – które na wikarego razem plwały i były serdecznymi przyjaciółkami, stały się teraz pierwszymi wrogami. Tak się znienawidziły, że sobie skakały do oczu. Ksiądz wikary w ten sposób trochę mógł odsapnąć: miał opiekunkę dziecka, gosposię – no i coś więcej. Muszę przyznać, że Broncia zaopiekowała się córką wikarego jak prawdziwa matka. Ubierała ją pięknie i zabierała na spacery – często naumyślnie koło plebanii.

89. Jak wybić się na samodzielność

Pokój wikarego od mojej kuchni przedzielony był tylko cienkimi drzwiami, które były nieczynne. Słychać więc było wszystko, o czym Broncia z księdzem rozmawiała. Broncia zaczęła wywierać na wikarego coraz większy wpływ. Co się tyczy wykształcenia, to wikary miał większe od proboszcza. Znał dobrze język angielski, niemiecki, francuski i rosyjski. Ale zarazem brakowało mu piątej klepki. A Broncia zaczęła go pouczać, co ma zrobić, żeby dostać

samodzielną parafię. Pewnego dnia lał straszny deszcz. Byliśmy oboje z żoną w domu – podobnie ksiądz wikary ze swą Broncią i córeczką. Rozmawiali o różnych rzeczach – między innymi o przyszłości. (Trzeba dodać w nawiasie, że tę całą rozmowę można było dobrze słyszeć w naszej kuchni.) Broncia odezwała się do wikarego w te słowa: „Bo ksiądz to d... Księdza koledzy dawno już mają parafie, a ksiądz chyba już jej nigdy nie dostanie, bo ksiądz nawet kazania nie umie powiedzieć. Ja – baba – lepiej bym powiedziała". I zaczęła podburzać go, wytykając różne jego wady i niedołęstwo. A była to właśnie sobota – i na niego wypadało właśnie kazanie; bo proboszcz z wikarym kolejowali się w kazaniach: raz ten, drugi ten. Otóż wikary wpadł w szał. Zerwał się spod parasola i krzyknął: „Ja im je ci jego mać i ich mać pokażę, co ja umiem". (Wikary – jak się rozgniewał – miał właśnie zwyczaj mówić: „Je ci jego/ich mać".) „Ja wszystkim pokażę: i biskupowi, i proboszczowi, i parafianom. Jutro moja niedziela. Załóż się Bronka, czy nie będą – nie to płakać, ale ryczeć". Bronka roześmiała się na cały głos. Ale ksiądz wikary już z nią dużo nie rozmawiał, tylko zabrał się do roboty. Najpierw sobie po kolei spisał – co i o czym, i przeciw, i za kim ma mówić. Kiedy to skomponował – wstał i mimo deszczu latał po pokoju i uczył się kazania. Wszystko to można było u nas usłyszeć i zrozumieć. Kiedy się już zmęczył, wypadł na dwór i wpadł prosto na mnie. Oznajmił mi, żebym go jutro dobrze słuchał. Na drugi dzień – tj. w niedzielę – kiedy wszedł na ambonę, a proboszcz po credo usiadł w szatach pontyfikalnych u ołtarza w fotelu, zrobił krzyż, odczytał ewangelię przypadającą na tę niedzielę i o tej ewangelii wypowiedział najpierw wstęp: dogmatycznie, treściwie i płynnie. Kiedy skończył wstęp, podumał chwilkę, spojrzał na zebrany lud, zwrócił się z rękoma wyciągniętymi do ołtarza i ryknął: „Boże! Czy jest sprawiedliwość? A jeżeli jest, czemu nie dla wszystkich? Kiedy się skończy ucisk tego biednego narodu?". Ludzie, który zwykle na jego kazaniach sypiali, drgnęli i obudzili się. A on ciągnie dalej. Przytacza rozmaite fakty i dodaje: „Czas z tym skończyć! Wybije i dla nas, uciskanych narodów godzina!". I wtedy w kościele daje się słyszeć szloch. To go jeszcze bardziej podnieciło, kropnął dłonią w ambonę i krzyknął: „Sprawiedliwość musi zwyciężyć!". Rozległ się ryk. A on ciągnął: „Czemu zwierzchnik tak się znęca nad podwładnym? Czy tylko dla zwierzchnika jest świat? Ludu ubogi! Wy, biedni ludzie uciskani i pokrzywdzeni! Zwierzchnicy są daleko gorsi od was! Ostatnią krew z was wysysają! Ludu! Ocknij się i rozbudź! Wierzę, że się rozbudzisz! Trzeba tym pasibrzuchom wypowiedzieć walkę, bo sprawiedliwość jest po naszej stronie!". Proboszczowi zaczęły latać nerwy wokół ust jak wściekłe, bo wyczuwał, że część tego, co mówił wikary, było pod jego adresem. Przy obiedzie proboszcz z wikarym nie zamienił ani jednego słowa. Sama Bronka zwróciła mu uwagę, że jak na początek, to może było za ostro. Ale swoją drogą pochwaliła wikarego. A on na to: „Ja jeci ich mać jeszcze nie to pokażę!". Tak potrwało jakiś czas, aż w końcu napisał prośbę do biskupa, żeby mu dał parafię. Biskup odpowiedział: „Jeszcze poczekaj. Namyślę się i ci ostatecznie odpowiem za jakiś czas". Ale kiedy czekanie przeciągało się, wikary napisał drugą prośbę do biskupa. Brzmiała ona mniej więcej tak: „Proszę Waszej Ekscelencji! Był czas, kiedy byłem klerykiem w seminarium. Wtedy trzeba było sprawdzić, czy godzien jestem włożyć na siebie szatę kapłańską, czy – nie. Tymczasem ukończyłem seminarium z takim wynikiem, że ks. biskup mnie wyświęcił. Ośmielam się zauważyć, że są daleko gorsi ode mnie kapłani, którzy zajmują stanowiska, których nie są godni. Jeżeli mam wady jako człowiek, pytam, kto ich nie ma? Dlatego jeżeli w ciągu miesiąca nie otrzymam parafii, to Wasza Ekscelencja, która włożyła na mnie szaty kapłańskie, może je także zdjąć. A jeśli Wasza Ekscelencja tego nie zrobi, zrobię to sam. Proszę się nade mną dłużej nie znęcać". I tu nastąpił podpis wikarego. Tym razem odpowiedź nadeszła w ciągu dwóch tygodni i ksiądz Krakowiak dostał aż dwie parafie od razu.

Dlaczego dwie? Bo jedną parafię dostał samodzielną, a do drugiej miał dojeżdżać, bo nie miała na razie własnego proboszcza

90. Smutne zakończenie

W nowej parafii ksiądz Krakowiak miał śmieszny wypadek – wart tego, aby go opisać. Kiedy zagospodarował się już tam z Broncią, pewnego dnia ludzie przyszli opłacić pogrzeb. A że według ich mniemania ksiądz zażądał za drogo, udali się do miejscowego organisty, żeby spisać akt zejścia i zaczęli się użalać na księdza, że żąda od nich tak dużo. A organista im na to: „Nie przejmujcie się tym! Ja już jestem parę lat organistą i znam wszystkie obrzędy na pamięć. Więc wam ciało odprowadzę na cmentarz i obsłużę za księdza i za siebie. Was będzie mniej kosztować, a będzie to samo. Ludzie podumali – i w końcu się zgodzili. W tym czasie ksiądz Krakowiak był w sąsiedniej parafii i kiedy powrócił, było już po wszystkim. Organista za ten wyczyn został usunięty.

Bronka Rokicka długo nie cieszyła się swoim księdzem na nowej parafii. Zmarł po paru latach na paraliż. Według orzeczenia lekarskiego miał za krótką szyję. Jak mówił – dźwięki z trudnością wydobywały się z krtani. Broncia została więc osierocona. Tyle zdążyła jednak sobie uciułać grosza, a że ubierała się elegancko – wyszła za mąż. Córką księdza, jak mi się wydaje, opiekowała się nadal.

91. Braciszek

Mój braciszek powrócił z wojska. Matka wszystkie dolary, które otrzymała od córki z Ameryki, trzymała pod piersią dla kochanego syna: kochanego, bo był do niej podobny, bo miał czarne oczy, bo – jak Mamusia o nim sądziła – ma spryt do handlu. A ode mnie oczekiwała tego, czego nie byłem jej w stanie dać, mając taką drobnicę. Z tego powodu między Matką a synową powstawały nieporozumienia, a nawet coś więcej. Kiedy więc brat Janek powrócił z wojska, zaproponowałem mu, żeby złożył podanie w Białymstoku o przyjęcie go do policji. Podanie złożył. Przyszła odpowiedź, żeby stawił się z dokumentem wojskowym i świadectwem o kwalifikacjach, a zostanie przyjęty do Komendy Policji w Białymstoku; podobało im się jego podanie i pismo. Żona dała mu ostatnie 36 milionów (w tym czasie był ogromny spadek wartości pieniądza i walutę liczono na miliony). Mój braciszek wziął forsę i pojechał. Nie było go całe dwa tygodnie. Pieniądze z dziwkami przehulał, a kiedy wrócił, to mi jeszcze zrobił awanturę: porozbijał szafę i łóżko. Musiałem wzywać miejscową policję, bo nie mogłem mu dać rady. Nie wiem, czy był w Białymstoku. Myślę jednak, że nawet, gdyby tam był, to jego dokument wojskowy by go skompromitował, bo stało tam jak wół, że prawie całą służbę przeleżał w pace; nic by mu i piękne pismo nie pomogło. Chciałem go w końcu gdzieś dobrze ożenić, ale mi się to nie udało. Matka oddała mu ostatnie 15 dolarów, które miała, a on wszystko przepuścił. Mimo to zamiast zganić jego postępowanie – stawała zawsze po jego stronie. I tak się tłukł i wałęsał przez jakiś czas, aż Matka zaniemogła i położyła się do łóżka. Pewnego wieczoru, kiedy zjawił się u nas, przywołała go do siebie i całą noc rozmawiali, mimo że Matka była bardzo osłabiona. A brat na pewno to, co do niego mówiła, jednym uchem słuchał, a drugim wypuszczał – bo to chamidło było: było, jest i będzie. Kiedy się rozstali, żona zauważyła, że Matka jakoś bardzo ciężko oddycha. Zerwałem się, podchodzę do matki, a ona zapytała tylko: „Co?” – i zmarła. Pobiegłem po lekarza, ale ten orzekł zgon. Po pogrzebie powiedziałem bratu: „Koniec. U mnie miejsca dla ciebie nie ma”. Przecież on nawet żonie wiadra wody nie przyniósł.

Opuścił więc mój dom i wywędrował do siostry Celki. Jak tam było, to też dało się słyszeć. Siostra Celka mieszkała w Strachocinie koło Szelkowa – pod Pułtuskiem. Jak wiadomo, kiedy się Polska zawiązała, bardzo brakowało nauczycieli. Więc mój braciszek spróbował nauczycielskiego chleba: uczył dzieci na wsi. Baby mu znosiły masło, jaja itp. Było mu przez pierwsze dwa lata lepiej niż mnie na posadzie organisty. Chłopak był młody, dość urodziwy, więc ludzie myśleli, że także wykształcony. Ale w końcu ludzie się poznali na jego moralności i szkoła się skończyła.

92. Pełnia życia

Brat Janek miał jednak jakieś wyjątkowe szczęście, bo zawsze znajdował głupich, na których robił interes. W ten sposób trafił kiedyś na pewnego obywatela ziemskiego, który sprzedał gospodarkę w Broku i przeniósł się w okolice, gdzie brat uczył dzieci. Ów obywatel miał żonę, dwóch synów i dwie córki na wydaniu. Uważał on, że skoro Janek u mnie się wychowywał, to umie wszystko to, co ja – w szczególności, że zna fach organisty. I na tej podstawie brat im bakę świecił. Otóż mój braciszek przebywał u nich ze dwa lata – żyjąc z matką i córkami. Bo mój braciszek nie gardził żadną płcią żeńską. Jak to tolerował ojciec rodziny i jego dwaj synowie? Boć on tam przecież kompletnie nic nie robił, a do stołu siadał razem. W końcu jednak cała sielanka się skończyła. Ale mój braciszek natychmiast znalazł sobie w tej samej parafii wdowę z dorosłą córką i u nich postanowił się zatrzymać, obiecując, że się ożeni z matką. Wdowę nazywano „Amerykanką", bo rzekomo miała 400 dolarów. Była jeszcze młoda i z pretensjami. I przez długi czas ta głupia baba go żywiła. Doszło do tego, że w końcu dali na zapowiedzi i miał nastąpić ślub. „Amerykanka" sprawiła mu elegancki garnitur i wszystko przygotowała do tego ślubu. W wigilię ślubu brat swojej narzeczonej oznajmił, że się uda w swoje strony, żeby zaprosić na ślub trochę druhów i znajomych – i że w sam dzień ślubu stawi się w komplecie. Następnego dnia zajechał braciszek do swej narzeczonej taksówką z drużbą, prosi ją na stronę i mówi: „Moja droga! Zaraz będzie nasz ślub! Daj mi więc te swoje 400 dolarów!" A ona na to: „Ja te dolary mam po ludziach. Skąd ci je na poczekaniu wezmę?". A brat: „Toś ty myślała, że ja jestem taki głupi, jak ty?". A ona: „Człowieku! Zastanów się! Teraz mi o tym wszystkim mówisz?". A brat na to: „No to do widzenia!", Podbiegł do taksówki, wyjął kilka butelek wódki, przyniósł do mieszkania, gdzie byli zgromadzeni goście weselni, i powiedział: „To jest moja wódka. Pijcie za zdrowie moje i wszystkich tu obecnych". Wyszedł, wsiadł do taksówki i odjechał. Naiwność tej wdowy jest zdumiewająca. Czy mieszkając z nim rok czy więcej, nie widziała, że jest to patentowany leń, który na dodatek niczego nie umie?

93. Mąż i żona

A mój braciszek oparł się aż pod Grudziądzem, gdzie był 15 lat. Tam zrobił jeszcze jedno głupstwo, tak że miał sprawę o alimenta. Ale ją wygrał. Aż poznał obecną żonę – i tu wsiąkł. Kiedy braciszek Bronię poślubił, rodzice jej wydzielili im z parceli 40 mórg ziemi w jednym kawałku – tuż w pobliżu domu. Dom, w którym zamieszkali był nieszczególny, ale ostatecznie możliwy. Całym tym nowym gospodarstwem zajęli się teściowie i jego rozkwitająca żona. Dzieci zaczęły się sypać co rok. A braciszek pędził samogon i zawarł znajomość z całą sąsiedzką śmietanką: wójtami, ławnikami, sekretarzami i pisarzami, a czasem i grubszymi rybami. Mieli aż trzy eleganckie konie – sam je widziałem – cztery krowy, świnie, gęsi, kaczki, kury, króliki, psy różnego gatunku i wielkości, a nawet i gołębie. Mieli nawet poniemieckie krzyżowe pianino.

A brat nadal uprawiał miłość. Kochał płeć żeńską wszelakiego typu i bez różnicy wieku: od lat dwunastu poczynając, a kończąc na sześćdziesięciu i więcej. Nie grała roli uroda, byle było co kochać i zawsze kochać. Kochać w rozmaitych pozach i odcieniach. W rozmaitych miejscach, gdzie się nadarzyła sposobność: na drabinie, w stodole, w chlewie, w polu, w lesie...

Poza tym było jeszcze pijaństwo. Żona brata początkowo z tym walczyła, ale kiedy nie odnosiło to skutku, zaczęła na równi z mężem pić – a nawet go w tym prześcignęła. Wszystko, co otrzymali od siostry z Ameryki, przepili lub przejedli, a później sami nie mieli się w co liznąć. Na dodatek oboje byli nieuczciwi. Pewnego razu – po 15 latach – odwiedzili mnie w Strzelcach Krajeńskich. Moja córka podarowała im dwa wielkie wory rozmaitych poniemieckich łachów. Poza tym dałem jej dziesięć dolarów, żeby sobie je dobrze sprzedali – i potem mi zwrócili. Odebrałem je nad studnią.

Po paru latach umarła teściowa brata. Do pracy na parceli został sam teść ze swą córką. Niedługo potem brat sprzedał parcelę i wyprowadził się do żony siostry. Tam zaczęli prowadzić jakiś sklep. Po roku wszystko diabli wzięli: konie, krowy, cały żywy i martwy inwentarz – razem z gospodarką – przepili i zmarnowali. W końcu sprowadzili się do Strzelc Krajeńskich. Kiedy dowiedziałem się, że się sprowadzają – febra mną zatrzęsła. Ale cóż mogłem poradzić? Tu, w Strzelcach Krajeńskich, zanim się na nim poznali – dali mu pracę biurową. Znaleziono jednak wódkę w biurku i długo się nie cieszył posadą kancelisty. Stopniowo spadał coraz niżej: sprzedawał szmaty, szkło, złom itd. W końcu został zwykłym stróżem – to węgla, to zboża itp. Dzieci wychował marnie: prawie żadne z nich nie ukończyło dobrze siedmiu klas szkoły podstawowej. Dziś braciszek z braku wódki pije denaturat. Czym to się skończy – nie wiem. Ale zadaję sobie pytanie, jak to się stało, że ten człowiek nigdy nie dostał się pod klucz. O! Bez tego się nie obyło. Był w więzieniu nie jeden raz, ale z tytułu pijaństwa, razem z kolegami i kończyło się to ostatecznie na krótkoterminowych karach. A zawsze broniła go liczna rodzina, z którą urzędy poniekąd musiały się liczyć.

Braciszek Janek jest typem szlachetnego łobuza. Nie jest złodziejem; ilekroć pracował w jakiejś państwowej instytucji, nigdy nic nie ukradł i zawsze się ze wszystkiego rozliczył. Ale nabrać kogoś, pożyczyć na wieczne nieoddanie – lubił. Czy to nie to samo, co złodziejstwo? I tak, i nie. Na pożyczki można spojrzeć od strony tego, od którego się pożycza: Nie znasz człowieka, nie pożyczaj mu. Sprzedajesz mu coś – pilnuj się. Jest to więc sprawa raczej nadużycia zaufania niż kradzieży. Ciekawe, że Janek zetknął się w życiu z różnymi ludźmi: szlachetnymi i mniej szlachetnymi, a jednak pozostał tym, kim był: chamem. A swoją drogą użył życia po uszy. Napił się po uszy. Pokochał się po uszy: bo co do kochania nawet kuzynce nie przepuścił.

Na tym kończy się historia mego brata Janka. Cofam się kilkanaście lat wstecz – do Broku.

94. Początek choroby

Pewnego dnia – wiosną – zacząłem kasłać krwią. Przy śpiewie i pracy z chórem dostałem rozdęcia płuc; musiałem więc poleżeć dłuższy czas w łóżku. Jedną z przyczyn mego stanu było na pewno Goworowo: to, że nauczyłem się tam pić i popsułem tym sobie zdrowie; jedyne co zawdzięczam alkoholowi dobrego, to chyba to, że po kilkudniowej hiszpance ominął mnie tyfus. A przy krwotokach nie wolno pić wódki, bo wtedy płuca się rozgrzewają i może być większe krwawienie. Po jakimś czasie krwotoki ustały. Ale odtąd już każdej wiosny pokazywała mi się krew, tyle że – na krótko.

95. Zwrot ku lepszemu

Pewnego dnia proboszcz Kuskowski oznajmił mi, że opuszcza Brok i przenosi się w Ciechanowskie – bliżej swoich stron rodzinnych. I tak się stało. Na jego miejsce przyszedł ksiądz Ciesielski. Czy za nowego proboszcza poprawił się mój byt? Odpowiem pytaniem: Czy byt organisty kiedykolwiek się poprawi?

Ksiądz Ciesielski też był babiarzem. I u niego rządziła gospodyni, tyle że rzetelnie pracowała dla swego chlebodawcy razem ze służbą, która musiała grać tak, jak gosposia nakręciła. Podobnie musieli się jej podporządkować organista i kościelny. Między księdzem Ciesielskim i gosposią panowała pełna harmonia i we wszystkich sprawach się ze sobą na ogół zgadzali. Poza tym i proboszcz też był pracowity. Po księdzu Kuskowskim to był zwrot i to – trzeba przyznać – ku lepszemu. Gosposia nie chodziła na plotki, tylko pracowała i dla swego chlebodawcy, i dla siebie; często się komunikowała. Ksiądz Ciesielski zrobił kiedyś spowiedź generalną – tak że wszyscy, którzy kiedyś zupełnie do spowiedzi nie chodzili, teraz musieli. Sprowadził paru księży i zapowiedział im, by największemu grzesznikowi nie odmówili rozgrzeszenia. Nawet pan aptekarz Czereński, który był niewierzący, też w tej spowiedzi uczestniczył. Zaraz po przyjeździe wynajął dla mnie i dla księdza wikarego mieszkanie na mieście, a stary budynek, w którym mieszkaliśmy, kazał rozwalić i w rok pobudował nowy – trzeba przyznać: elegancki. Było w nim mieszkanie i dla wikarego, i dla organisty, i dla kościelnego. Wszyscy byliśmy zadowoleni. Uporządkował też otoczenie kościoła. Księdza Krakowiaka już nie było, więc i wikary nastał nowy. Ujął sobie tym tak ludzi, że wszyscy brokowiacy wyrażali się o nim z szacunkiem i nikt nie ośmielał się wtrącać w sprawy proboszcza swoich trzech groszy. Za obrzędy religijne biedniejszym opuszczał, a obsługa była taka sama, jak w wypadku bogatszych, od których ciągnął, ile się dało, ale zawsze przy tej okazji coś nowego sprawił dla kościoła.

Mnie rzekomo polubił – i gdyby nie głuchota, która już wówczas mnie zagrażała, pewnie by mnie ze sobą zabrał do Ostrowi.

96. Cienie

Po 15 latach pobytu w Broku doszło do konfliktu między mną a śpiewakami. Zaproponowali oni, żebym zamienił się posadą z organistą, z sąsiedniej parafii w Jasienicy. Rzecz w tym, że tamten organista zgodził się prowadzić w Broku nie tylko chór, ale i orkiestrę strażacką. Powiedziałem im, żeby sprawę załatwili z proboszczem: jeśli on się zgodzi, to i ja będę się musiał zgodzić. Brokowiacy wydelegowali do rozmowy z proboszczem pana Rowińskiego, naczelnika straży ogniowej. Kiedy przedstawił proboszczowi sprawę, ten odpowiedział: „Wasza straż jest potrzebna i bardzo ją popieram, ale organista nie jest dla was, tylko dla mnie i kościoła. Jeżeli chcecie mieć orkiestrę strażacką, to sprowadźcie sobie kapelmistrza i niech on ją wam poprowadzi. Do organisty nie macie prawa się wtrącać". W ten sposób do zamiany nie doszło, ale ja straciłem serce do Broku i powiedziałem sobie, że jak tylko nadarzy się okazja – wyjadę stąd.

Ksiądz w Czarni czekał na mnie trzy lata: liczył, że wrócę. Nawet dawał ogłoszenia i szukał mnie po Polsce. Jak on był niemądry! Przecież ja żadnej posady bym nie rzucił dla Czarni!

Pewnego roku pojechaliśmy tam z żoną i oddałem mu sto rubli długu. Zabraliśmy też niektóre nasze meble, pozostałe po wojnie – i przywieźliśmy je do Broku.

Córka Irenka po roku przechodziła powtórnie tyfus. Tym razem był to dur brzuszny – przeleżała sześć tygodni, ale jakoś przezwyciężyła chorobę. Lekarze twierdzili, że coś takiego zdarza się raz na tysiąc przypadków.

Tymczasem Antolek i Miecio zaczęli chodzić do szkoły. Na naukę szło wszystko, co się złapało z dochodów.

A ksiądz Ciesielski wykrył w Broku niezwykłą tajemnicę. Otóż była tam pewna obywatelka, której nazwiska zapomniałem. Była to już starsza matrona, wdowa, z pochodzenia Niemka, dość inteligentna, przyzwoita moralnie i zamożna (była i w Ameryce): miała ładny dom, a nad Bugiem – piękny ogród owocowy; a poza tym miała piękną biżuterię – bransolety, naszyjniki i złote zegarki, wspaniałą pościel, kosztowne umeblowanie. Kiedy wychodziła za mąż, przeszła z protestantyzmu na katolicyzm. Ale do kościoła katolickiego nie chodziła i praktyk religijnych nie wykonywała. Dzieci nie miała.

97. Obłuda

Sąsiadami tej staruszki byli Hornowscy. Hornowski było urzędnikiem do spraw wodnych – chyba dziesiętnikiem komunikacji na rzece Bugu. To była dobra posada. Miał żonę i dwie przekwitnięte córki. Obie miały mężów – dosyć wykształconych i na wysokich stanowiskach. Żadna jednak z nich stale z mężem nie żyła; ich związki były jakieś prowizoryczne i zagadkowe. Starsza z córek miała nawet syna, ale podobno było to adoptowane dziecko ich służącej. Była to istna karykatura; chodził zresztą do szkoły razem z moimi synami. Młodsza córka Hornowskich była postawną damą. Pierwszym jej mężem był Brochocki, który był bliskim kuzynem księdza biskupa w Płocku. Ale żyła z nim w separacji. Czasem ów pan Brochocki zjawiał się w Broku: wówczas pani Brochocka wybiegała naprzeciw męża, rzucała mu się na szyję i całowała namiętnie. Ale mąż był zimny jak lód, bo go żona zdradzała z kierownikiem miejscowej szkoły – panem Klimkiem. Ostatecznie – nie mogąc dostać rozwodu – pani Brochocka przeszła na protestantyzm i zawarła ślub z panem Klimkiem w kirsze; po ślubie osiedli oboje w Łucku. Trzeba trafu, że pan Brochocki w Płocku umiera. Pani Brochocka-Klimkowa przyjechała do Płocka, wyjęła supulturę śmierci męża, ponowne przeszła na katolicyzm i zawarła z panem Klimkiem ślub katolicki w Broku. Przy tym ślubie było tylko dwóch świadków: ja i kościelny. Raz na rok lub dwa zjawiał się też w Broku u swej żony pan Topczewski. Wtedy i ona wybiegała do męża, rzucała się mu na szyję – i całowali się namiętnie, udając wielką miłość. Trzeba przyznać, że obie te damy były dość przystojne i sympatyczne – ale jałowe. Nosiły się wysoko, ubierały bogato i stół prowadziły wspaniały. Skąd brały na o środki? Prawdopodobnie pracował na nich stary Hornowski, choć był u nich tylko popychadłem.

98. Dzieje pewnej Niemki

Wróćmy jednak do naszej wdowy – Niemki. Otóż przyjaźniła się ona bardzo z obydwiema paniami Hornowskimi. Początkowo trzymała się dobrze i nigdy nie chorowała. Miała służącą i żyła sobie po pańsku. Ale przyszedł czas, że w końcu i ona zaniemogła. A wtedy panie Hornowskie roztoczyły nad nią troskliwą opiekę. A przy okazji zaczęły sobie przywłaszczać zegarki, bransolety, naszyjniki, dywany, futra. Dowiedział się o tym proboszcz. Zawołał mnie i pyta, czy coś wiem o staruszce. Niewiele wiedziałem. Więc proboszcz kazał mi przewrócić do góry dnem nasze archiwum. Zrobiłem to i – o dziwo! – znalazłem jej akt, z którego wynikało, że pochodzi z Berlina i że wychodząc za mąż za brokowiaka, przeszła na katolicyzm.

Proboszcz, kiedy mu przeczytałem ten akt, aż klasnął w dłonie i wykrzyknął: „No to będzie nasza!”. I na drugi dzień zabrał się do dzieła. Ubrał się w komżę i stułę, jak do chorego, i zabrał ze sobą akt zmiany wyznania. Nie poszło mu gładko. Niemka z początku nie chciała się przyznać do zmiany wiary. Ale i proboszcz nie dał za wygraną. Najpierw doprowadził do tego, że Niemka się wyspowiadała, a potem – że przyjęła komunię św. A potem przystąpił do działania. W efekcie – wszystkie kosztowności, które miała, nie wyłączając tych, które miały u siebie panie Hornowskie, zlegowała na kościół, tak że te damy musiały je odnieść. Na razie wszystko zostało spisane i pozostawało u chorej Niemki. Po wizycie księdza chorej polepszyło się i wstała z łóżka. Teraz troskliwą opieką otoczyła ją gosposia proboszcza. Ale Niemka już długo nie chodziła. Wkrótce położyła się z powrotem do łóżka i już z niego nie wstała. Przy zgonie – wszystkie kosztowności zlegowała powtórnie na kościół i ciepłą jeszcze ręką wręczyła proboszczowi. Ile tego było – wie tylko ona i proboszcz. Pogrzeb i związane z nim koszta pokrył proboszcz. Ja dostałem 50 złotych polskich, a kościelny – 25. Te kosztowności proboszcz rzekomo spieniężył. Gosposia otrzymała futro fokowe; ale chyba na tym futrze się nie skończyło. Za uzyskane pieniądze proboszcz sprawił do kościoła przed wielki ołtarz piękny dywan i coś tam więcej jeszcze. Co się stało z posesją zmarłej Niemki – nie wiem. Wiem tylko że w jej domu była po jej śmierci poczta.

A ksiądz Ciesielski jako działacz społeczno-katolicki awansował na dziekana w Ostrowi; zaraz potem biskup nadał mu tytuł doktora teologii i kanonika. Początkowo ksiądz Ciesielski chciał mnie zabrać z Broku do Ostrowi; ale tam był zasiedziały stary organista Bogacki, więc bał się robić piekło. Musiałem więc pozostać w Broku.

99. Podłość

Stosunek księdza Ciesielskiego – jako zwierzchnika – wobec organisty był możliwy; za dużo był przy nim organista skrępowany. Po nim proboszczem w Broku został ksiądz Bolesław Mieszkowski. Ksiądz Mieszkowski był kiepskim kapłanem, a jako człowiek – był anormalny. Wszystko odprawiał prędko – na pytel. W kościele myślał nie o nabożeństwie, tylko o tym, czy do niego ktoś przyjechał, lub o tym, do kogo by tu pojechać z wizytą. Organiście nie zwracał nigdy uwagi – ale dlatego, że w ogóle nie słuchał, co organista gra. Po skończonym nabożeństwie mógł organista robić, co mu się podobało. Miał tylko jedną wadę, że kiedy wpadł w szał, to potrafił nawet przy nabożeństwie człowiekowi naubliżać i zmieszać go z błotem. Przepraszał co prawda potem, ale diabli z tego, jak człowiek poniósł tyle niesłusznego wstydu przy ludziach. Gosposię miał prawdziwą dewotkę, która się co niedziela komunikowała, ale oddać mu się nie chciała. Toteż ją znienawidził. Ale musiał ją trzymać, bo znała się świetnie na kuchni. Znalazł sobie jednak dziewczynę – Marysię Rowińską – i oboje sobie gruchali; spacerował z nią nawet publicznie.

Pewnego razu przyjechały do nas z Myszyńca dwie siostry żony: Franeczka i Kostusia. Zrobiłem więc mały wieczorek. A żeby było efektowniej – zaprosiłem dwóch obywateli z Broku z żonami. Za jakieś dwa tygodnie mój proboszcz urządził generalny bal; zaprosił na niego wszystkich moich śpiewaków, ale mnie – nie. Wszystko mi później wyjaśniła gosposia w sekrecie. Otóż zrobił to naumyślnie, żeby się odwzajemnić za to, że nie zaprosiłem go na wieczorek z okazji pobytu szwagierek. A ja na to: „Gdybym wiedział, że proboszcz taki jest łakomy na zabawy, na pewno bym go zaprosił. Ale gdyby mi odmówił, byłoby mi bardzo przykro”. Gosposia na to: „On przecież głównie żyje zabawami”.

Tego, co się stało, cofnąć już nie było można. Ale w duszy księdza Mieszkowskiego znienawidziłem – za to, że ośmieszył mnie przed śpiewakami. To była podłość!

100. Zniewagi

Pewnego dnia kościelny wyjechał z gosposią do Ostrowi. W takich razach, jeśli się coś trafi, musi kościelnego zastąpić organista. Otóż przyjechał chłop ze wsi po księdza do chorego. Przygotowałem wszystko, co jest potrzebne w takich wypadkach. Ksiądz zabrał ze sobą Przenajświętszy Sakrament, a ja wziąłem do jednej ręki gorejącą świecę, a do drugiej – dzwonek, którym się daje znać wiernym, że ksiądz jedzie do chorego, żeby oddali cześć Bogu. Chłop, trzymając w jednej ręce zdjętą czapkę, a w drugiej lejce, zagapił się, i kiedy ksiądz wszedł na furę konie raptownie drgnęły i ksiądz upadł w tył fury. Wtedy plunął w ręce, chłopa w mordę i mówi: „Jak ty mnie cholero wieziesz?". A przecież księdzu, gdy trzyma w ręku Przenajświętszy Sakrament, nie można mówić – a tym bardziej przeklinać! Jak można taką cholerę wyświęcić na kapłana? Po powrocie chodzimy sobie z księdzem spacerkiem wokół kościoła. Zeszło na ten wypadek i mówię: „Niech ksiądz proboszcz następnym razem uważa, bo może trafić na takiego chłopa, że może księdzu oddać, albo i coś więcej...". A ksiądz na to: „Taką cholerę, który by się na mnie targnęła, to bym chyba zabił". Więcej na ten temat już z proboszczem nie dysputowałem.

Innego dnia przyjechało aż trzy śluby: dwa biedne i jeden bogaty. Bogaty ślub odbył się pierwszy, a dwa pozostałe – po nim. Na pierwszym pozapalano światło na wszystkich ołtarzach i żyrandolach, które były w kościele. Po zakończeniu ceremonii ksiądz odszedł od ołtarza i skierował się do zakrystii, a ja zszedłem z chóru. Wtedy kościelny pobiegł do zakrystii i mówi proboszczowi, że są jeszcze dwa śluby, które czekają pod chórem. A proboszcz na to: „Wiem, durniu, że są jeszcze dwa śluby. Ja tymczasem pójdę na plebanię, a ty pogaś światła. A kiedy już pogasisz, daj mi znać – to przyjdę i dam im ślub". Zadawałem sobie pytanie, czy przez te kilka minut biedne śluby nie mogły się w tym świetle okrasić. Przecież więcej było szkody przy gaszeniu tych świateł niż by się spaliło w czasie dania ślubów. Kościelny, znając proboszcza, uwijał się, żeby jak najprędzej z wygaszaniem świec, bo nie chciał się narazić na awanturę za opieszałość. A uwijając się – tę świecę przewrócił, inną złamał, a na bocznym ołtarzu przewrócił sztuczny kwiat z papieru, który się zapalił i przy gaszeniu poplamił obrus na ołtarzu, a na dodatek nakapało na ten obrus wosku ze świecy. Jak się z tym wszystkim uporał, w kościele było pełno dymu – jak w kuźni lub smolarni. Kiedy więc ksiądz wszedł do kościoła – zbuchał najpierw kościelnego, a potem i mnie – że go nie przypilnowałem. W końcu mówi: „Zapal sześć świec na ołtarzu, to dam im ślub". Idąc na chór, usłyszałem jak kościelny powiedział przez zęby: „Poczekaj, sk...! Przyjdzie na was czas!". I przyszedł.

To są wypadki, które nie powinny mieć miejsca w kościele katolickim: dzielenie obrzędów na klasy – to ludzi gorszyło i usposabiało źle do wiary. Przecież w wypadku opisanych ślubów drużbowie na pewno by położyli na tacę swoje groszaki – i za wypalone światło by się zwróciło. I byłby i wilk syty, i owca cała.

101. Koniec

Dodam, że ksiądz pochodził z zagadkowej rodziny. Opowiadała mi w zaufaniu jego gosposia, która go już dawniej znała, że jego dwóch rodzonych braci zniknęło bez wieści z powierzchni ziemi. Sieroty – czy półsieroty – po nich przyjeżdżały często do proboszcza, a każde z tych dzieci było inaczej traktowane przez stryja-księdza. Gosposia miała obawy, że i proboszczowi

grozi ten sam los, zwłaszcza że ksiądz Mieszkowski zdradzał chorobę serca, a mimo to stale się bawił i dużo pił. Aż kiedyś wrócił po odpuście w sąsiedniej parafii Poręba wrócił dość późno, położył się spać – i już więcej nie wstał. Rano zastano zimnego trupa. Tak skończył piąty mój zwierzchnik w mojej karierze organistowskiej.

Zanim przejdę do opisu mego pobytu w Brańszczyku, opiszę jeszcze kilka tragedii, który miały miejsce w Broku za mojej bytności.

102. Podpułkownik i narzeczona

Kiedy Polska oswobodziła się w 1918 roku, brak było początkowo fachowców od wojska. Kto miał jakie-takie wykształcenie, a był zdolny i pilny, w krótkim czasie awansował na oficera i piął się dalej. W Broku w szkole podstawowej był nauczycielem niejaki Franciszek Jachna: młody i dość przystojny facet. Zabrano go do wojska, gdzie po jakimś czasie został podpułkownikiem. Właśnie wtedy poznał panienkę, do której zapałał gorącą miłością. Panienka zaszła w ciążę. Pan Jachna mieszkał w koszarach, a owa panienka – już jako narzeczona – przychodziła do niego tak często, że po pewnym czasie wpuszczano ją tam bez legitymowania, bo wszyscy żołnierze ją znali. Tymczasem Franuś z podpułkownika awansował na pułkownika. A pan pułkownik zaczął zaniedbywać swoją narzeczoną, aż wreszcie dał jej do zrozumienia, że nie zostanie panią pułkownikową. Wtedy ta wzięła broń, poszła do koszar, stanęła przed narzeczonym, zamieniła z nim kilka słów, wyjęła rewolwer i kropnęła go prosto w łeb, a drugą kulę wpakowała sobie. Narzeczony został raniony śmiertelnie, a ona się tylko postrzeliła – i po krótkim pobycie w szpitalu wyzdrowiała. Dostała tylko rok więzienia.

103. Bezbożnik

W Broku mieszkał niejaki Mariański, już po wojsku; miał może ze 25 lat. Otóż zakochał się on z wzajemnością w Andzi Ździarskiej, córce miejscowego chałupnika – szewca, mojej chórzystce. Andzia była gotowa zostać jego żoną, ale pod warunkiem, że zawrze ślub w kościele; niestety jej wybranek był niedowiarkiem – w nic nie wierzył i do kościoła, i spowiedzi nie chodził. „Ja cię kocham i bez ślubów" – mówił. Po roku postawił sprawę ostrzej: jeśli nie odda się mu bez ślubu, to ją i siebie zabije. Usłyszawszy taką pogróżkę, Andzia zaczęła się ukrywać. Pan Mariański jednak w końcu ją dopadł pewnego wieczora, kiedy szła do domu, i wpakował w nią dwie kule: jedną w płuca, drugą w brzuch. Nie doszła już do domu: na podwórku zmarła. Kiedy morderca przekonał się, że Andzia już nie żyje, pobiegł z pół kilometra w kierunku lasu – i tam wpakował sobie ostatnią kulę w serce; kiedy go znaleziono – miał język wywieszony do pół piersi: znak, że dobrze wycelował. O jego pogróżkach wiedziała policja, ale bano się go, bo był bardzo silnym mężczyzną. W Broku miał matkę i młodszego brata – ale zjawiał się u nich tylko na noc. Widywano go często, jak łowił ryby. Był to człowiek zepsuty. Bywają ludzie niewierzący – lepsi od wierzących. Ale on był i człowiekiem niewierzącym, i człowiekiem złym. I tym, i tym. A ostatecznie – niczym. Wierzył tylko w swoją siłę.

104. Brat i siostra

Po rewolucji w Rosji do Polski wróciło wiele wdów i sierot po zamordowanych mężach i żonach. Do Broku – swego rodzinnego gniazda – wróciła wdowa po Rosjaninie-żandarmie Łobrowie, którego zakołatali bolszewicy. Miała w Broku jedną nędzną izbinę, a wróciła z czworgiem dzieci: trzema synami i jedną córką. Najstarszym był Mikołaj: mógł mieć ze 20 lat. Córka miała na imię – Liza: była pięknym 14-letnim podlotkiem. Otóż Mikołaj zapałał do

rodzonej siostry miłością. I nalegał, żeby się mu oddała. Kiedy ta odmówiła, zabił ją taboretem we własnym mieszkaniu. Widziałem ranę w jej głowie, bo ją z księdzem eksportowałem. Mikołaj ulotnił się w nieznanym kierunku: ani policja, ani ludzie nie natrafili na żadne ślady. Cóż to był za potwór z tego człowieka? Jak miał sumienie w ten sposób zamordować własną siostrę?

Może z pół kilometra od Broku i tyle samo od rzeki Bug, na piaskach koło lasu, stał budynek, w którym mieścił się pensjonat dla najbiedniejszych dzieci – przeważnie chłopców. Były w nim pokoje sypialne dla dzieci i kuchnia – oraz pokoje dla przełożonych i personelu nadzorczego. Specjalna komisja wydzieliła w Bugu część, w której można się było kąpać i opatrzyła ją barierkami z odpowiednimi napisami. Pewnego dnia dzieciarnia z pensjonatu zażywała właśnie kąpieli pod okiem nauczycielki. Ale chłopcy, nie bacząc na napisy i ostrzeżenia nauczycielki przekroczyli barierki. Utonęło wtedy czternastu chłopców; o mało też nie utonęła i nauczycielka, bo chciała ich ratować – niestety bez skutku. Ciała trzynastu chłopców znaleziono; ciała czternastego – nie. Smutny to był pogrzeb. Przyjechali rodzice i krzyczeli: „Oddajcie nam dzieci!". Takie są skutki tych wszystkich sportów: pochłaniają tyle ofiar, a mimo to zachęca się do nich stale w prasie i radiu.

Tyle o tragediach w Broku.

104. Ostatnia posada

Za proboszcza, o którym pisałem wyżej, przyjechał na odpust do Broku ksiądz Wacław Wacławski – proboszcz w Brańszczyku nad Bugiem, koło Wyszkowa. Po skończonym nabożeństwie ksiądz Wacławski poprosił mnie o rozmowę sam na sam i zapytał, czy nie znam jakiegoś organisty dla niego, bo on swego zamierza zwolnić. Od razu zrozumiałem, że ma ochotę na mnie. Porozumiałem się z żoną i zgodziłem się przejść do Brańszczyka; do Broku przyszedł na moje miejsce tamten organista. Brańszczyk był moją ostatnią posadą organisty w życiu.

Ksiądz Wacławski był wikariuszem w Goworowie w czasach, gdy ja byłam tam pomocnikiem organisty. Znaliśmy się więc z tamtych lat; pamiętam, że wtedy wydawał rodzoną siostrę za mąż – za jakiegoś większego obywatela ziemskiego – a ja grałem na ich ślubie. Po ślubie zaprosił mnie na wesele, ugościł mnie i nawet ucałował się ze mną. Więc liczyłem na starą znajomość. Ale – o nieba! Jakaż była przepaść między tym, czym był w Goworowie, a tym, czym go zastałem w Brańszczyku. Ksiądz Wacławski miał u siebie na dożywociu staruszkę-matkę, która miała na niego ogromny wpływ. Podobno kiedy objął swoją pierwszą parafię – a było to zimą – matka wstała o czwartej w nocy, zbudziła syna i mówi: „To ty jeszcze śpisz? Jak tak będziesz długo sypiał, to zginiesz!". Tak dyrygowała synem i służbą. Ksiądz Wacławski miał dwie zamężne siostry, ale bardzo rzadko go odwiedzały, bo nigdy nie mogli się ze sobą pogodzić. Liczyłem, że wygram w stu procentach na tej zamianie, a ja na niej w stu procentach – przegrałem. Któż mógł przewidzieć, że czeka mnie najgorsze? Nie znałem jego natury; nie znałem jego kaprysów.

105. Pan na zagrodzie

Dwa tygodnie po przyjeździe przychodzą do mnie ludzie z dzieckiem do chrztu. Myślałem, że chodzi im o spisanie aktu urodzenia i chrztu. A oni mówią, że proboszcz kazał im, żeby przyszli do mnie i żebym ja ochrzcił im to dziecko. Ja na to: „A co robi proboszcz?". A oni odpowiadają, że jest chory. Idę więc do proboszcza, żeby sprawdzić, czy wszystko się zgadza, a ksiądz do

mnie: „Proszę ochrzcić to dziecko z wody. A do olejów św. oni mają przyjechać w niedzielę. Czyżby pan, będąc organistą, nie umiał chrzcić dzieci? To ja panu zaraz pokażę!". I bierze kwartę wody, służącej każe klękać, leje jej na czoło tę wodę, robi znak krzyża i wymawia imię dziecka. „O! Widzi pan? Tak się chrzci. A resztę, co mają robić, to im już powiedziałem". Dziecka ostatecznie nie ochrzciłem, bo jak wróciłem do domu, to już tych ludzi nie było: odjechali.

Na wieży kościelnej był zegar. Według tego zegara odprawiały się wszystkie nabożeństwa w niedziele i w dni powszednie. Na pół godziny przed rozpoczęciem nabożeństwa przygotowywano procesję bractwa z chorągwiami – pod kierunkiem bractewnych. Po kwadransie wszystko było gotowe – więc czekano drugi kwadrans do rozpoczęcia nabożeństwa. Kiedy zegar bije – procesja rusza z proboszczem na czele. Ksiądz Wacławski miał w Brańszczyku swoją małą diecezyjkę w diecezji. Słuchał tylko najważniejszych rozporządzeń biskupa – a o reszcie decydował sam. Ewangelia była jak trzeba – ale już kazanie plótł trzy-po-trzy, najwięcej o Piłsudskim, którego nie cierpiał. Ale długo gadał – i za to lubiły go dewotki.

106. Chybione przedsięwzięcie

Był to budowniczy-mason: zawsze budował, ale nigdy nie kończył. Raz organista mieszkał w domu kościelnego, a drugi raz – kościelny w domu organisty. W Brańszczyku dogorywał obszarniczy dworek państwa Rudzkich. Mieszkała w nim wdowa z córką[10] – okwitniętą już panną, która bawiła się pracą społeczną. Założyła m.in. Koło Młodzieży[11], które tak samo bokami robiło, jak ten dworek. Panna Rudzka założyła też chór – na niezliczoną ilość głosów. Najwięcej dominował jeden bas, który wyskakiwał ponad inne głosy swoimi dysonansami. Wokół dogorywającego dworku stały rozmaite stare baraki i domy z placami i wymarłymi ogrodami. Toteż proboszcz wpadł na pomysł, aby te wszystkie dworskie rudery wykupić i wybudować pensjonat dla zakonnic. Pojechał w tej sprawie do Warszawy i uzgodnił co trzeba z przełożoną-mateczką. Rozebrano więc stare zabudowania, wybrano zdrowy jeszcze materiał budowlany i przykupiono nowego. I w ciągu dwóch lat stanął wspaniały budynek dla zakonnic. Kiedy ukończono pensjonat, przyjechała przełożona, a z nią pierwsza grupa zakonnic. Na uroczystość wyświęcenia domu panna Rudnicka ze dworu zebrała swoje Koło Młodzieży i wyśmienity na niezliczone głosy śpiewający chór, który uświetnił uroczystość. Mój proboszcz, budując ten dom, liczył na to, że nie będzie potrzebował u siebie trzymać służby, bo wszystko obrobią zakonnice: że będą mu chowały świnie, krowy, a nawet i konie; że obsłużą całą plebanię i jego razem: że będą opierać bieliznę kościelną, reperować szaty kościelne i dbać o to, żeby kościół lśnił czystością. Będą mu prowadziły ogród na modłę zagraniczną: będą hodować drzewka i kwiaty, szczepić je i oczkować, chować pszczoły i jedwabniki. I liczył na to, że zakonnice będę w pełni zależne od niego. Tymczasem grubo się przeliczył.

Niezależnie od tego postanowił zbudować sobie plebanię w stylu zakopiańskim – na czternaście izb. Rozwalił starą plebanię i stodołę, dodał to, co zostało po zabudowaniach dworskich panny Rudzkiej, dokupił czego brakowało i zaczął budować tę plebanię. Mieliśmy z kościelnym istną mękę z tą budową, bo musieliśmy wyciągać stare gwoździe cęgami i prostować – choć trzeba przyznać, że sam proboszcz z nami przy tym pracował. Musiałem to wszystko znosić, bo zacząłem po trosze głuchnąć, a dwaj synowie byli w gimnazjum w Ostrowi, oddalonej od

[10] Chodzi o Leonię i jej matkę Marię, wdowę po Adolfie.
[11] Dokładniej: Stowarzyszenie Młodzieży Żeńskiej i Męskiej.

Brańszczyka o trzydzieści kilometrów. Kiedy proboszcz wykończył plebanię, odebrał mi dwa pokoje i oddał kościelnemu.

Zakonnice początkowo unikały wszelkich zadrażnień. Ale w końcu jedna nie wytrzymała i na jakieś jego polecenie odpowiedziała, że tego robić nie będzie, bo reguła zakonna jej na to nie pozwala. Doszło do tego, że zakonnice nie wytrzymały i wniosły skargę do mateczki-przełożonej do Warszawy. Ta przyjechała i w ostrej rozmowie wyjaśniła proboszczowi, że zakonnice należą do zakonu, a nie do niego. W wyniku tej rozmowy urwały się kontakty proboszcza z zakonnicami. Trzeba trafu, że zachorowała matka proboszcza. Kiedy choroba się przeciągała, proboszcz zmuszony był poprosić zakonnice o opiekę; te chętnie się na to zgodziły. Matka proboszcza miała już 90 lat; w końcu dostała ogólnego paraliżu i po tygodniu zmarła. Proboszcz ją pochował, nie zawiadamiając o tym córek. Dwa tygodnie po śmierci matki przyjechały obie jej córki, ale pierwsze kroki skierowały nie do brata, lecz do zakonnic. Potem przyszły do proboszcza i były u niego z dziesięć minut; pomodliły się na grobie matki – i wyjechały. Odtąd nigdy już go nie odwiedziły.

107. Nierówny człowiek

Przed probostwem w Brańszczyku bywał w różnych parafiach: mniejszych i większych. Zadarł z dziekanem i ten jak mu przystawił stołka, to w ciągu roku musiał trzykrotnie zmieniać parafie. Miał tam swoich ulubionych kościelnych, których potem to sprowadzał do Brańszczyka, to odprawiał do domu. I tak w kółko. Między tymi kościelnymi było dwóch braci Doboszy[12] i trzeci – Stuczyński. Kiedy nastałem w Brańszczyku, kościelnym był właśnie jeden z Doboszy. Proboszcz o nim mówił: „To dusza!". Ale po pół roku tę duszę wywalił. Dobosz miał trochę grosza, więc kupił spode dworu plac i postawił sobie chałupinę, przy której zrobił wszystko: ciesiołkę, stolarkę i mularkę. I na kościelnego już nie wrócił. Proboszcz sprowadził więc Stuczyńskiego. Pan Stuczyński miał syna Genka, którego proboszcz oddał najpierw do gimnazjum, a po czterech klasach gimnazjum – do Wyższej Szkoły Muzycznej w Warszawie na organistę. Kiedy Genek już nieźle grał, często przyjeżdżał do Brańszczyka do rodziców, a zarazem gościł u swego opiekuna. Kim był ów Genek – było zagadką. Może synem proboszcza? Proboszcz tak go lubił, że kiedy przyjechał, to grywał tylko on, a ja już byłem niczym. Matka Genia miała ogromny wpływ na proboszcza, a ojciec był traktowany jak piąte koło u wozu. Kiedy Geniowi w Warszawie brak było pieniędzy na ubranie lub naukę, do proboszcza nie szedł o pomoc ojciec – tylko matka. W końcu Stuczyńskiego proboszcz usunął z Brańszczyka i wziął kogoś miejscowego z Brańszczyka. Mimo to Genio na tym nic nie ucierpiał. Miał mój proboszcz w Warszawie pewną niewiastę, z którą utrzymywał kontakt.

Proboszcz był człowiekiem nierównym i lubiącym rozmaitość. Sprawiało mu też przyjemność, gdy kogoś skrzywdził. Było tak, jakby z tobą wypłynął łodzią na rzekę. Rozkoszujecie się pięknymi widokami i nagle on cię spycha do wody – i to w miejscu, gdzie jest najgłębsza. Proboszcz cię łapie za włosy i rzekomo chce cię wyciągnąć, ale naprawdę zanurzasz się głębiej i tracisz ducha. W końcu proboszcz cię wyciąga do łodzi – cóż, kiedy to już jest twój trup. Wtedy nad tobą zapłacze.

108. Wyrwanie z nałogu czy upokorzenie

Przed moim poprzednikiem Kalinowskim był organistą w Brańszczyku pan Jan Fedorczyk. Był to człowiek miły, sympatyczny, ale – służbista aż do przesady. Ilekroć proboszcz gdzieś

[12] Chodzi prawdopodobnie o Bolesława i Jana.

wyjeżdżał, zawsze wprowadzał go na bryczkę – jeżeli była zima, to otulał – całował święte rączki proboszcza i żegnał. Proboszcz często go ze sobą brał na odpusty i do sąsiedniej parafii w Wyszkowie, oddalonej o 11 kilometrów, w której było trzech księży, bo to był dekanat. Pan Fedorczyk miał jednak pewną wadę, która trapiła i jego proboszcza – był nałogowym alkoholikiem. Tyle, że kiedy się upił, nie robił awantur, tylko szedł spać, wysypiał się – i wszystko było w porządku.

W związku z wyjazdami do Wyszkowa opowiem pewną historię. Była zima. Sanna – wyśmienita. Proboszcz więc – jak zwykle w towarzystwie pana Jana – wybrał się pewnego dnia do Wyszkowa. Kiedy zajechali, proboszcz poszedł do dziekana, a organista – do swego kolegi-organisty Kłosa. Kiedy proboszcz skończył wizytę u dziekana, była już noc – jak to zwykle zimą dzień był krótki. Dano znać organiście, wszyscy usadowili się na sankach, otulili, kościelny zaciął konie i pojechali szosą prosto do domu. Proboszcz, otulony futrem i z postawionym kołnierzem, mało zwracał uwagi na to, co się wokoło dzieje. Organista w palteczku koło proboszcza wyglądał jak kruszyna. Kiedy ujechali parę kilometrów, proboszcz chciał zapalić papierosa, więc opuścił kołnierz. Patrzy – a tu organisty koło niego nie ma. Kazał kościelnemu zatrzymać sanki i zaczęli szukać pana organistę. Znaleźli go dopiero po cofnięciu się trzy kilometry do Wyszkowa. Pan Jan, który kropnął sobie u kolegi, spadł z sani i spał sobie spokojnie na szosie we śniegu. Kościelny umieścił go śpiącego na sankach i tak go dowieźli do Brańszczyka.

Proboszcz, który bardzo cenił pana Jana, wpadł w końcu na genialny pomysł, żeby wyrwać go z nałogu: powiedział mu, że jeśli nie rzuci wódki, to go pozbawi posady. „Przysięgniesz w niedzielę na wystawiony Przenajświętszy Sakrament na oczach całej parafii, że przestaniesz pić" – powiedział mu któregoś dnia. Organista zdębiał, ale mając żonę i dzieci musiał ten warunek przyjąć. Przyszła niedziela i proboszcz po kazaniu na sumie odezwał się w te słowa: „Drodzy parafianie! Dziś po sumie nie rozchodźcie się, bo pan Jan Fedorczyk – nasz lubiany organista – złoży przysięgę, że od dziś zaprzestanie pić". Po sumie organista zszedł z chóru i złożył tę przysięgę. Czy proboszcz postąpił mądrze? Nie. Jak się niebawem okazało zabił człowieka, a jego rodzinę pozbawił chleba. Po tej przysiędze przed parafianami i Bogiem – organista pił nadal, tyle że się wystrzegał, żeby go nie nakryto.

Przez Brańszczyk przepływa mała strużka, a za strużką była mała restauracja, w której można było dostać wódkę. Pewnego wiosennego dnia, w roztopy, pan Fedorczyk poszedł do tej restauracyjki i zabawił do późna. Było to wiosną, więc strużka przybrała, zbierając wodę z pól i rozmaitych rowków, i spływała do rzeki Bug, która płynęła koło samego kościoła i ogrodu proboszcza. Kiedy wyszedł, wplątał się w tę strużkę, ugrzązł, upadł – i przeleżał parę godzin. Kiedy go znaleziono i sprowadzono do domu, okazało się, że dostał zapalenia płuc i zmarł. Kiedy mi proboszcz opowiadał tę historię, płakał jak małe dziecko. Ale płakał – jak już człowieka zabił. Przecież żeby się odzwyczaić od picia, trzeba stopniowo je ograniczać, a nie za jednym pociągnięciem – jak chciał proboszcz.

109. Synowie

Mojemu najstarszemu synowi Antolkowi nauka w gimnazjum kulawiała. A było ich tam dwóch: on i Mietek. Ciężko mi było ich obu uczyć. W końcu Antolek zrezygnował z gimnazjum: osiem lat nauki, a rezultat słaby. Namówiłem go więc i wstąpił do Wyższej Szkoły Muzycznej w Warszawie, żeby uczyć się na organistę. Biedne dziecko jeździło więc codziennie do Warszawy, wstając o godzinie czwartej rano i dojeżdżając rowerem 11 kilometrów do stacji

kolejowej; w Wyszkowie zostawiał rower u znajomych i dalej pociągiem – do Warszawy. Na wieczór – z powrotem ta sama trasa. W lecie – pół biedy. Ale w zimie? Zaspy, śniegi, błota, roztopy itd. Męczyło się dziecko przez dwa lata. Po dwóch latach moja sytuacja się pogorszyła: padła mi krowa i musiałem zabrać Mietka z gimnazjum. Mietek czekał w domu dwa lata, że Antolek ukończył naukę w Warszawie; przez te ostatnie dwa lata był już na stałe w Warszawie i musiał się obyć stoma złotymi, które dostawał co miesiąc ode mnie.

110. Krwotok i głuchota

Ja wskutek ciągłych fantazji proboszcza troszkę zaniemogłem. Dostałem pewnej nocy dużego krwotoku. Lekarz z Ostrowi orzekł, że mój stan jest groźny. Zasugerował nawet, żebym wezwał księdza. Po ceremonii jedna z zakonnic mnie pilnowała, żebym się nie poruszał, tylko leżał na wznak przez całe dwa tygodnie. W czasie tej choroby musiałem wziąć zastępcę, co bardzo osłabiło moje dochody. Proboszcz liczył się, że ze mną będzie klapa. Żona moja chorobą bardzo się przejęła; podziałało to źle na stan jej zdrowia. Po trzech tygodniach jednak wstałem i stopniowo zacząłem spełniać swoje obowiązki. Niestety, zacząłem jednocześnie zdradzać coraz gorszą głuchotę. Pojechałem do Warszawy, ale lekarze warszawscy okazali się bezsilni. Było to jesienią – w ostatnim roku nauki Antolka w Warszawie; w kwietniu następnego roku miał on powrócić do domu z dyplomem. Ale proboszcz zaczął mi dawać do zrozumienia, że chce się mnie pozbyć. Sam więc zacząłem szukać posady. Kto jednak weźmie głuchego? Pewnej niedzieli po nabożeństwie proboszcz wezwał mnie do siebie i wobec bractewnych wypowiedział mi pracę od Nowego Roku. Na szczęście od pięciu lat byłem ubezpieczony i opłacałem składki emerytalne. Miałem wówczas już prawo uzyskać od proboszcza odszkodowanie. On sam mi zresztą wobec świadków je wypłacił – w wysokości 300 złotych. Byłem głupi! Mogłem zażądać 3000 lub ostatecznie 2000 złotych. Liczyłem jednak, że jak Antolek wróci, to może obejmie po mnie posadę. W drodze łaski pozostawił mnie do kwietnia następnego roku. Żona już wtedy niedomagała, a kiedy się dowiedziała o wymówieniu, dostała rozstroju nerwowego. Zaatakowana została wątroba. Zimą położyła się do łóżka i dostała urojonego paraliżu lewej nogi. Sprowadzony lekarz powiedział, że w swoim życiu nie widział jeszcze tak nerwowego pacjenta. Potwierdził to drugi lekarz – z Wyszkowa. Sprowadziłem lekarza-kobietę; ta powiedziała, że żona jest tylko wyczerpana i potrzebny jest jej spokój. Ale jak jej ten spokój zapewnić, skoro do wiosny już tylko trzy miesiące. Zapytałem proboszcza, czy nie zatrudniłby po mnie Antolka. Ale on na to, że mu syn nie odpowiada, bo ma swego organistę: Genia Stuczyńskiego. Wynająłem mieszkanie o kilometr drogi do kościoła i opuściłem ostatnią w życiu posadę organisty. Widział proboszcz, że moją żonę wynoszono na furę, ale go to nie wzruszyło. Tymczasem Geniowi się przedłużała nauka; przysłał więc zastępcę z Warszawy. Tak spełniał swoje obowiązki, że nie on na proboszcza, a proboszcz na niego musiał czekać. Trafiło mu się dobrze, bo miał trzy dobre pogrzeby i resztę z kartek wielkanocnych. Ale po dwóch tygodniach zwiał, nie opowiadając się nawet proboszczowi. Zacząłem więc – za zgodą proboszcza – chodzić codziennie rano ten kilometr drogi do kościoła i spełniać obowiązki organisty. Kiedyś znowu dostałem krwotoku i na furze odwieziono mnie do domu. Tymczasem Antolek przyjechał z Warszawy z dyplomem i przejął ode mnie obowiązki. Ale proboszcz nie zaproponował mu posady, czekając rzekomo na swego pupilka – Genka.

111. Barany

Pewnego dnia był pogrzeb. Kiedy już syn z księdzem zaprowadzili ciało na cmentarz, ksiądz się rozebrał i dał synowi szaty i aparaty liturgiczne, aby je odniósł do kościoła. Lecz na wsi jest zwyczaj, że po skończonym pogrzebie przyjeżdża fura, którą księdza odwożą na plebanię. I organista korzysta też z tego przywileju. Kiedy przyjechała więc fura, ksiądz wsiadł na nią, a syn z szatami i aparatami też chciał usiąść koło proboszcza. Ale proboszcz kazał mu usiąść w tyle – nie obok niego. A syn na to: „Mój ojciec zawsze i wszędzie siadał obok księdza, wszyscy organiści tak robią, więc i ja tak postępuję". A ksiądz synowi na to: „Jesteś baran". Wtedy syn wszystko co niósł zebrał w kupę i księdzu rzucił na kolana na furę, mówiąc: „Wszedłem między barany i baranem zostałem". I odszedł pieszo do domu. A ksiądz obrażony do granic – odjechał. Od tej pory moja kariera na organistowskim chlebie definitywnie się skończyła. Już nie poszedłem do kościoła ani ja, ani syn.

Antolek dostał w niedługim czasie posadę za Warszawą. Miałem jeszcze prosiaka; sprzedałem go i wyprawiłem syna na tę posadę. Pojechał tam z Zygmusiem. A mnie się zdrowie trochę poprawiło. Objechałem całą parafię za snopkami, chociaż ksiądz z ambony parafianom przykazał, by mi nie dawali. Byli tacy, co go usłuchali, ale byli i tacy, co mi dawali. Snopki zebrałem, sprzedałem i wyprowadziłem się do Ostrowi. Przed moim wyjazdem, latem, parafię w Brańszczyku wizytował biskup. Ponieważ proboszcz mnie nie poprosił, nie poszedłem – i grał tam ktoś „Myszy-myszy, która słyszy". Aż sam biskup zawołał na cały kościół: „Co on tam gra?". Dziwne, że na przyjazd biskupa proboszcz nie zaprosił przynajmniej organisty z sąsiedniej parafii – albo swego Genka z Warszawy...

112. Pożegnanie

Gdy piszę te słowa, mieszkam w Strzelcach Krajeńskich i żyję przy córce Irenie. Wnuczka Mirka ukończyła trzyletnią szkołę przedszkolanek; jest już dorosłą panną. Na razie jest zadowolona z pracy. Córka Irenka też pracuje. Wnuczek Zbyszek chodzi do IV klasy szkoły podstawowej. Ja mam troszkę emerytury; resztę dopomagają mi synowie. Mam 72 lata. Ile mi jeszcze pozostało – nikt nie wie. Ale wydaje mi się, że chyba w niedługim czasie przyjdzie mi pożegnać się ze światem.

113. Prośby i przestrogi

Drogie Dzieci! Kiedy będziecie czytać ten pamiętnik, wyda się Wam może, że czasem użyłem zbyt ostrych słów, które mogą niejednego zranić. Chciałem jednak, żeby obraz tego, czego doświadczyłem, był pełny: i tak starałem się wiele punktów drażliwych ominąć.

Ze swojej strony – jako ojciec – darowuję Wam wszystkie usterki: niech one pójdą w niepamięć. Chcę zejść z tego świata w pełnym spokoju. Pamiętajcie, że idąc przez życie, człowiek stale popełnia błędy. Błędy popełniają najbardziej wykształceni i utalentowani ludzie, a cóż dopiero my – maluczcy!

Zakończę pytaniem. Czy idąc drogą, którą mi wytknął los, mogłem się zbudować?

I jeszcze jedno.

Drogie Dzieci! Żyjcie zgodnie. Pomagajcie sobie – jeśli to możliwe – wzajemnie. A przede wszystkim – kochajcie się.